

Guy N. Smith

Cmentarne hieny

Prolog

Od dłuższego czasu Sabat nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś złego unosi się w powietrzu. Jakiś zimny, stęchły zapach tłumił intensywny aromat sosnowych igieł i nawet kojąca atmosfera późnej wiosny wydawała się nienaturalna. I ta przejmująca cisza. Świsł górskiego wiatru i śpiew ptaków rozplynął się gdzieś w nieruchomym powietrzu. Nie słychać było szelestu liści, zdawać by się mogło, że świat wstrzymał oddech i czekał.

Wysoki mężczyzna w ciemnym, wymiętym i zakurzonym po długiej podróży garniturze zatrzymał się na stromej leśnej ścieżce. Zmęczenie wzięło górę nad niepokojem - przystanął, aby otrzeć pot z czoła. Suchym językiem oblizał spieczoną wargę; z orleń twarzy patrzyły przymrużone, głęboko osadzone oczy. Wraz z zapadającym zmrokiem las wypełniły głębokie cienie, lecz nadal nic się nie poruszało. W półmroku, na bladym policzku mężczyzny wyraźnie widać było białą szramę - bliznę, która już od dziesięciu lat szpeciła jego twarz.

Patrząc na smukłą, zgrabną sylwetkę leśnego wędrowca trudno było określić jego wiek. Mógł mieć lat trzydzieści pięć albo pięćdziesiąt. Poruszał się zwinnie, w jego oczach można było odczytać duże doświadczenie; być może również strach. Przemierzył już trzy kontynenty, w niejednym kraju i niejednym mieście otarł się o śmierć, dopóki pogoń za wciąż umykającą ofiarą nie zaprowadziła

go do tego lasu. Quentin, jego najstarszy brat, nie zdołał stąd uciec.

Mark Sabat przemierzył tę drogę już rano. Jego ciało astralne, przybrawszy postać sokoła, krążyło w powietrzu, patrząc z góry i zapisując w pamięci każdy szczegół. We wsi leżącej daleko w dole, Mark wynajął skąpo umeblowany pokój. Pospiesznie wyrysował kredą na podłodze pięcioramienną gwiazdę i ułożywszy się w jej centrum, zasnął. Tam też pozostało jego ciało fizyczne, podczas gdy sokół - ciało astralne, szybował ponad lasem. Nie zwracał uwagi na widoczne w dole leśne gryzonie, choć byłyby dla niego łatwą zdobyczą. Nie po to tu przybył. Lecąc miła za miłą, wyraźnie czegoś szukał, aż prąd górskiego powietrza uniósł go wysoko nad wyrąbaną w lesie polaną. Stała tam zniszczona drewniana chata. Sprawiała wrażenie opuszczonej, lecz Mark wiedział, że to właściwe miejsce. Właśnie tutaj znalazła swe ostatnie schronienie najbardziej opętana ziemi istota ludzka: splodzony w piekle namiestnik Szatana, ucieleśniony Antychryst toczący mściwą wojnę przeciw człowiekowi.

Zataczając kręgi sokół zbliżył się ku polanie, po czym usiadł na gałęzi jodły w pobliżu chaty. Z wnętrza domu nie dochodził żaden dźwięk, nie było widać żadnego ruchu. Spoglądając na oświetloną słońcem polanę. Sabat zastanawiał się, czy nie zmienić się w szerszenia, by w tej postaci usiąść na popękanej, brudnej szybie wypaczonego okna i zajrzeć do środka. Ale nie było pośpiechu. Doprawdy, po latach wytrwałego pościgu parę minut, czy nawet godzin czekania było bez znaczenia. Gdzieś w oddali rozległo się gruchanie gołębi. Mała pszczoła, zabłąkana tu chyba przypadkiem, przysiadła na moment na drzwiach, lecz zaraz poderwała się i poleciała

dalej, jakby nie mogła pozostać ani chwili w tym miejscu. Zdawało się, że leśna zwierzyna i ptactwo unikają opustoszałej polany.

Słońce stało wysoko na niebie, lecz jego promienie nie dawały ciepła. Sokół nastroszył brązowe pióra. Siedział wprawdzie wysoko, lecz wiedział, że dziwny, ogarniający go chłód nie jest naturalny. Nagle małe, bystre oczy ptaka wypatrzyły na skraju lasu trzy prostokąty świeżo przekopanej ziemi.

Groby! Z pewnością tutaj pochowano zwłoki trojga wieśniaków, młodego małżeństwa i ich córki. Sabat słyszał, że wybrali się w góry tuż przed ostatnią zimą i nigdy nie powrócili. Nadejście śniegów, które początkowo udaremniły poszukiwania, z czasem stało się dla mieszkańców wioski wygodnym usprawiedliwieniem, by pozostać w domach i zapomnieć o zaginionych. Ostatnio nikt nie zapuszczał się w góryste rejony, łatwo było zgubić tu drogę. Mark Sabat nie wątpił w prawdziwość tych opowieści. Nagły ruch na polanie przestraszył sokoła, tak, że z trudem pohamował naturalny instynkt ucieczki. Znieruchomiał na gałęzi jak wypchany ptak. Wypaczone drzwi chatki uchyliły się z głośnym skrzypem i ukazała się w nich ludzka postać.

Trudno było uwierzyć, że człowiek tak stary może jeszcze żyć. Wytarte ubranie ledwie skrywało jego zniszczone ciało. Łysa głowa, skóra barwy starego pergaminu, oczy zapadnięte głęboko w oczodołach jak dwie czarne dziury i grube, mięsiste nozdrza poruszające się przy każdym ciężkim oddechu. Z bezzębnych warg wydobywało się chrapliwe rżenie, gdyż każdy ruch był nieprawdopodobnym wysiłkiem dla tego matuzalekowego buntownika.

Nawet w postaci sokoła Mark Sabat poczuł dziwny żal. To wszak jego własny brat, zrodzony z tej samej matki; był w tej chwili ruiną człowieka. Zaraz jednak smutek ustąpił miejsca nienawiści. Quentin Sabat był zaledwie dziesięć lat starszy od Marka. Czyżby zatem jego przedwczesne starzenie było jedynie podstępem, by tym szybciej odrodzić się i dalej szerzyć zło, wciąż walczyć z tak długo ścigającym go Markiem?

Stary człowiek z wysiłkiem uniósł siekiere i niezdarnie wbił ją w leżący u jego stóp kłoc drewna. Na jego chudym, żylastym udzie ukazała się strużka moczu. Pień rozpadł się na dwie części. Mężczyzna splunął i oparł się na trzonku siekiery, klnąc w przedziwnym, niemiecko-francuskim dialekcie.

Sokół nie czekał już dłużej. Poszybował szybko ponad wierzchołkami drzew wprost do swego fizycznego ciała drzemającego w pentagramie. Naga postać, połączywszy się z astralną istotą, obudziła się, przeciągnęła, ziewnęła leniwie odnajdując w umyśle świadomość, że poszukiwania zostały zakończone.

Teraz Mark Sabat ponownie przemierzał poranny szlak sokoła, tym razem we własnej postaci, gdyż jego ciało astralne nie posiadało mocy zdolnej przeciwstawić się słudze Szatana. Nie spieszył się. Bliskie zakończenie wieloletniego pościgu wprawiało go niemal w euforię, lecz jednocześnie odczuwał lęk. Czy okaże się dość silny? Quentin będzie wiedział o jego przybyciu, lecz tym razem nie zdoła już umknąć. Mark cieszył się na myśl o czekającym go pojedynku: oczywistym, bezpośrednim konflikcie dobra ze złem. Oto wrogie sobie siły staną do walki o ideały wyższe niż ich wzajemna nienawiść. Konflikt trwający od momentu narodzin rozumnego bytu.

Umysł Marka Sabata dręczyły przelotne wspomnienia. Jak tonący, oglądał w migawkowym skrócie całe swoje dotychczasowe życie. Najpierw wyniesione z domu staranne wychowanie. Później odziedziczony po rodzicach spadek, który zapewniał mu przyszłość. Chłopięcy bunt przeciw temu narzuconemu porządkowi życia. Pierwsze - przyjemne, choć w chwili słabości - doświadczenie homoseksualne. I zaraz potem kapłaństwo, przez które chciał się oczyścić z tego grzechu. Kolejny zwrot w życiu, gdy poprzez egzorcyzmy, odkrył swą własną moc. Hipokryzja przywódców Kościoła, która sprawiła, że utracił wiarę. Następny etap - służba wojskowa w SAS... i prosta satysfakcja zabijania wroga. Usankcjonowane, wielokrotne morderstwa stworzyły nowego, okrutnego Sabata. Mark wciąż dysponował niewyjaśnioną siłą. Moc ta nieraz ocaliła mu życie, lecz stała się też przyczyną haniebnych podejrzeń i nagłego zwolnienia z SAS. Rozgoryczony, poświęcił się całkowicie idei zgładzenia Quentina, uważał bowiem, że nikt inny tak, jak jego brat nie zasłużył na eliminację z ludzkiego gatunku. Polana była już w cieniu. Mark dostrzegał zaledwie zarysy chatki i otaczających ją sosen. Z każdą chwilą stawało się coraz chłodniej. Sprawdził, czy ma przy sobie wszystkie zapewniające bezpieczeństwo talizmany: koła, czosnek, srebrny krucyfiks i książeczka do nabożeństwa - były niemal bluźnierstwem w rękach człowieka znajdującego przyjemność w zabijaniu. I rewolwer kalibru 38, z którym się nigdy nie rozstawał. Był on wprawdzie bezużyteczny w sytuacjach takich jak ta, lecz przydawał się w miejscach pełnych doczesnych zagrożeń. Od czasów służ-

by w SAS, broń ta - narzędzie szybkiego zadawania śmierci - stała się częścią jego osobowości. Nagle, po przeciwległej stronie polany zobaczył Ouen-tina. W miarę jak oczy Marka przyzwyczajały się do ciemności, dostrzegł wyraźniej ludzki kształt skulony obok grobów. Postać utkwiała w nim rozpalony nienawiścią wzrok, jak pozbawione możliwości ucieczki poranione zwierzę, czekające okazji, by ostatecznie siłą rzucić się na myśliwego. - A zatem przyszedłeś - nie był to głos człowieka starego ani szaleńca, brzmiał łagodnie i spokojnie, choć pobrzmiwały w nim nuty szyderczej uchwałności. - Jesteś uparty, Mark. To zbyt cenne szaleństwo. Każdy z nas mógłby pójść swoją własną drogą. - Nie - przybysz zrobił krok naprzód, ściskając u-kryty w kieszeni niewielki krucyfiks i zastanawiając się, czy da mu on wystarczającą moc. - Na tym świecie jest miejsce tylko dla jednego z nas, Quentin... Urwał w pół zdania i z niedowierzaniem patrzył przed siebie. Groby były rozgrzebane, a ich zawartość wyjęta z otwartych trumien. O, Boże Święty! Culte des mortes, jak nazywano to po kreolsku, na Haiti - kult umarłych... nekromancja. Cofnął się w nagłym odruchu przerażenia. Kolejny przeblask torturujących go wspomnień, pobyt w Port au Prince, gdzie po raz pierwszy zetknął się z tymi tajemnymi obrzędami. Ich uczestnicy wyciągali ciała z grobów i odprowadzali w nocy wymyślne ceremonie, w czasie których umarli jakby wracali na krótki czas do życia. Mark Sabat widział na własne oczy poruszające się trupy, nie wątpił więc w prawdziwość tych szatańskich praktyk. I Quentin też tam był. Od mistrzów czarnej magii uczył się sekretu ożywiania zmarłych.

10

Mark widział już dobrze, jego oczy przywykły do ciemności. Ciała wieśniaków. Mężczyzna i kobieta w średnim wieku. Z prostych ubrań, w których byli pochowani zostały już tylko strzępy, ledwo okrywające wynędzniałą nagość przegniłych ciał i prześwitującą spod skóry biel kości. Choć były to niemal szkielety, ich twarze zachowały swój wyraz. Maski przerażenia, zapatrzony w tego, kto zakłócił ich wieczny spokój, ręce splecione w trwożliwym uścisku. Najstraszniejszy był widok dziecka. Pozbawione włosów ciało małej dziewczynki uchroniło się jakoś przed wilgocią zimnej gleby i robakami, pozostało prawie nietknięte. Rzeczywiście, ona mogła być wciąż żywa... Ruch! Ciało dziewczynki kołysząc się przywarło do kobiety, jakby szukając w niej rodzicielskiej obrony. O, Boże, pomyślał Sabat, ona wciąż ma oczy. Rozszerzone ze strachu źrenice patrzyły na niego, błagając o ratunek. - Dołączysz do nich - Quentin z łatwością trzymał teraz siekiere. - Będziesz wkrótce jednym z żywych trupów, Mark. A może mój Mistrz wymyśli inne zadanie dla twego porąbanego ciała, podczas gdy twoja dusza... - Stop! - Mark Sabat wszedł na polankę, trzymając krucyfiks w wyciągniętych rękach. - To koniec twoich nikczemnych praktyk, Quentin. Tym ludziom należy się wieczny spoczynek... i tobie też. Lecz Quentin stał nieporuszony. Sabat sądził, że moc krzyża i ostry zapach magicznych ziół powalą jego przeciwnika na ziemię. Zamiast tego Quentin wybuchnął szyderczym śmiechem i Sabat stwierdził nagle, że wiara opuściła go w godzinę największej potrzeby, że pozostał zupełnie sam wobec wszelkiego diabła. Quentin także w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Nie był już bezbronny. Mimo odpychającego starczego wyglądu poruszał się z za-

11

skakującą szybkością i siłą. Ostrze siekiery ze świstem przecięło powietrze, a z bezzębnych ust Ouentina wydarł się krzyk bardziej zwierzęcy niż ludzki. Echo powtarzało go coraz dalej i dalej. Szok i przerażenie poraziły Sabata, czyniąc zeń łatwy cel. W ostatniej chwili przewyciężył słabość i uskoczył w bok. Usłyszał, jak ostrze siekiery uderza o kamienie, krzesząc sноп iskier. Mark obrócił się i z całej siły cisnął w Ouentina krzyżem, lecz ten tylko urągliwie się zaśmiał. - Bez ciebie, Mark, krzyż traci swoją moc, nie jest nawet symbolem. To po prostu kawałek metalu. Sabat czuł paniczny lęk, jak chrześcijanin na rzymskiej arenie, który wiedział, że jego zwinne ruchy mogą co najwyżej odwlec nieuchronny koniec. Strach dławił mu oddech i odbierał resztki sił słabnącym mięśniom. Kolejny jego talizman - czosnek - okazał się nieskuteczny, odbijał się od piersi Ouentina i spadał na ziemię, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Mark cofał się, a jego brat szedł ciągle za nim, gotów w każdej chwili zadać śmiertelny cios. Zdumiewające, jak zwinnie poruszało się jego stare, zniszczone ciało. Mózg starca pracował jasno i sprawnie, tworząc podstępne koncepcje pokonania wroga. Nagle Sabat stracił oddech i upadł. Poczł zawrót głowy, jakby spadał w jakąś czarną otchłań. Nagle szarpnięcie przywróciło mu przytomność. Leżał na plecach w rozkopanym grobie, patrząc w górę na migoczące iskry, w których rozpoznawał gwiazdy. Trwało kilka sekund, zanim zrozumiał, co się właściwie wydarzyło. Ponownie poczuł wilgotny zapach ziemi, syjącej się na niego z brzegów grobu, ostre kamienie wbijające się w plecy. Znajoma sylwetka przesłoniła mu gwiazdy. Ouentin, stary czy młody, był to ten sam człowiek, którego ściagał przez

12

trzy kontynenty, od Haiti do Bawarii. Teraz stał z siekiere wzniesioną do ciosu, smakując chwilę ostatecznego triumfu. Choć Mark był już przygotowany na śmierć, jego palce odnalazły ukryty w kieszeni kurtki rewolwer i zacisnęły się na zimnym metalu.

Poruszał się instynktownie, jak skazaniec, plujący w twarz oprawcy w akcie beznadziejnej obrony. Przez kieszeń wycelował w górę i strzelił gwałtowną, szybką serią. Poczul zapach spalonego materiału i prochu. Słyszał, jak pociski miękko uderzają w ludzkie ciało.

Quentin opuszczał właśnie siekiere, gdy trafiły go pierwsze kule. Uderzenie odrzuciło go w tył. Pociski rozo-rały mu ciało od pachwiny aż do gardła, jak gdyby jakaś straszliwa bestia rozerwała je potężnymi kłami. Z przeciętej tętnicy trysnął strumień krwi. Z gardła Quentina wydobył się ryk wściekłości, a kręgosłup wygiął się nienaturalnie, jakby zaraz miał pęknąć. Straszliwy człowiek trwał jeszcze na granicy życia i śmierci, lecz czuł nadchodzący koniec. Bronił się instynktownie - przecież znał ten świat, nie chciał teraz umierać. To, co dawniej było najgorętszym pragnieniem, stało się teraz katastrofą. Krwawiące ciało balansowało na krawędzi wykopanego grobu.

Mark wciąż trzymał palec na spuście. Usłyszał brzęk siekiery opadającej na kamienie. Zobaczył jak Quentin zbliżył się do niego, stracił równowagę i z szeroko otwartymi ramionami runął w dół. Mark Sabat poczuł ruch powietrza, przykrył głowę rękami i skulił się. Jego brat upadł nań, chluzając ciepłą krwią. Wśród szamotaniny Markowi udało się zepchnąć ciało tak, że leżeli teraz obok siebie. Mark otworzył oczy. Nawet ciemność nie potrafiła ukryć odrażającego widoku. Quentin obrzucał go przekleństwami. Jego groteskowo wykrzywiona twarz była o centymetry od głowy Sabata. Umierający usiłował

13

schwycić przeciwnika słabymi palcami, drapał go. Choć Quentin z pewnością nie był już w stanie mówić, Mark odgadł jego ostatnie słowa:

- Jesteś głupcem. Umieram, ale znowu będę żyć. To ty zgnijesz w tym grobie, Mark.

Sabatowi udało się wreszcie wyswobodzić ze śmiertelnego uścisku, zwymiotował, próbując nie wdychać stęchłego odoru rozkładu i śmierci. Uświadomił sobie, że wciąż trzyma rewolwer, i tym razem z rozważą przytknął lufę do czoła swojego brata. Z przykrym uczuciem jeźdźca, który musi zabić ulubionego wierzchowca, pociągnął za spust. Odgłos strzału był ogłuszający. Błysk ognia zapłonął przez ułamek sekundy oślepiającym blaskiem. W tej straszliwej chwili Mark zobaczył czaszkę pękającą, niczym rozbite jajo. Widział, jak wytryska z niej szara maź i ścieka po ubraniu małymi strumykami i wiedział, że ten obraz zostanie w jego pamięci na zawsze.

Usta Quentina wypowiedziały ostatnie przekleństwo, nim wypełniły się falą szkarłatnej krwi. Sabat raz jeszcze pociągnął za spust, ale bęben był już pusty. Powstał, czując, jak jego stopy depczą ciało brata. Oparł dłonie na brzegach grobu i podciągnął się wśród osypującej się ziemi i kamieni.

Leżał jakiś czas, głęboko wdychając mroźne powietrze i starając się nie patrzeć na trzy podobne do mańonetek ciała, które zdawały się wpatrywać w niego. Twarze ich wyrażały teraz nieme żądanie, aby przywrócono ich ziemi.

I Sabat wiedział, że będzie musiał ich powtórnie pogrzebać.

Gdy skończył, wschodnia część nieba była już blado-szara. Każdy mięsień i nerw szczupłego ciała drżał ze

14

zmęczenia i odrazy, gdy Sabat odrzuciwszy w końcu znaleziony za chatką złamany szpadel przyglądał się trzem świeżym kopcom ziemi. Mężczyzna i kobieta zajmowali teraz pojedynczy grób, dziecko - mniejszy, a w najgłębszym leżał Quentin. Prawie dwumetrowa warstwa ziemi i kamieni przykrywała najgorszego z ludzi. Sabat rozglądał się jeszcze niespokojnie. Mimo wysiłku wydawało mu się, że jest zimniej, niż kiedykolwiek. Prawie tak, jak gdyby noc powróciła, aby osłonić swoim płaszczem to ponure miejsce i ukryć hańbę szlacheckiej rodziny.

Odwrócił się, zamierzając odejść w pośpiechu, zatrzymał się jednak, skurczony ze strachu, nie ośmielając się spojrzeć za siebie. Wśród szumu porannego wiatru dotarły do niego znajome słowa: "Umieram, ale znowu będę żyć. To ty zgnijesz w tym grobie, Mark".

Wargi Sabata poruszyły się, wydając chrapiwe skrzeczenie.

- Nie, ty nie żyjesz, zabiłem cię.

Odpowiedział mu śmiech i przeraźliwy łoskot, który mógł być spowodowany wiejącym z przełęczy wiatrem.

Sabat zaczął biec, gnany strachem. Potknął się, upadł, drąc ubranie i raniąc ręce do krwi. Podniósłszy się, biegł dalej w stronę wsi. Śmiech za jego plecami stawał się coraz słabiej słyszalny.

Hali hotelowy był pusty. Skrajnie wyczerpany wdrapał się na schody i dotarł jakoś do swojego pokoju. Z ulgą zatrzasnął za sobą drzwi i oparł się o nie. Widział zrolowany dywan, narysowany na podłodze pentagram. Wszystko wyglądało tak, jak gdy wychodził... Och, dobry Boże! Nie!

Srebrny kielich leżał na podłodze przewrócony i wgnieciony jakby przez jakiś ciężki przedmiot. Na jego

15

lśniącą powierzchnię padał promień porannego słońca, wyraźnie oświetlając miejsce wgniecenia. Miało ono kształt kopyta. Sabat przerażonym wzrokiem przebiegł wilgotną ścieżkę, pozostawioną przez wylaną z kielicha ciecz. Strużka przerywała narysowane na podłodze ciągle linie, tworzące kompletną gwiazdę. Ostateczny bastion został naruszony?

- Będę żył znowu.

Odwrócił się rozpoznając głos Quentina. Przez krótką chwilę spodziewał się zobaczyć brata w kącie pokoju, może jako wiekowego drwala, może w jakiejś innej postaci. Lecz nie było tam nikogo. Tylko głos.

Sabat nagle zrozumiał w pełni groźbę, kryjącą się w tym stwierdzeniu. Znow usłyszał obłąkany śmiech i zlokalizował jego źródło. Było w nim samym! Rzucił się do pękniętego, zakurzonego lustra, aby się w nim przejrzeć. Nie zauważył żadnej zewnętrznej zmiany, prócz wyrazu zmęczenia na twarzy, brudu na ubraniu i rozczochranych włosów.

- Ty diable - syknął. - Ty przeklęty potworze. Zabiłem cię dla dobra ludzkości. Ale teraz twoja dusza posiada mnie. Nie do końca jednak. Słyszysz mnie, Ouen-tin? Nie do końca. Wciąż jeszcze mam swoją własną duszę, mam teraz dwie, jak Petraux, ten francuski czarownik.

- A co się stało z Petraux? - szydercze pytanie padło z jego własnego wnętrza.

- Zmarł... i odrodził się ponownie - odparł Sabat, jakby opowiadał legendę o tym, jak Petraux toczył walkę w samym sobie i w końcu odebrał sobie życie tak, że gdy narodził się powtórnie żyło już tylko zło, które nad nim zatriumfowało. - Ale to nie przydarzy się mnie, Ouentin.

16

Ty i ja nienawidziliśmy się i walczyliśmy długo, a ja wciąż żyję. Wiem, że muszę brać cię ze sobą wszędzie, gdziekolwiek idę, lecz nie będzie to dla ciebie łatwe. Będę walczył cały czas. I być może, pewnego dnia zniszczę cię całkowicie.

Tym razem nie było szyderczej odpowiedzi, tylko cisza, przerywana dobiegającym z dołu brzękiem naczyń. Kuchnia hotelowa przygotowywała się do nowego dnia.

Ramiona opadły, oczy już zaczynały zamykać się ze zmęczenia. Mark Sabat powłókł się w kierunku łóżka, stojącego w centrum pentagramu. Szurając nogami kopnął kielich, który potoczył się po podłodze i z metalicznym brzękiem uderzył o deski postania. W ubraniu rzucił się na łóżko, czując nadchodzącą falę snu.

I śnił, miał sen, w którym jego ciało astralne wędrowało z Quentinem u boku. Nie z tym Quentinem, z którym walczył na polanie, przewrotnym starcem, lecz z młodym, przystojnym mężczyzną o jego własnych rysach. Szli przez pustynię, na której nie rosło nic, prócz kaktusów. Nawet one były wyschnięte w potwornym upale. Gdzieś przed sobą ujrzeli źródło wody, które jednak zniknęło, gdy się zbliżyli. Quentin nie wydawał się zaniepokojony, posuwał się, jakby nie odczuwając żadnych niewygód. U jego boku Mark walczył o życie, usiłując ukryć, że niemal umiera.

I w najgorętszej porze dnia (czy temperatura w ogóle kiedykolwiek spadała, czy istniało coś takiego, jak zmrok?) dotarli na pobożowisko. Niezliczone pokrwawione ciała, leżące na piasku, ogromne czarne sępy, pożerające ludzką padlinę, najwyraźniej nie zaniepokojone przybyciem żywych ludzi.

Mark Sabat patrzył, czując, jak lęk opanowuje jego

17

umysł, niczym złośliwy nowotwór. Śmierć pogodziła tu dwie rasy. Żołnierze o jasnej cerze i włosach leżeli odwróceny ku ziemi pomiędzy lepiej zbudowanymi ciemnoskórymi. Twarze tych ostatnich były gniewne nawet po śmierci. Żadnych zwycięzców, żadnych pokonanych, po prostu śmiertelny pat w odwiecznej walce Dobra przeciw Złu, Światła przeciw Ciemności.

Tylko dwóch żywych pozostało w tym pustynnym piekle - on i Quentin. Ostatni wojownicy. Armie były zniszczone i teraz wynik zależał od ich końcowego pojedynku.

Sabat obudził się, wilgotne ubranie przykleiło mu się do skóry, twarz miał mokrą od potu. Pokój był oświetlony słabym światłem słońca. Było więc późne popołudnie. Przez kilka minut dygotał z zimna. Myślnie powrócił do tej straszliwej pustyni śmierci. Uśmiechnął się słabo do siebie. To była pierwsza próba. Był dość silny, aby wrócić z tego snu do swego fizycznego ciała, nawet, jeśli jego brat wrócił wraz z nim. Żaden z nich nie pokonał drugiego w końcowej walce, więc obaj muszą dzielić to samo ciało.

Ale prawdziwa bitwa dopiero się zaczynała.

Rozdział I

Od dawna już nikt nie dzierżawił starego cmentarza. Jeszcze ćwierć wieku temu był on chlubą małej wioski. Na białych, marmurowych nagrobkach ustawionych w równe rzędy, o każdej porze roku zobaczyć można było świeże kwiaty. Między grobami rosła zielona murawa. Teraz przyroda zniweczyła dawne starania ludzi. Głóg, przedtem starannie przycinany, oplótł nagrobki kolczastymi gałęziami. Na trawiastych ścieżkach rozpanoszył się mech, bujnie rozrosły się kępki mleczków. Deszcze i śniegi zniszczyły kamienie nagrobkowe, zacierając napisy tak, że nikt już nie mógł odcyfrować imion i dat. Tak oto umarli poszli w zapomnienie.

Także stojący między wysokimi sosnami mały kościółek chylił się ku upadkowi. Na drewnianych schodach przed głównym wejściem pełno było kawałków potrzaskanych dachówek, deszcz regularnie zalewał wnętrze, ściekając strumieniami przez dziurawy dach. W kościółku zagnieżdżyły się szpaki. Solidne, podwójne drzwi były już mocno poryte przez korniki.

Dawniej jeszcze niedzielne poranne nabożeństwa przypominały, że zniszczony budynek jest miejscem kultu. Niestety starzejący się wikary, który odprawiał tu msze, odszedł na wieczny spoczynek. We wsi mówiono, że Namiestnicy Kościoła przestali interesować się tym odległym miejscem i pozwolili, aby popadło w ruinę. Nikt nie chciał pracować w tej świątyni, przez co liczba parafian spadała

19

poniżej sześciu osób. Większość mieszkańców wioski żyła z dala od Boga.

W czasopiśmie diecezji ukazała się propozycja biskupa, aby zamknąć kościół. Kościelny dostojnik nie pochwałał bałwochwalczej dumy, z jaką wieśniacy traktowali ten zabytkowy budynek. Jednak i jego oburzyły akty anonimowego wandalizmu. Ktoś poprzewracał parę grobów i wielkimi literami wymalował na drzwiach kościoła nieprzystojne słowa. W swoim artykule biskup udzielił nagany sprawcom tego czynu. Przemilczał jednak fakt, że pieniądze ofiarowane na Fundację Odbudowy Kościoła, dotąd bezużytecznie złożone w depozycie bankowym, gdzie się rozplynęły. Nie mówił też nic o tym, czy budowa ohydnej nowoczesnej świątyni na skraju wsi była całkowicie finansowana przez diecezję. Biskup Wentnor nie należał do ludzi, którzy wchodziliby w tego rodzaju szczegóły. Nie obchodziło go, w co Kościół angażuje swoje finanse.

Jedynie nocą, w blasku księżyca, kościółek św. Adriana zdawał się odzyskiwać dawną świetność. Srebrna poświata, podkreślając zgrabną sylwetkę budynku ukrywała jednocześnie dziury w dachu i odpadający tu i ówdzie tynk. Nawet teren wokół kościoła sprawiał lepsze wrażenie. I właśnie podczas pełni księżyca wierni gromadnie odwiedzali to miejsce. Lecz nie ci, których życzyłby sobie biskup Wentnor.

Gdy cała grupa zebrała się na starym cmentarzu, było już dobrze po północy. Przybywali pojedynczo lub dwójkami, skradając się wzdłuż żywopłotu, który oddzielał teren kościoła od pobliskiego lasu. Porozumiewali się szeptem, lecz kiedy zobaczyli wysokiego mężczyznę w czarnych szatach, o twarzy ukrytej pod wielkim kapturem, za-

20

padali w pokorne, pełne szacunku milczenie. Teraz także stali w ciszy jak nastolatki, w których wciąż tkwiły nakazy szkolnej dyscypliny, szurając nogami, ukradkiem gaszący ukryte w rękawach papierosy.

Wysoki człowiek zwrócił się do nich rozkazującym tonem. Potem wyciągnął długie ramię i pośród innych grobów wskazał jeden, położony zaledwie parę metrów od nich. Nie miał on jeszcze kamiennej płyty, przykryty był jedynie drewnianą skrzynią.

Kwiaty złożone tu w czasie pogrzebu zaczynały już więdnąć i gubić liście. Za dnia otaczało to mogiłę aurą smutku, lecz w nocy widok był złowieszczy, pełen grozy. Z grupy wyszło dwóch młodzieńców. Z przyniesionej ze sobą torby wyjęli łopaty i kilof. Spojrzeli wyczekująco na wysokiego mężczyznę, a ten kiwnął głową w niemym przyzwoleniu. Było widoczne, że jego autorytet w grupie jest niepodważalny. Nie trzeba było żadnych instrukcji, zatem otrzymawszy zgodę, chłopcy od razu zaczęli kopać. Praca nie sprawiała im trudności, ponieważ ziemia była jeszcze miękka po niedawnym pogrzebie. Kilof okazał się zbyt ciężki. Przyglądający się temu ludzkie ciaśniej otoczyli kopających, spoglądając na rosnącą z każdą chwilą stertę ziemi obok grobu. W pewnym momencie łopaty uderzyły głucho o wieko trumny. Zebrani mocniej wyciągnęli szyje. Dwóch silnie zbudowanych mężczyzn w brudnych kombinezonach roboczych podeszło bliżej grobu. Teraz przydał się również kilof, rąbiąc w drzazgi drewnianą pokrywę trumny. Ci, którzy poprzednio otwierali trumnę, stali teraz obok niej w głębokim dole i z mozołem, ostrożnie wyciągali ciała. Inni asystowali temu klęcząc dookoła. Wysoki mężczyzna stał z tym z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Okrągły księżyc był prawie dokładnie nad nimi. Kiedy

21

drżące ręce pociągnęły za całun, w srebrnym blasku księżyca zebrani mogli dostrzec każdy szczegół kredowo-białych ciał umarłych.

Ci, którzy nigdy przedtem nie spotkali się z nekro-mancją odczuli pewne przerażenie, wstrzymali oddechy. Oba ciała były nagie, zaś jedno z nich, ciało młodej dziewczyny, zdumiało wszystkich niezwykłą pięknnością. Miała nie więcej niż osiemnaście lat, błądź jej twarzy podkreślał ciemny kolor jej długich włosów. Usta nawet po śmierci pozostały pełne i czerwone. Piersi, choć już nie tak jędrne, zachowały nadal doskonałe proporcje. Niejednego z patrzących podniecał widok ciemnego trójkąta włosów na jej podbrzuszu.

- Ciało dziewczyny jest najważniejszym ze wszystkich rekwizytów - długie, smukłe palce zakapturzonego mężczyzny pogładziły nągą dziewczynę niemal miłośnie. Dłoń zatrzymała się na chwilę na szerokiej bliznie pooperacyjnej, która nawet w świetle księżyca zniekształcała płaski brzuch.

- Słuchaj, a skąd ty wiesz, że ona jest dziewicą? - W głosie jednego z ludzi wciąż trzymających kilofy brzmiała jawna bezczelność.

- Trzymaj język za zębami. - Kaptur opadł do tyłu, ukazując szeroką i okrutną twarz o nieco zbyt blisko osadzonych oczach, z cienką kreską ust, o drgających w furii nozdrzach. - Jak śmiesz podważać mój osąd! Sylwia w wieku lat trzynastu zachorowała na raka żołądka. Ostatnie pięć lat spędziła głównie w szpitalach, walcząc o życie. Nie miała chłopców. Czy ta odpowiedź zadowala cię Julianie?

Chłopak skinał głową w milczeniu.

22

- Lecz tej nocy - przywódca podniósł głos - utraci ona swoje dziewictwo!

- O, Boże - wysoki chłopak zrobił krok w tył - nie zamierzasz chyba...

- Nie dyskutuj ze mną. nasz Mistrz pragnął Sylwii, dlatego wkrótce do nas dołączy. Wyciągnijcie ją i połóżcie na tym grobie. Szybko, bo mamy dużo do zrobienia, a noc pełna jest niebezpieczeństw.

Roztrzęsionymi z emocji rękami młodzi ludzie unieśli ciało dziewczyny i ułożyli je na grobowcu zamożnej wiejskiej rodziny. Zdawało się, że martwa dziewczyna nagle ożyła; jej zwisająca w dół smukła noga kołysała się w ponurej lubieżności. Najmłodszy spośród uczestników spotkania odskoczyli w tył w przestraszeniu.

- Teraz, Sheila, rozbieraj się. Wszyscy się rozbierajcie. Mistrz nienawidzi zakrytego ciała.

Wszyscy oprócz wysokiego mężczyzny zrzucili ubrania. Ten zaczął donośnym głosem odmawiać zaklęcia, a po pewnym czasie również i on odsłonił swoje ciało. Był w średnim wieku, lecz dobrze zbudowany i najwyraźniej podniecony. Szczupła, jasnowłosa dziewczyna drżała gwałtownie, zagryzała wargi, jakby próbowała powstrzymać łzy. Skrzyżowanymi rękami starała się zasłonić nie w pełni jeszcze dojrzałe piersi. Nigdy nie sądziła, że posuną się tak daleko. Horacy (może nie było to nawet jego prawdziwe imię) był chyba sadystą. Myślała dotąd, że bierze udział w czymś w rodzaju gry seksualnej. Nie miała więc nic przeciw temu, by posiadali ją różni chłopcy. Cichy Horacy powiedział, że ta noc będzie dla niej "inicjacją"; przypuszczała, że chce w ten sposób zapowiedzieć jakąś kolejną orgię. Lecz wykopanie zmarłej dziewczyny, która przez większość życia walczyła z nieuleczalną choro-

23

ba... Och, to było potworne! Nie chciała brać w tym udziału.

- Ja... Ja chcę iść do domu - zdała sobie sprawę, że powinna była wyrazić swój sprzeciw jeszcze zanim się rozebrała, bo teraz jej płaczący głos zabrzmiał sztucznie. Uczestniczyła już w rozkopywaniu grobu, było to podczas poprzedniej pełni, lecz wtedy znaleźli tylko zniszczony, bardzo stary szkielet. Wywołało to wprawdzie nieprzyjemne uczucie strachu, lecz nie wyrządzili wtedy żadnej krzywdy człowiekowi, który zmarł wiele lat temu. Zresztą zakopali go później.

Głos Horacego ucichł. Kiedy zabrzmiał znowu, wyczuwało się w nim złość, tak wielką, że z trudnością wymawiał słowa.

- Obawiam się, że jest już na to za późno, moja droga. Zaszłaś zbyt daleko, by się wycofać. Teraz idź i połóż się obok pięknej Sylwii... i pamiętaj, że ofiarujesz się samemu Mistrzowi. Musisz wiedzieć, że to dla ciebie zaszczyt - dzielić święty ołtarz z dziewczyną!

Sheila Dowson zatoczyła się, zdawało się przez moment, że zemdleje. Instynkt nakazywał jej ucieczkę i być może, gdyby nie była naga posłuchałaby tego wewnętrznego głosu. Lecz myśl o tym, że będzie musiała naga biec przez całą wioskę z powrotem do domu, była dla niej nie mniej przerażająca.

- Nie możesz zmusić mnie, bym zrobiła to, czego nie chcę zrobić. - Miało to zabrzmieć mocno i zdecydowanie, lecz głos jej zadrżał i z pełnych przerażenia oczu trysnęły łzy. Potem zaczęła krzyczeć.

- Moi drodzy, ta dziewczyna wpadła w histerię - w głosie Horacego słychać było groźbę, był bezlitosny. -

24

John, Michael, zanieście ją na ołtarz. Chyba musimy też związać ją i zakneblować.

Na rozkaz przywódcy dwóch młodych mężczyzn złapało Sheilę. Byli silni; opierała się bez skutku. Zakneblowano ją jej własną bielizną, ręce związane mocno parą rajstop. Leżała z szeroko otwartymi oczami, starając się odsunąć jak najdalej od sztywnego ciała martwej dziewczyny. Spojrzała na jej twarz; tamte oczy także były szeroko otwarte, niewidzącym wzrokiem

zdawały się wpatrywać w zawieszony ponad nimi księżyc.

- Teraz możemy zaczynać! - Horacy wzniosł ręce. Nie bez pewnej satysfakcji patrzył, jak jego uczniowie padają na twarz. Jego nagie ciało płonęło ognistym żarem, mimo iż zdawało się, że temperatura znacznie spadła w ciągu ostatnich kilku minut. Księżyc przygaś, być może zastłonięty chmurą. Horacy uporczywie wpatrywał się w piękne ciało zmarłej. Leżąca obok Sheila walczyła coraz słabiej. Jego podniecenie niemal sprawiło mu ból, ale wiedział, że musi czekać do czasu, gdy Mistrz zażąda ofiary z żywej istoty. Wtedy dopiero sam będzie mógł zakosztować rozkoszy. Zrobiło się tak ciemno, że nie sposób było dostrzec choćby zarysów ludzkich sylwetek. Horacy mamrotał coś bezładnie, bojąc się, jak wszyscy. Zamknął oczy, czuł chłodną, lecz naładowaną żywą świadomością atmosferę, słyszał pełne lęku przyciszone głosy swoich uczniów. Sheila walczyła z więzami, drząc i dysząc, jak w miłosnym uniesieniu... I wtedy pojawił się zapach, zgniła woń, dobrze znana i przez to tym bardziej napawająca lękiem. Smród jak w nieczyszczonej od wieków stajni. Mocz, kał, pot zwierzę-

25

cy. Horacy przycisnął dłonie do uszu starając się nie słyszeć tętentu kopyt i jęków przerażenia.

Sabat nie lubił biskupa Wentnora już wtedy, gdy sam był księdzem, a biskup - kanonikiem. Wentnor był zwalstym mężczyzną o czerwonej twarzy (mówiono, że dużo pije). Tusza dodawała mu powagi. Był człowiekiem nie tolerującym żadnych opinii sprzecznych z jego własną. Na swój sposób zbuntowany, Wentnor pozwalał sobie na niekonwencjonalne poglądy polityczne, mając nadzieję, że jeśli w następnych wyborach wygra partia prawicowa, to on otrzyma należne mu za lojalność względy. Hazard opłacił się i kanonik został biskupem. W pewnym sensie był, tak jak Sabat, bezlitosny. Wentnor nie ukrywał swojej niechęci do Sabata. Uważał, że człowiek, który był nielojalny wobec Kościoła powinien zostać wykluczony. Na nieszczęście, kto raz został księdzem, musiał nim być do końca życia. Dziekan i Kapituła, pamiętając siłę egzorcyzmów Sabata, postanowili go wezwać, gdy policja dała znać, że profanacja grobów na cmentarzu św. Adriana jest czymś więcej niż zwykłym wandalizmem. Wentnor twardo odmawiał, ale w przeciągu tygodnia otrzymał od arcybiskupa polecenie skontaktowania się z Sabatem. Był wściekły, lecz nie miał wyjścia. Biskup kazał Sabatowi czekać w pałacu prawie godzinę. Ten kłął, jak szewc, zły że musi tu siedzieć. Odwrócił się od Boga, więc nie musiał okazywać respektu należnego temu miejscu.

- Ach, Sabat - Wentnor uśmiechnął się, siadając za ogromnym biurkiem w swoim pluszowym gabinecie. Nie tłumaczył się, niech młody parweniusz czuje się niepewnie.

26

- Nie będę wchodził w szczegóły tej sprawy. Na pewno czytał pan w gazetach.

- Wolalbym, żeby ksiądz powiedział o wszystkim dokładnie - Sabat popatrzył mu prosto w oczy. - Prasa lubi przesadzać w takich sprawach. Chciałbym znać fakty z pierwszej ręki. Od księdza, księżę biskupie.

Wentnor poczuł, że puls zaczyna mu bić mocniej. Sabat nie okazywał najmniejszej uległości, żadnego respektu.

- Więc dobrze, Sabat - popatrzył na siedzącego naprzeciw ciemnowłosego mężczyznę, ale zaraz uciekł wzrokiem. Zetknął koniuszki palców, tak jak to robił podczas nabożeństw. To przydaje świętości, myślał, przynajmniej w oczach przeciętnego wiernego. - Po pierwsze, był to zwykły wandalizm. Słowo, napisane sprayem na drzwiach kościoła...

- Jakie słowo?

- Ja... naprawdę. Sabat, to nie ma znaczenia. Wystarczy powiedzieć, że było wulgarnie.

- Jakie to słowo, księżę biskupie. Muszę znać każdy szczegół, każdy fakt, niezależnie od tego jak niestosowny mógłby się wydawać, aby właściwie przygotować się do egzorcyzmu.

Wentnor zaczerwił się. Spojrzał z ukosa na Sabata, ale szybko odwrócił wzrok. Do diabła z nim. On chce, żebym to powiedział.

- Więc dobrze. Sabat. Tam było napisane DUPA - przeliterował, sądząc, że w ten sposób będzie to lepiej brzmiało.

Sabat kiwnął głową, nie dając po sobie poznać zadowolenia.

- I potem zaczęto otwierać groby?

- To prawda. Jeden, czy dwa z tych starszych, ale na

27

szczęście nie było żadnych krewnych, którzy narobiliby zamieszania. Do momentu, kiedy odkopano tę młodą dziewczynę, Sylwią Adams. Tragiczne życie, przerwane zanim się na dobre zaczęło, słodka niewinność... i coś takiego.

- Co jej zrobili?

- To nie do opisanania i absolutnie odmawiam wchodzenia w szczegóły. Najgorszy przypadek nekromancji z jakim miałem do czynienia. Jej bliscy, co zrozumiałe, wnieśli ostry protest. Ci nikczemni ludzie musieli przyprowadzić ze sobą jakieś zwierzę i sparzyli je z ciałem. Policja twierdzi, iż był to kozioł, ale jedyny ślad jego kopyt znaleziono w ziemi wokół grobu.

Sabat wydał wargi i oblizał koniec wąsów.

- Niejaka Celestyna z Haiti formalnie poślubiła kota w celach magicznych. Czarna magia jest wciąż żywa na tej wyspie tak teraz, jak i wtedy, biskupie. I rozszerzyła się na cały świat... dotarła także do Anglii.

- Pan oczywiście nie sugeruje...

- Jest zbyt wczesnie, aby cokolwiek sugerować. Zestawiam tylko fakty. Ale proszę kontynuować.

- Policja rozpoczęła dochodzenie. Oczywiście, niektórzy mieszkańcy wsi coś tam wiedzieli, ale cierpliwe wypytywanie wszystkich po kolei nie dało niczego. W przeciągu miesiąca został rozkopany następny grób.

- Czyj tym razem?

- Na szczęście bardzo stary, miał ponad sto lat. Grób człowieka o nazwisku William Gardiner.

- I co stało się ze szkieletem?

- Nie mam pojęcia, nie znaleziono go.

- Może to Chrystus zmartwychwstał - Sabat wyprostował się na krześle.

28

Biskup Wentnor spojrzał na gościa, jakby chciał skarcić go za bluźnierstwo. Zmienił jednak zamiar. Chciał zakończyć już to spotkanie i uwolnić się od Sabata.

- Policja przypuszcza, że mógł zostać gdzieś porzucony i prawdopodobnie nigdy go nie znajdziemy. Straszne są te profanacje, ale to nie to samo co morderstwo.

- W wielu przypadkach jest to dużo gorsze niż morderstwo.

- Zgadzasz się, jeśli chodzi o Sylwię Adams, ale...

- Być może cała ta sprawa dopiero się zaczyna, księżę biskupie. Ciało Sylwii użyto w nikczemny sposób, do haniebnego aktu. Przynajmniej taka była pierwotna intencja. Ślady kopyt mogły zostać odcisnięte przez wyznawców owego szczególnego kultu. Z drugiej strony... - przerwał, zastanawiając się czy może podzielić się swym przypuszczeniem. - Z drugiej strony, księżę biskupie, być może po prostu udało im się wywołać diabła. Jak ksiądz wie, zostało to już kiedyś zrobione. Historia Aleistera Crowley'a, który wywołał w Paryżu greckiego bożka Pana jest tego klasycznym przykładem. Crowley zapłacił to kilkumiesięcznym pobytem w szpitalu psychiatrycznym, jako potencjalny idiota. Człowiek, który towarzyszył jego magicznym praktykom w dziwny sposób stracił życie. Wiadomo przecież powszechnie, że gdy sprowadzi się diabła na ziemię, zawsze zabiera on czyjąś duszę, wracając do swych piekielnych zaświatów. Można by więc założyć, że ponieważ ciało Sylwii Adams zostało użyte jako rekwizyt służący przywołaniu szatana, to moc, która się objawiła, zabrała ze sobą czyjeś inne życie. Co zatem stało się ze zwłokami? Czy istnieje na policji jakiś rejestr osób zaginionych?

- Nic o tym nie wiem, ale może pan u nich spraw-

29

dzić. - Biskup bębnił nerwowo palcami w blat biurka, jego twarz przybrała znowu zwykły odcień.

- Najpierw postaram się odnaleźć zaginiony szkielet - powiedział Sabat, mrużąc oczy. - Potem będziemy musieli dowiedzieć się, kim są ci wyznawcy diabła. Być może nie pochodzą stąd. Często Zgromadzenie podróżuje wiele mil, by znaleźć odpowiednie miejsce, a z tego, co mi ksiądz powiedział, kościół i cmentarz św. Adriana są bardzo odpowiednie dla tego rodzaju praktyk. Później zresztą, jeśli będzie trzeba, pojedę tam i sprawdzę to, najpierw jednak muszę znaleźć we wsi jakieś miejsce, gdzie mógłbym się zatrzymać, incognito. Przedstawię księdzu spis wszystkich moich wydatków.

Biskup Wentnor pokiwał, przypomniał sobie bowiem ostatnie wydatki diecezji.

- Ja... dobrze, oczywiście. Ale wydawało mi się, że egzorcyści nie...

- Nie żądają zapłaty za swoje usługi?

- Tak. Rodzaj tradycji. Dar boży nie powinien być wymieniany na pieniądze. Jak różdżkarze...

- Więc może ksiądz biskup wolałby skorzystać z usług któregoś ze swoich egzorcyistów? - Sabat wstał zapinając ciemną wełnianą marynarkę.

- Nie, nie - Wentnor podniósł rękę. On sam najchętniej uwolniłby się od tego człowieka, lecz wiedział, że arcybiskup nie przyjmie jego wyjaśnień. - Oczywiście, zapłacimy za wszystko. Proszę tylko przedłożyć rachunki.

- Dziękuję - Sabat spojrzał na biskupa i uśmiechnął się z zadowoleniem. - Jutro będę gotów do wyjazdu.

- Policja ciągle jeszcze prowadzi poszukiwania w tej okolicy. Jeśli chciałby pan uzyskać jakieś informacje,

30

mógłby się pan zgłosić do inspektora Plowdena, szefa tej operacji.

- Mogę, zapewne - Sabat zatrzymał się na chwilę w drzwiach. Po chwili dodał - jednak z drugiej strony nie mógłbym tego zrobić.

Sabat wrócił do Londynu. Kiedy dotarł do swego ekskluzywnego domu w West Hampstead, nad miastem zapadał mrok. Wyjął klucze i otworzył frontowe drzwi. Zrobił krok naprzód i zatrzymał się w progu, delektując się tym tak dobrze znanym, zawsze przyjemnym dla niego zapachem. Lubił tę woń, woń świeżo wypastowanych podłóg, starych mebli i ledwie uchwytny aromat starych woluminów. Zapach bogactwa, które gromadził przez wiele lat. Uśmiechnął się do siebie; życie tak wiele razy okazywało się dlań łaskawe. Choćby to odnalezienie należącego do terrorystów składu broni w czasach, gdy pracował w SAS. To był chyba punkt zwrotny w jego życiu, most po którym przeszedł od nędznej, ubogiej roślinności do bogactwa. Mógł wtedy donieść o swoim odkryciu, zapewne awansowałby i po miesiącu nikt by już o tym nie pamiętał, jeden skład broni nie może bowiem dziwić mieszkańców kraju, w którym co krok buduje się fabryki bomb. Jednakże Sabat postąpił inaczej. Wszedł w układ z anarchistami, którzy drogo zapłacili za jego milczenie. Jeszcze przez parę tygodni potem dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie mógł pogodzić się z myślą, że dla forsy w pewien sposób przyłączy się do brudnej sprawy. Ale w końcu wytłumaczył sobie, że nie jest to ważne. Przecież i tak cały świat jest wielką dżunglą, w której ludzie pożerają się nawzajem. I kiedy tylko nadarzyła się okazja, zaplątał się znowu w jedną czy dwie podobne afery. Był to jego włas-

31

ny sposób walki z nieprzyjacielem poprzez uszczuplanie jego zapasów finansowych. Taki rodzaj życia, jakie mógł prowadzić Quentin... Mark Sabat dalej zarabiałby w ten sprytny sposób, gdyby nie ta głupia dziwka, żona pułkownika. Dał się omotać jej wdziękiem, lecz za przyjemność spędzenia z nią paru nocy przyszło mu zapłacić - wyrzucono go z SAS z solidnym kopniakiem. O Boże, jakże nienawidził tej kurwy. Lecz nawet dużo później, kiedy myślał o niej, nie mógł opanować podniecenia. Nagle zorientował się, jak zimno jest w domu. Zadrżał, na siłę tłumaczył sobie, że w Londynie wciąż jest późne lato. Wyciągnął rękę w kierunku kontaktu, odnalazł go i nacisnął. Ogarnął go gwałtowny strach - światło nie zapaliło się. Nic, prócz zimnej, przerażającej ciemności.

I nagle usłyszał znajomy głos:

- Nie wtrącaj się w to, co ciebie nie dotyczy.

- Odpierdol się, Quentin!

Śmiech. Sabat, trzymając się stołu, zrobił krok w tył. Poczuł się nagle tak, jak gdyby ktoś uderzył go w głowę. Czaszkę rozsadał tępy ból. O Boże! Uspiał swoją czujność myśląc, że Quentin już zniknął, zaprzestał walki ze swoją drugą duszą. Jego przeciwnik wykorzystał ten moment, atakując go z całą siłą.

- Masz jedno łatwe wyjście, Mark. Zajmij się swoim własnym życiem, jak robił to Petraux. To bardzo proste.

Sabat dyszał ciężko. Przez chwilę nawet rozważał tę propozycję. Pozwolić Quentinowi, by poszedł własną drogą i przestać się w nią wpięprzać. Lecz inny głos podpowiadał mu, że należy na nowo podjąć walkę. Zgodzić się na propozycję Quentina znaczyłoby dać się strącić pomiędzy czarne moce, do królestwa władców ciemności. Mu-

32

siał walczyć uparcie na każdym kroku, toczyć z Quenti-nem nieustającą bitwę i w końcu pokonać go, by odzyskać władzę nad własnym ciałem i duszą.

- Nie! - zawołał głośno. - Będę walczyć przeciwko tobie na wszystkie możliwe sposoby!

Nagle jakieś niewidzialne ręce chwyciły go za gardło zaciskając potężny stalowy uścisk. Nie mógł oddychać, czuł, że oczy wychodzą mu z orbit. Słyszał coraz słabsze uderzenia swego serca, jak werble obwieszczające jego śmierć. Stracił świadomość. Runął na stół i w śmiertelnych drgawkach osunął się na podłogę. Atak był gwałtowny i silny, lecz nie był jedynie dziełem Quentina, gdyż ten nie posiadał siły fizycznej. Złe moce, które opanowały ciało Marka Sabata, przywołały posiłki z zewnątrz. Ciemne siły usiłowały pokonać tego, który ośmielił się przeciwstawić tajemnemu władcy zmarłych i jego wyznawcom. Nagle ciało Sabata rozluźniło się. Samą siłą fizyczną niewiele mógł dokonać, musiał zmobilizować swój umysł. Lecz właśnie teraz, gdy najbardziej tego potrzebował był zbyt zamroczony, by to uczynić. O Boże, czy zdoła sobie przypomnieć... Musi sięgnąć w najgłębsze pokłady pamięci. Z trudem przywołał kolejne słowa i rozpaczliwie próbował złożyć je w całość. Musiał to uczynić - natychmiast!

- Boże... Synu Boga... który przez śmierć... zniszczyłeś śmierć... i pokonałeś tego, który... posiadał siłę śmierci... - wypowiedział szybko, niemalże nieświadomie; teraz tylko ostatnie, najważniejsze zdanie... - Przybądź teraz i pokonaj Szatana!

Zakłęcie nie zawiodło. Jeszcze przed chwilą Sabat czuł, że zapada się gdzieś w czarną pustkę, kona. Teraz wracał stamtąd, z trudem łapiąc powietrze. Krtań, uwolniona z

2 - Cmentarne hieny

33

potężnego uścisku, znowu pozwalała mu oddychać. Głowa bolała go nadal, lecz już nie tak dotkliwie jak przedtem. Mógł rozprostować zdrętwiałe nogi.

Przez jakiś czas leżał na podłodze korytarza. Nie czuł już zimna, a ciemność przestała go przerażać, stała się przyjazna. Przypomniał sobie ćwiczenia jogi pozwalające uspokoić ciało i umysł, uzyskać całkowite odprężenie. Wiedział, że atak nie powtórzy się tak szybko. W tej chwili był zwycięzcą, lecz była to tylko kolejna runda odwiecznej walki. Jednak pokonał swych napastników. Z pewnością Quentin zaaranżował to wszystko, ponieważ tylko Quentin mógł wiedzieć, że prawdziwym wrogiem Sabata są złe moce władające zbierającymi się u św. Adriana nekromantami. Czymkolwiek było to, co wezwał Quentin, miało raczej niską rangę, tak jak niedoceniony, a przecież silny duch domowy. Przybyło z czarnej dżungli rozciągającej się tam, gdzie nie sięga już obszar ludzkiej świadomości.

Ale, co najważniejsze, Mark Sabat ciągle posiadał swą główną broń, zdolność do egzorcyzmów. Było to pewnym pocieszeniem, nawet jeżeli wróg był stosunkowo słaby. Tym niemniej, prawdziwy sprawdzian jego siły czekał go dopiero po przybyciu do owej dziwnej wioski, leżącej w sercu Anglii. O tym regionie krążyło wiele legend. Mówiono, że tu właśnie król Artur zasiadał wraz ze swymi rycerzami wokół mitycznego Okrągłego Stołu, i że w tym miejscu Guy z Warwick walczył z potwornym Brunatnym Bykiem i zabił go. Gdyby ciemne moce zawładnęły nią z całą siłą, kraina ta znów byłaby pełna krwi i zła. Sabat zdrzął na myśl o tym.

Jakiś czas później Mark zdołał wstać i spróbował zapalić światło. Jasny blask zalał korytarz. Kiedy wchodził

34

po szerokich, pokrytych dywanem schodach, czuł się wyczerpany fizycznie i psychicznie. Poszedł prosto do sypialni. Każda komórka jego ciała wołała o sen, lecz musiał jeszcze przez chwilę zmusić się do czuwania. Zanim mógł odpocząć, musiał zrobić jeszcze jedną ważną rzecz. Wprawdzie tej nocy raczej nie należało się spodziewać ponowienia ataku, lecz postanowił zachować ostrożność. W porównaniu z innymi pokojami w domu, w tym było zaskakująco mało mebli. Tylko dywan, podwójne łóżko i szafa. Nic więcej.

Sabat rozpoczął pracę. Najpierw usunął wszystkie zbędne przedmioty z podłogi. Potem wziął kredę i z wysiłkiem począł rysować pentagram, w którego centrum stało łóżko. Potem narysował jeszcze wewnętrzny okrąg. Gdy skończył, wziął mały srebrny kielich, poszedł do łazienki, napełnił go wodą i przyniósł z powrotem. Cichym głosem, ostrożnie i z uwagą, wymawiał nad nim słowa modlitwy. Było to tak, jak gdyby chciał wyrzucić z siebie całe zło, lecz wiedział nazbyt dobrze, że w ten sposób zdoła je tylko na jakiś czas odsunąć. Nie mógł drugi raz popełnić błędu, nie mógł dać się zaskoczyć w chwili nieuwagi. Rozebrał się i stojąc nago rzucił całe ubranie poza pentagram. Obawiał się, że jakaś zła istota mogła skryć się w drobinkach kurzu na jego rzeczach i później się ujawnić. Sabat odsunął koldrę. Prześcieradło przyjemnie chłodziło jego nagie ciało. Zawsze spał bez pidżamy. Lubił czuć, że jego ciało jest nieskrępowane, swobodne, zgodnie z intencją Stwórcy, bez żadnych ubrań i...

Nagle stwierdził, że całe jego wyczerpanie minęło, w czasie, gdy się rozbierał. To odkrycie było dlań szokiem. Lecz nie mógł w to wątpić, erekcja była aż nazbyt jawnym tego dowodem. Jęknął cicho. Czy była to następna

35

sztuczka Ścieżki Lewej Ręki, dążąca do osłabienia jego oporu, czy tylko znak, że odzyskał swą potencję? Normalnie nigdy nie był w pełni zaspokojony, bardzo rzadko osiągał satysfakcję. Zadrzał, kiedy jego palce przesunęły się po brzuchu i dotknęły gęstych ciemnych włosów. Wzniesiony członek przyciągał jego rękę jak magnes.

Marzenia przepływały przez jego umysł, jak obłoki po jasnym niebie, lubieżne, niczym myśli młodzieńca, wywołując niepokój w jego duszy. Przypomniał sobie swe dawne przygody erotyczne. W miarę, jak palce poruszały się coraz szybciej, obrazy stawały się bardziej i bardziej perwersyjne, prowadząc ku końcowej eksplozji, w której ujrzał nagie ciało niewiernej żony pułkownika i jej wargi rozchylone w ekstatycznym podnieceniu.

Tej nocy raz jeszcze oddał się rozkoszy i gdy podniecenie mijało zobaczył, że przez zasłony przesącza się blade światło nowego dnia.

Poczuł ulgę. Quentin i jego złe moce nie zdołały osłabić jego ciała, skoro ono właśnie mogło dać mu tyle satysfakcji. Miał tylko jedną obawę, że kiedyś, gdy będzie pogrążony w szaleństwie masturbacji i przez to bezbronny, Quentin może sprowadzić do niego Czarną Wenus, i że ta piękna bogini śmierci może zwyciężyć tam, gdzie inni przegrali.

Nie ma niczego niezwykłego we wsi, stwierdził Sabat, jadąc swoim srebrnym daimierem krętą północną szosą. Historia wioski sięgała czternastego stulecia. Wkraczająca tu cywilizacja zniszczyła wszelkie bariery. Powstające na peryferiach nowe posiadłości, zalewały wszystko jak powódź, pozostawiając tylko małą wyspę.

Sabat zwolnił, gdy droga zaczęła piąć się w górę w kierunku starej wsi. Zwrócił uwagę na brzydotę tego miejsca. Nowe domy, napływowa ludność, nowy i stary diabeł w bezbożnym sojuszu. Ilość mieszkańców znacznie wzrosła, więc teraz tysiąc razy trudniej będzie odnaleźć tych, którzy uprawiają nekromancję.

Stara wieś mało się zmieniła. Drzwi i okna wychodzące wprost na brukowaną ulicę, mały sklep ze wszystkim, próbujący konkurować z nowym supermarketem w nowej dzielnicy. Był tam też sklep kowalski - uprawianie jazdy konnej stanowiło znaczący symbol nowobogactwa. Kościół, rozpadająca się budowla, została niegdyś zdobyta przez bezbożnych najeźdźców i od tamtego czasu skazana na zapomnienie. Sabat zauważył przylegający do kościółka cmentarz, ale gęstwina dziko rosnących krzewów była zbyt wielka, aby mu się przyjrzeć.

Zajazd "Pod Brunatnym Bykiem" (w okolicy było kilka lokali nazwanych imieniem tej legendarnej bestii) stał przy odległym końcu ulicy za plebanią. Podczas gdy główny budynek zachował w większości swój pierwotny

37

kształt, nowa, dwukrotnie większa jego część, zbudowana przez architektów, którzy wygrali konkurs na projekt, przezornie umieszczona była z tyłu i nie widać jej było z drogi. W każdy sobotni wieczór młodzież przychodziła tu na dyskotekę.

Sabat zostawił samochód na dużym parkingu. Zauważył głębokie dziury w asfalcie i nie pobierane szkła. Zajazd zajmował się prowadzeniem własnych, dobrych interesów i bezpieczeństwo, czy wygoda klientów nie były na pierwszym planie.

Nad wejściem widział napis, głoścący, że Herbert Walley otrzymał pozwolenie na sprzedaż piwa, wina i wódki. Rzeczywiście, stojący za barem dżentelmen zajęty był nalewaniem do kufli i kieliszków wyżej wymienionych trunków. Miał na sobie prążkowaną koszulę bez kołnierzyka, z rękawami podwiniętymi za łokcie. Kiedyś był silnym mężczyzną, lecz później mięśnie obrośły tłuszczem, a rozmiary brzucha świadczyły o tym, że obficie raczy się własnym piwem.

- Słucham pana - Walley podniósł głowę. Sabat natychmiast rozpoznał charakterystyczny południowy akcent. Następny obcy.
- Szukam noclegu na kilka dni. - Sabat wyciągnął z kieszeni fajkę z morskiej pianki i zaczął nabijać ją tytoniem. Nie był nałogowym palaczem i preferował fajkę, zwłaszcza gdy palił marihuanę, uważał bowiem, że w skrętach marnuje się zbyt wiele tej cennej używki.

- Myślę, że możemy to jakoś zorganizować, proszę pana - odpowiedział tamten siłąc się na dowcip. - Kolacja, łóżko i śniadanie. Jedzenie jest doskonałe. Musi takie być, skoro gotuje moja żona.

38

Sabat skinął głową. Jego twarz skryła się za zasłoną niebieskiego dymu.

- Jeśli chce się pan napić, to sprawdzę w tym czasie, czy mamy wolny pokój. Posiłki podajemy w porze lunchu, są smaczne. Sabat wyłączył się z rozmowy, znów pomyślał o tamtych kawałkach szkła na parkingu. Zło może objawiać się w różny sposób. Popijając whisky, niedbale rozglądał się po dużym pomieszczeniu, zwracając uwagę, jak bardzo wszyscy goście różnią się od przychodzących tu dawniej mieszkańców wsi. Część z nich to z pewnością przypadkowi przyjezdni, inni - biznesmeni, zajęci własnymi sprawami. Aż trudno było uwierzyć, że kraj przeżywa recesję gospodarczą.

Jego wzrok zatrzymał się na rudowłosej dziewczynie siedzącej na wysokim stołku przy barze. Sabat miał wrażenie, że jej sukienka podwinęła się nieprzypadkowo, ukazując podwiązki i kształtne uda. Pomyślał, że nie jest brzydka. Dwaj mężczyźni siedzący po obu jej stronach mogli bez przeszkód zaglądać w głęboko wycięty dekolt. Znamię na lewym policzku dodawało dziewczynie zmysłowości. Na oko miała trochę ponad dwadzieścia pięć lat. Najwyraźniej była tutaj stałym klientem. Wyczulone ucho Sabata wyłowiło z gwaru jej imię - Randa, prawdopodobnie zdrobnienie od Mirandy. Mężczyzna stojący za jej plecami coś do niej mówił, jednocześnie coraz śmieiej przesuwając rękę po jej udzie. Sabat przyjrzał się kobiecie uważniej. Czuł, że już wcześniej gdzieś ją widział. A może był to po prostu taki typ urody, który go podniecał.

Herbert Walley wyrwał go z tego rozmarzenia, z uśmiechem informując, że jest wolny pokój. Sabat skinął głową, dokończył drinka i podążył za nim w kierunku

39

wewnętrznych drzwi. Zegar ścienny wskazywał pierwszą trzydzieści po południu. Dziś Mark Sabat rozpocznie śledztwo.

- Miło mi widzieć pana, panie Sabat. - Wielebny Mauńce Storton żuł ustnik długiej fajki. W zeszłym tygodniu obchodził siedemdziesiąte czwarte urodziny i dziewiątą rocznicę przyjęcia do zakonu. Doszedł do wniosku, że praca w kościele jest na stare lata równie dobrym pólato-wym zajęciem, jak wiele innych. Całkiem spokojna, rutynowa praca; dopóki ktoś nie zacznie rozkopywać grobów.

- Chciałbym przejrzeć kościelne archiwa, poczynawszy od tych najstarszych.

W przypadku Stortona Sabat nie odczuwał zwykłej u siebie animozji do stanu duchownego. Współczuł mu raczej i był oburzony na hierarchię kościelną za sposób, w jaki wykorzystywała tego starego człowieka, składając na jego barki taki sam ciężar, jaki musiał w przeszłości nosić normalnie pracujący wikary. Ale zamiast zapłaty duchowny otrzymał tylko mieszkanie.

- Wszystkie dokumenty zabrała policja - wymamrotał Storton nie wypuszczając z zębów fajki. Wyjął ją z ust, między wargami a ustnikiem ciągnęło się pasmo śliny. - Nie wiem, kiedy przyniosą je z powrotem. Zresztą niewiele się z nich dowiedzą. To tylko nudne zapiski, rejestr przełożonych, pastorów. Może pan spróbować skontaktować się z inspektorem Plowdenem, choć jest to człowiek bardzo zasadniczy i trochę grubiański.

- Nie mam zamiaru współpracować z policją, dopóki nie wpadnę w prawdziwe kłopoty - odparł Sabat i także wyjął fajkę. - Mimo wszystko, szkoda, że Plowden ma te rejestry.

40

- Ale nie dostał wszystkich. Nie dałem mu Księgi Środowej - Storton mrugnął porozumiewawczo. - Nie pytał o nią, a po tym, jak się do mnie odnosił, nie zamierzałem mu udzielać żadnych dodatkowych informacji. Nie sądzę, żeby w ogóle domyślał się istnienia tego dokumentu, przypuszczam też, że i wikary zupełnie o nim zapomnieli.

- Księga Środowa?

- Tak, całkiem interesujące sprawozdanie o życiu parafii, sporządzone przez wiernych w drugiej połowie zeszłego stulecia. Wie

pan, wycinki z gazet i kilka ręcznie pisanych artykułów. Sądzę, że było to dla nich niezłe zajęcie na długie zimowe wieczory, gdy nie było jeszcze telewizji ani kina.

- I książkę ma tutaj tę książkę? - Sabat pochylił się do przodu, zapominając o fajce.

- Tak - Storton uśmiechnął się. - Leżała przez lata w zakrystii zbierając kurz, więc kiedyś postanowiłem zabrać ją do domu i przeczytać. Jest na górze, w mojej sypialni.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Oczywiście, pójdę i przyniosę ją panu. Sabat był spięty, przemierzał staromodnie urządzonego pokój, poznając po odgłosie powolnych kroków, że duchowny jest na schodach, następnie wchodzi do pokoju, położonego dokładnie powyżej. Zdawało mu się, że upłynęła wieczność, zanim Maurice Storton wrócił, dźwigając wielki, poplamiony i splowiały wolumin w skórzanej oprawie.

Sabat odwracał kartki drżącymi rękami. Nadzieja rozpałała się, gasła i znów świeciła. Tekst był beładną mieszaniną nie związanych ze sobą fragmentów. Trochę po-

41

zółkłych ze starości wycinków z gazet, prawie nie do od-cyfrowania.

- Przegryzienie się przez to zajmie mi całe godziny - mruknął w końcu.

- Więć proszę to wziąć ze sobą. - Duchowny starał się na nowo rozpalic fajkę. - Mówiąc otwarcie, niezbyt wiele udało mi się odczytać, moje oczy nie są już takie, jak kiedyś. Ale będę wdzięczny, jeśli pan mi to zwróci, bo jest to własność kościoła, a co będzie jeśli pastor nagle przypomni sobie o istnieniu księgi?

- Oczywiście - Sabat wstał. - Jeśli uda mi się posiedzieć nad nią przez kilka godzin samemu w moim pokoju hotelowym, to powinienem skończyć do jutra i podrzucić ją księdzu z powrotem.

- Okropna historia - Storton powlókł się do drzwi, aby wypuścić gościa. - Miejmy nadzieję, że teraz, gdy zajęła się tym policja, ci nikczemni ludzie zostawią nasz cmentarz w spokoju.

- Być może - Sabat uśmiechnął się mając nadzieję, że tajemniczy wyznawcy powrócą na cmentarz św. Adriana. To była dla niego jedyna szansa, aby ich schwytać. Ale na razie, rozplynęli się gdzieś w rozrzedzonym powietrzu.

Lektura Księgi Środowej okazała się nudniejszym i daleko bardziej trudnym zajęciem, niż Sabat przypuszczał. Całe tuziny wycinków i zapisków na temat świąt kościelnych, spotkań przełożonych i pastorów. Uciekł znów do swojej fajki, zastanawiając się czy nie traci czasu. Nagle wzrok jego padł na splowiałą notatkę wykonaną purpurowym atramentem. Każda litera była dokładnie wyczyszczona. U góry widniał tytuł: Proces o herezję. Na marginesie dopisano datę - 1871.

42

Sabat poczuł, że ciarki chodzą mu po plecach gdy od-cyfrował nazwisko: William Gardiner. Nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. Czytał:

Hańbą tego miasta jest sprawa, o której ludzie nie zapomną przez wiele lat. Jest nią proces przeciw Williamowi Gardinerowi, być może pierwszy proces o herezję, o jakim Anglia słyszała w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Oskarżenie wniesiono, gdy wymieniony wyżej człowiek został przyłapany na odprawianiu bluźnierczych obrzędów, całkiem nagi, na naszym poświęconym cmentarzu. Pan Gardiner, mieszkający wśród nas od dzieciństwa, znany był jako ateista, mimo wysiłków wielkiego Longhorna, aby przywrócić go do Owcarni Pana. Kawaler, mieszkający samotnie w Primorose Lahe, samotnik, rzadko widywany przez parafian, choć powszechnie wiadano, że bywa w zajeździe "Pod Brunatnym Bykiem". Za radą biskupa Lacey, świadek obscenicznych bezbożnych praktyk, wielki Longhorn, wniósł słuszne oskarżenie. Sąd Magistracki wezwał pana Gardinera na rozprawę, ale trzydziestego kwietnia sędziowie uznali go niewinnym herezji. Sędzia Wilkinson dodatkowo zganił Kościół za marnowanie czasu Sądu na wysuwanie przestarzałych, choć wciąż żywych oskarżeń. Pan Gardiner znowu zamieszkał we wsi mimo nieprzychylnych mu uczuć mieszkańców. Sabat czytał w napięciu. Data uniewinnienia - trzydziesty kwietnia... Noc Walpurgii - czas, gdy siły zła osiągają największą moc. To zbyt wiele, jak na zwykły zbieg okoliczności. Czy moce, którym Gardiner złożył hołd przybyły mu na ratunek podczas procesu?

Zawzięcie żując wygasał fajkę. Sabat przerzucił kilka

43

kartek. Zgromadzenie religijne... poświęcenie nowo nabytej ziemi, przylegającej do cmentarza... Chryste, musi być coś jeszcze. I było. Tym razem był to żółty wycinek z lokalnej gazety z datą siódmego listopada 1880, zatytułowany Zmarli. Przebiegł wzrokiem ułożoną alfabetycznie listę nazwisk. Gardiner William, zmarł nagle trzydziestego pierwszego października w wieku lat pięćdziesięciu. Pogrzeb odbył się czwartego listopada na cmentarzu św. Adriana. Nic więcej.

Sabat zamknął księgę z głośnym trzaskiem. Oczy mu płonęły, niemal się uśmiechał. To było to, brakujące ogniwo w historii magicznych praktyk na cmentarzu św. Adriana. William Gardiner uprawiał czarną magię i został uwolniony przez sędziów w noc Walpurgii. Umarł w noc przed świętem zmarłych. Diabeł został pochowany, i teraz, po upływie ponad stu lat, odkopano jego kości. Kto i dlaczego to zrobił? Odpowiedź na drugie pytanie była aż nadto oczywista: szczątki Gardinera miały magiczną moc i zostały użyte do nawiązania kontaktu z ciemnymi siłami. Dopóki Sabat nie znajdzie odpowiedzi na pierwsze pytanie, nie dowie się jaki diabeł przybył do tej wsi.

Wstał i podszedł do swej walizki. Otworzył ją, wyjął sznur, krede i srebrny kielich. Pentagram był potrzebny dla jego własnego bezpieczeństwa. Tej nocy jego ciało astralne musi przeszukać okolicę, jeśli ci nowoczesni magowie mają zostać odnalezieni. A każda sekunda spędzona poza ziemskim ciałem grozi strasznym niebezpieczeństwem.

Wczesnowieczne słońce odbijało swoje promienie od leniwych wód krętej, wąskiej rzeki. Brzeg po obu stronach był pionowy, ale sterczące zeń korzenie stanowiły przykry

44

niespodziankę dla każdego, kto zechciałby skakać do wody. Te same korzenie wystawały również pod powierzchnią i często zatrzymywały na sobie różne unoszone przez nurt przedmioty: kawałki materiału, opony, albo... martwe ciało.

Inspektor śledczy Plowden stał na brzegu w cieniu rozłożystej wierzby, mając nadzieję, że nie będzie zmuszony zejść na dół. Zawsze po cichu bał się głębokich, zamulonych rzek, mimo, iż był względnie dobrym pływakiem. Nigdy nie pozbył się tego dziecięcego strachu. Gdzieś w zakamarkach jego mózgu czaiła się myśl, że ciemny prąd może skrywać coś śliskiego i niebezpiecznego, na przykład aligatora, który uciekł z terrarium. Rozum podpowiadał, że szansę, iż coś takiego się zdarzy, są

jak jeden do pięćdziesięciu milionów, ale mimo tego niewątpliwie logicznego argumentu, inspektor nie był w stanie polubić rzek tego rodzaju. Ale kiedy spojrział na martwe ciało wydobyte przez nurka z głębi, stwierdził, że szansę aligatora znacznie spadły. Inspektor przygryzł dolną wargę i sięgnął po papierosa, ale przyszło mu na myśl, że smak tytoniu może przyprawić go o wymioty. Żołądek skurczył się, a w ustach Plowden poczuł coś o ostrym gorzkim smaku.

- To dziewczyna - sierżant Hurst zdecydował, że ktoś powinien się odezwać.

Grupa po cywilnemu ubranych policjantów pomagała wyciągnąć zwłoki na brzeg. Oblepione wodorostami, spuchnięte ciało wyglądało jak jakiś ohydny wodny stwór. Położyli je na trawie. Odrzucona do tyłu głowa odsłaniała otwartą ranę w miejscu gardła i rojowisko kłębiących się tam robaków.

- Chryste! - skrzywił się nurek, zdejmując maskę.

45

- Wyłowiłem już w życiu kilka trupów, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Te pierdolone szczury pewnie myślą, że Boże Narodzenie przyszło w tym roku wcześniej.

- Zamknij się! - Plowden walcząc z nudnościami zmusił się do przykłonienia przy zwłokach. Pomyśleć, że będzie musiał zbliżyć się do tej rzeczy, dotknąć jej. Jego palce niemal odruchowo się cofnęły. Oblepione mułem włosy dziewczyny splecione były w bezkształtny kołtun, nie dało się nawet określić ich koloru. Otwarte oczy zdawały się wpatrywać w detektywa. Plowden z trudem oparł się pokusie zamknięcia ich. Nurek miał rację, szczury miejscami obgryzły ciało do kości, rozerwały brzuch, aby dostać się do jelit. Surowe Haki. Plowden niemal zwymiotował na samą myśl.

Nie miał tu nic do roboty. On prowadził śledztwo w sprawie czarnej magii i bezczeszczenia grobów, a ten prosty przypadek utonięcia należy zostawić chłopcom w mundurach. Sprawdzą w rejestrze osób zaginionych i zidentyfikują zwłoki. Nie powinno być żadnego problemu. Ludzie z CID szukają zaginionego szkieletu, a nie ciała i nie mogą tracić czasu na taką prostą sprawę. Wyprostował się i zapalił papierosa. Będzie musiał wytrzymać tu jeszcze przez chwilę, zanim ktoś przyjdzie go zmienić. Wtedy on wróci do swojej pracy. Nie będzie już musiał nawet spojrzeć na to zmasakrowane ciało.

- Co to za ślady? - Nurek, klęcząc, dotknął palcem czoła dziewczyny.

- Myślę, że to po szczurach... - głos detektywa zamarł nagle. Nie miał zamiaru patrzeć tam znowu, ale wiedziony policyjną rutyną mimowolnie spojrział na ciało. Zauważył parę głębokich nacięć w kształcie litery V. Tak,

46

śmiertelne uderzenie, nikt nie może przeżyć czegoś takiego. Nieociosana gałąź. Jezu, to mogło być po prostu morderstwo. Znowu poczuł skurcz żołądka, i kanapka, zjedzona na późny lunch podeszła mu do gardła. To nie widok śmierci, ani brutalność uderzenia tak nim wstrząsnęła. Znał już takie ślady. Podobnego uczucia doświadcza się, ponownie oglądając w telewizji filmy widziane kiedyś, dawno temu.

- To mi nie wygląda na szczury - nurek upierał się, niezadowolony, że ktoś podważa jego spostrzeżenia. - Wygląda, jakby przeleciała się po niej jakaś pierdolona owca.

- Nie - Plowden wyprostował się, odwrócił i oparł o pień wierzby. Kiedy przeszła fala mdłości powiedział:

- To nie owca. Powiedziałbym raczej, że to ślady kozia. Ci gówniarze przyprowadzili go by posiadał ciało drugiej martwej dziewczyny. To jest odpowiedź!

I nagle okazało się, że wieczór nie jest już tak łagodny. Ciała trzech spoconych z przerażenia policjantów owioną chłód.

Rozdział III

Była ósma, gdy Sabat rozebrał się i położył na łóżku ustawionym na środku pentagramu. Był napięty i niespokojny. Postanowił odpocząć chwilę. Tym razem na szczęście nie opanowały go żadne erotyczne myśli.

Hałaśliwi goście zaczęli opuszczać pub pod jego pokojem. Głośno trzaskały drzwi samochodów, warczały silniki. Dobiegały odgłosy pożegnań i wybuchów śmiechu. Ktoś śpiewał, ale kazano mu się zamknąć.

W przeciągu pół godziny hałasy ucichły, słychać było tylko brzęk zmywanych naczyń. Sabat odetchnął głęboko, powoli wypuszczając powietrze. Czekają go teraz trudne zadanie transformacji ciała astralnego. Musiał wysłać do podświadomości rodzaj ściślejszej dyrektywy; zdanie się na przypadek byłoby tyleż bezsensowne, co niebezpieczne.

Penetrując cmentarz nie osiągnie niczego. Policja była teraz zbyt wyczulona na praktyki czarnej magii, aby mógł ryzykować podróż w to miejsce.

Miranda! Sabat prawie natychmiast wybrał ten sposób działania. Zaskoczyło go to, zastanowił się, czy to nie seksualne pożądanie wzięto znowu górę. Po chwili wiedział jednak, że to nie to. Było wokół niej coś, co już wcześniej przyciągnęło jego uwagę, rodzaj intuicyjnego, trudnego do wyjaśnienia, pozazmysłowego postrzegania; ślepa wiara we własną nadprzyrodzoną moc.

Sen przychodził powoli, ale Sabat poczuł ostatecznie, że wyslizguje się ze swojego fizycznego ciała i patrzy na

48

nie z góry, doświadczając tego samego lęku, jaki odczuwał zawsze, gdy opuszczał swoją ziemską powłokę. Za każdym razem obawiał się, że złe moce uniemożliwią mu powrót. Wielu ludzi umarło w ten sposób, choć ich śmierć przypisano naturalnym przyczynom. W ostatnich latach powiedziano i napisano setki nonsensów o ludziach, którzy przeszli śmierć kliniczną i pamiętali, jak ich dusze opuszczały swoje ziemskie ciała. W większości przypadków chodziło po prostu o rodzaj letargu, podczas którego zdawali sobie sprawę z posiadania ciał astralnych i nie miało to nic wspólnego ze śmiercią.

Sabat szybował nad wioską, okrytą teraz płaszczem zmroku. Minął go lecący w górę nagi mężczyzna - ktoś, kto przed chwilą zmarł i nie zdążył się jeszcze nauczyć ubierania swej duszy. Sabat rozważał, czy nie zmienić się w sowę lub w nietoperza, ale nie było to jeszcze konieczne. Jediną osobą, która o nim wiedziała był Quentin, a przed nim i tak nie mógł się ukryć.

Wioska spała. Słabe światło gwiazd odbijało się gdzieś od dachów. Z góry kościół wyglądał prawie jak ruiny. Wiatr strącił część dachówek. Wiatromierz zwiślał niepewnie z dzwonnicy, jakby miał zaraz spaść. Sabat zatrzymał się na chwilę, aby uważnie się przyjrzeć zarośniętemu cmentarzowi. Coś mogło się ukrywać w tym głębokim cieniu. Podleciał niżej, ale nie

zobaczył niczego, nie było nawet pilnującego policjanta.

Wzniósł się znowu, rozbawiony, starając się jednak zachować resztki czujności. Ciemne moce z pewnością wiedziały już, że wyszedł z ciała. Zostawił za sobą starą wieś, kierując się w stronę dużych posiadłości. Gospodarz "Brunatnego Byka", mrugając porozumiewawczo, opisał mu miejsce, gdzie mieszkała Miranda. "Trudno będzie pa-

49

nu zastać ją wieczorem", powiedział. "Oczywiście, jeśli nie będzie miała jakiegoś specjalnego powodu, aby tam wrócić. Większość czasu spędza tu, w barze i jeśli chce się pan z nią zobaczyć...". "Nie chcę", uśmiechnął się Sabat, "po prostu byłem ciekawy, to wszystko".

Walley wykrzywił twarz w uśmiechu, ale powstrzymał się od komentarza. Był przyzwyczajony, że goście wypytyują go o Mirandę.

Wszystkie domy wyglądały tak samo - kwadratowe lub podłużne pudełka, stojące oddzielone lub połączone. Przy wszystkich - małe ogrody, upakowane tak ciasno, jak się tylko dało. Sabat szybował ponad ulicami, wśród czerwonych ceglanych murów, aż wreszcie znalazł dom, którego szukał i wszedł do środka. Było to małe, jednoosobowe mieszkanie z ciasnym korytarzem prowadzącym do zbudowanego w kształcie litery L pokoju z kuchnią. Panował tu bałagan. Z kuchni i porozkładanych na krzesłach brudnych ubrań unosił się nieprzyjemny zapach. Sabat zatrzymał się. Jego wyostrome astralne zmysły wyłowiły jakiś dźwięk, jakby coraz głośniejsze jęczenie. Odgłos dobiegał z góry i brzmiał tak, jak gdyby ktoś płakał z bólu. Nie przyszło mu wcześniej na myśl, że Miranda może nie być sama. Widząc panujące tu ciemności, wysnuł wniosek, że albo śpi w swoim łóżku, albo jeszcze nie wróciła. Zatrzymał się zdumiony w drzwiach sypialni. Wewnątrz paliła się słaba lampka, stojąca na biurku. Miranda rzeczywiście była w łóżku, ale nie była sama i nic ją nie bolało. Jęczała z rozkoszy, kochając się dziko i najwyraźniej przeżywała właśnie orgazm. Siedziała okrakiem na leżącym na łóżku mężczyźnie. Jej giętkie ciało wilo się końwulsyjnie, na małe piersi spływały z jej głowy pasma kasztanowych włosów, przez które przebiegały tylko różowce

i twarde sutki. Głośno dyszała, próbując nie stracić oddechu.

Sabat przyjrzał się leżącemu pod nią mężczyźnie. Był wielki i tylko dzięki jego wzrostowi nie można było nazwać go grubym. Góra mięsa prężąca się pod naciskiem ciała Mirandy. Na jego wysokim czole błyszczały krople potu, spływające z łysiejącej głowy. Zadowolony, mrugał od czasu do czasu małymi, osadzonymi blisko siebie oczami i zaciskał zbielełe wargi.

O dziwo. Sabat nie był podniecony. Opuściwszy ziemskie ciało, stał się jedynie biernym świadkiem działań podejmowanych przez śmiertelnych ludzi. Wszedł do pokoju. Całkowicie niewidoczny, nie musiał się obawiać odkrycia swojej obecności.

Sczepione ze sobą, drżące ciała wily się w spazmach rozkoszy, wprawiając w wibrację skrzypiące łóżko i lampkę na stole. Jęki przerodziły się w krzyk ekstazy i Miran-da opadła na swojego kochanka, ocierając się piersiami o jego owłosiony tors i niemal wbijając mu ostre sutki w skórę.

Jakiś czas później leżeli obok siebie w milczeniu i Sabat przestraszył się, że zasną i nie obudzą się do rana. Zmarnowałyby wówczas całą noc, gdyż niebezpiecznie było przebywać poza fizycznym ciałem dłużej niż przez kilka godzin. Jednakże po mniej więcej dwudziestu minutach mężczyzna drgnął i zaczął wywalać się ze zmysłowych objęć partnerki.

- Muszę iść - mruknął.

- Bo twoja żona zacznie coś podejrzewać? - zapytała Miranda z odcieniem zazdrości w głosie.

- Mam robotę. - Po omacku szukał swojej koszuli, leżącej na podłodze. - Inni będą się niecierpliwić. Nie

51

spotykaliśmy się przez ponad miesiąc, bo było to zbyt niebezpieczne. Znaleźli ostatnio ciało Sheili Dowson. Gliny będą się kręcić po wsi przez całe tygodnie.

- Ale my jej nie zabiliśmy. Ona po prostu... miała udar mózgu, albo coś w tym rodzaju.

- Udar mózgu - zaśmiał się sztucznie. Wciągana przez głowę koszula ukryła graniczący z przerwaniem wyraz jego oczu. -

Żaden udar mózgu nie może rozbić czaszki tak, jak... jak kopyto jakiegoś zwierzaka. Sama wiesz, co stało się tamtej nocy i jak to się skończyło dla Horacego.

- Nie patrzyłam. - Jej dotąd rumiana cera stała się nagle trupio biała. - Ukryłam twarz w trawie i zacisnęłam mocno powieki, modląc się, aby to samo nie przydarzyło się mnie. Jak myślisz, kiedy Horacy wyjdzie od czubków?

- Nieprędko, jeśli w ogóle. - Wielki mężczyzna siedział teraz na brzegu łóżka, walcząc ze spodniami. - Ostatnio, jak słyszałem, uważa się za premiera i polecił lekarzom, aby go wypuścili, oskarżając ich o obalenie jego rządu wojskowym zamachem stanu. Myślę, że teraz ja będę musiał przejąć przywództwo.

- Dlaczego... dlaczego nie możemy po prostu o wszystkim zapomnieć, Royston? - głos Mirandy drżał, - Nie musimy... spotykać się więcej... albo...?

- Jesteś małą, głupią kurwą. - Wykrzywił twarz i zamachnął się, jakby chciał ją uderzyć. - Zaszliśmy za daleko, aby się wycofać. Nie ma odwrotu ze Ścieżki Lewej Ręki, jeśli się już raz na nią weszło, powinnaś o tym wiedzieć. Jesteśmy uczniami Mistrza i jeśli spróbujemy zdezerterować, zniszczy nas tak samo, jak zniszczył Sheili Dowson. Ale teraz dysponujemy największą mocą, mam)

52

kości Gardinera, który, chociaż mało znany, był jednym z największych magów. Mistrz będzie nas miał w swojej opiece, jeśli będziemy mu dobrze służyć, nie bój się.

- Horacego nie miał w opiece - dziewczyna drżała na całym ciele - ani... ani Sheili Dowson.

- On działa na swój własny tajemniczy sposób. Horacy osiągnął to, do czego wiele lat temu doszedł Crow-ley, ale w krytycznym momencie zabrakło mu odwagi. Wypaplałby wszystko policji. Mistrz wiedział o tym i dlatego zamknął mu usta. Zabiłby go prawdopodobnie, gdyby nie to, że Horacy poświęcił się Ścieżce Lewej Ręki. Jest to przykład wyrozumiałości Mistrza w stosunku do uczniów. Teraz my musimy podjąć zadanie. Najtrudniejsze zostało już zrobione.

- Ale nie na cmentarzu - jęknęła błagalnie.

- Oczywiście, że nie... nie teraz. Nie myśl, że nie podjąłem kroków w celu znalezienia nowego miejsca. Nasza nowa świątynia jest już gotowa. Zbierzemy się tam nocą za kilka dni, ale do tego czasu nie mogę wyjawić, gdzie to jest.

- Wiesz, że nie powiedziałabym nikomu.

- Ufam, że nie. Gdybym chociaż tylko podejrzewał, że to zrobiłaś, rzeka pochłonęłaby następne ciało.

Miranda przełknęła ślinę, przypomniał sobie los Sheili Dowson.

- Mamy wroga - Royston zniżył głos do szeptu, Sabat zeszywniał. - Widziałem go niedaleko wioski i zorientowałem się, czego szuka. To czarny sęp, który unika kontaktu z policją i węszy za nami. Ale nasza moc jest tak wielka, że nie boję się. Zniszczymy go.

Sabat cofnął się, rozważając czy nie powrócić natychmiast do ciała. To była jego pięta achillesowa - jeśli go

53

odkryją, będzie całkowicie bezbronny. Nawet pentagram nie obroni go przed fizycznym atakiem, może trzymać na odległość tylko złe duchy. Ale musiał zostać tu jeszcze przez chwilę, żeby dowiedzieć się gdzie teraz zbiorą się wyznawcy. Może powinien pójść za tym Roystonem do jego domu.

- Jesteśmy bliscy uzyskania potężnej mocy - Roy-ston objął całkiem już ubraną, skurczoną ze strachu Mirandę. - Zrobiliśmy to, na co nie zdecydowało się wiele bojaźliwych Zgromadzeń w całym kraju... złożyliśmy Mistrzowi w ofierze martwą dziewczicę i żywą kobietę. On przyjął je obie i odwzięczy się nam sowicie. Policja i Kościół nie zdołają nas zatrzymać. Jesteśmy jego wyznawcami, nie zapominaj o tym.

Sabat zawahał się, gdy wielki mężczyzna zbiegał ze schodów. Spojrzał na rozciągniętą na łóżku Mirandę, która właśnie zaczynała szlochać. Jeszcze raz zastanowił się, gdzie mógł ją wcześniej spotkać. Gdy był poza ciałem, jego niezaabsorbowana ziemskimi sprawami pamięć pracowała niekiedy lepiej. Niejasne wspomnienie... minione życie... coś przyćmionego we mgłę bezkresnego czasu, strzępy myśli.

Usłyszał wściekłe krzyki i jakiś zgłęb. Powietrze wypełniło się duszącym dymem. Sabat zrozumiał, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Porzucił pomysł śledzenia Roystona i przybierając postać sokoła szybko pofrunął w stronę zajazdu. Drażniący zapach drewna stawał się coraz silniejszy i Sabat bał się z każdą chwilą bardziej.

Już z daleka dojrzał strzelające z dachu "Brunatnego Byka" czerwono-żółte języki ognia. Snopy wzlatających ku niebu iskieł sprawiały wrażenie jakiegoś niezwyklego

54

pokazu sztucznych ogni. Zdawało się, że ten płonący wir wessie go w sam środek ognistego piekła.

Jego ciało zaczęło się budzić. Oddychał ciężko, dusząc się. Wciąż nagi, stoczył się z łóżka i kopnął kielich. Po podłodze rozprysnęła się woda święcona. Słyszał dobiegający skądś krzyk. Przeszedł przez pokój i otworzył drzwi, ale gwałtowna fala gorąca zmusiła go do cofnięcia się. Całe piętro stało w ogniu, ze schodów nie zostało nic, prócz porozrucanych płonących belek.

Sabat zamknął drzwi i oparłszy się o nie plecami próbował pozbiierać myśli. Nie wpadł w panikę. Było jasne, że to oni są odpowiedzialni za ten pożar - Royston i jego diabelscy zwolennicy ze Ścieżki Lewej Ręki. Wyprzedzili go o jeden mch.

Wytropili go już na początku i postanowili zlikwidować jak najszybciej. Byłaby to śmierć gorsza od śmierci, gdyż Quentin zamknąłby na zawsze jego duszę w czarnej pustce Krainy Cieni. Fizyczna agonია byłaby jedynie początkiem. Sabat nie modlił się, ani nie przeklinał. Po prostu ślubował zemstę i przyrzekł sobie, że wszystko jed-ao jak, ale wyjdzie z tego żywy. W końcu zdążył powrócić do ciała na czas - w ostatniej chwili.

Płomienie lizały już drzwi, zmuszając go do działania. Poświęcił chwilę na założenie czegoś na siebie, nie dlatego, żeby ubranie było mu potrzebne, po prostu miał kilka izeczy, których nie chciał tu zostawić. Schował do kiesze-,ni kielich, mały krucyfiks i ziola. Wymacał tam też doda-łjący otuchy kształt rewolweru. Ten ostatni mógł być użyteczny w przypadku bezpośredniego starcia z członkami •stowarzyszenia. Liczył, że uda mu się posłać kulę w czaszkę Roystona.

i Przeszedłszy przez pokój wyrzucił oknem. Na parkingu ltebrał się tłum ludzi, wielu w szlafrokach i płaszczach

55

pospiesznie narzuconych na pidzamy. Wpatrywały się \ niego przerażone oczy. Większość przysła z zewnątrz Przybyli mieszkańcy wsi, nie chcący stracić tego upiornego go widowiska, wielkiego wydarzenia w ich spokojnym i} ciu. Mniejszość skrycie pragnęła zobaczyć na własne ócz ten przerażający rodzaj śmierci, ujrzeć ludzką istotę spo witą w płomienie, usłyszeć jak skwierczy jej tłuszcz, sma żąc się, niczym ochłap wołowiny na rozgrzanej patelni.

Z dachu spadła lawina płonącego gruzu i gapie odsu nęli się do tyłu. Nagle wśród czerwono-żółtego blaski jak dziwny dysonans pojawiło się mrugające niebieski światło. Wielki metalowy potwór torował sobie drogę n parking. Straż pożarna.

Sabat wiedział, że jest już za po;

no, aby strażacy mogli do niego dotrzeć. Płonąca werar da pod jego oknem skutecznie broniła dostępu do pokoji

Odwrócił się, przemknęło mu przez głowę, że to ju naprawdę koniec. Piekielny ryk płomieni brzmiał w jeg uszach, jak śmiech Ouentina. Tym razem nie ma już di ciebie ratunku, Mark.

Nagle poczuł mdłości, coś, czego doświadcza śwież upieczony żeglarz, gdy statek zaczyna się pod nim kól] sać. Zawrót głowy, zmuszający do przytrzymania się cz< gokolwiek. Sabat oparł się o łóżko, czując, że zaczyna ono odjeżdżać w przeciwną stronę. Ale to było niemożl we... usłyszał trzask pękającego drewna i łóżko pochylił się. Jedna z jego nóg wpadła w dziurę w miejscu, gdzie złamały się deski. Sabat przetarł piekące oczy i zobacz;

niewielki otwór w podłodze, prowadzący do baru poniżę Stare belki pękły w wyniku naprężenia, gdy podłoga skul czyła się pod wpływem gorąca. Zaświtała niewielka n< dzieją. Sabat nie wahał się. Przywarł plecami do ścian:

zapierając się obiema nogami o wezłowie staromodneg

56

łóżka. Wyteżył wszystkie swoje nadwątlone siły. Pot spływał strumieniami po jego twarzy i zmieszany z dymem zalewał oczy. Początkowo nic się nie stało, lecz po kilku sekundach łóżko zapadło się z ciężkim łoskotem, łamiąc osłabiony drewniany strop. Sabat stracił równowagę i przewrócił się. Gdy otworzył oczy, ujrzał wnętrze baru.

Pożar opanował na razie tylko pierwsze piętro, gdzie prawdopodobnie został rozniecony. Ogień zaczął już trawić jedną ze ścian pokoju Sabata, gorące powietrze parzyło skórę. Mark z całej siły tupnął. Posypały się drzazgi. Skoczył. Spadłszy na dywan, przeturlał się jeszcze pół metra. Zewsząd sypały się gruzi, a ciężka belka umieszczona nad drzwiami groziła zawaleniem w każdej chwili. Skoczył do wyjścia, słysząc łoskot podobny do wystrzału. Poczuł silne uderzenie i zakręciło mu się w głowie. Powoli opuszczała go świadomość. Rozjaśniona ogniem noc obróciła się w nieprzenikloną ciemność, całkowite zapomnienie, tak chłodne i odświeżające po tych chwilach przeżytych w sercu piekła.

Sabat z największym wysiłkiem usiłował doprowadzić swój umysł do porządku. Świadomość wymykała mu się, jakby zeń

drwiła. Wyślizgiwała się gdzieś na manowce, gdy myślał, że już ją ma. Wciąż czuł zapach dymu i zastanawiał się czy rzeczywiście wyszedł już z płonącego budynku, a przekonując się, że wyszedł - znów popadał w tą ohydny czarną otchłań. Był w stanie półletargu, ale czuł wokół siebie blask jakiegoś oślepiającego światła. E Może już nie żył i jego dusza została skazana na wieczną 'włóczęgę' po jałowych przestrzeniach, jako niższa istota, duch, który zapewne zostanie wezwany przez Mistrza, ale do tego czasu musi pozostać na tej okropnej pustyni.

57

Jakiś czas później, po kilku godzinach, dniach czy tygodniach, Sabat doszedł do wniosku, że jest w szpitalu. Choć czuł jeszcze niekiedy gryzący zapach dymu, to jednak jego zmysły rejestrowały głównie woń środków dezynfekcyjnych, ubrane na białą sylwetki i głosy rozmawiających szeptem ludzi.

Zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim w pełni odzyskał świadomość, zanim udało mu się przez pół-przymknięte obolałe oczy zobaczyć nagie, białe ściany. Leżał na łóżku w małym pomieszczeniu, w którym jedynym ustawionym przy przeciwległej ścianie meblem był stół. Izolatka.

Po kilku minutach wszedł łysawy mężczyzna w długim białym kitlu. Uśmiech na jego twarzy był ewidentnie tylko zawodowym grymasem.

- Ach, pan Sabat, więc zdecydował się pan w końcu wrócić do świata żywych.

- Niewiele brakowało, prawda? - Sabat z trudem rozpoznał własny głos w tym drażniącym gardło skrzeczeniu. Każdy ruch szczęki sprawiał mu ból.

- Niewiele - doktor usiadł na brzegu łóżka. - Wymknął się pan płomieniom, ale gdy był pan już niemal na zewnątrz, spadająca belka uderzyła pana w głowę. Martwił nas pański stan. Baliśmy się, że może się pan nie obudzić z tego letargu. Ale teraz chyba wszystko będzie w porządku, chociaż pomęczą się pan jeszcze tutaj tydzień, dwa.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Trzy dni. Jest pan w szpitalu we Wschodnim Birmingham.

- Dziękuję - Sabat próbował się uśmiechnąć. Podniósłszy rękę stwierdził, że ma zabandażowaną głowę, a

58

iało usztywnione. Lepiej jak najszybciej opuścić ten szpital. Zgodnie z jego ulubionym powiedzeniem istnieją trzy miejsca, od których należy trzymać się z daleka: więzie-ia, kościoły i szpitale. Poczul się hipokrytą.

- Zostanie pan tu najwyżej przez tydzień - głos oktora był surowy, zupełnie jakby lekarz odczytał myśl acjenta.

Gdy doktor odszedł, Sabat usiłował się odprężyć, ale było to niemożliwe. Wrogom nie udało się go zabić, ale sunęli go z pola walki. Człowiek imieniem Royston przy-otuje ołtarz nowej czarnej mszy, d kości Williama Gardi-iera zostaną użyte do wyzwolenia potężnych złych mocy. Sabat był w sytuacji rajdowca, który rozbił swój samo-hód. Dla własnego dobra musi jak najszybciej znów za-zać działać. Oprócz tego miał teraz do wyrównania osó->isty rachunek, jego dusza płonęła nienawiścią do Roy-ona, odpowiedzialnego za to wszystko. W SAS pokaza-10 mu, jak się zabija, a Sabat był zdolnym uczniem.

Człowiek, który wszedł teraz do jego pokoju miał pro-esję wypisaną na twarzy i nawet cywilne ubranie nie było w stanie ukryć, że jest policjantem. Pielęgniarka stała w lrzwiach z niepewną miną, zastanawiając się, czy dobrze robiła wpuszczając tego gościa. Lekarz powiedział wy-ażnie: żadnych odwiedzin. Ale nie mogła przecież zatrzy-nać tego poważnie wyglądającego i budzącego respekt złowieka. Nie sposób dyskutować z policją.

- Plowden - przedstawił się stanowczym głosem)rzybyły i nie pytając nawet o samopoczucie pacjenta, dołał - inspektor śledczy.

Sabat przyjął to ze stoickim spokojem. Nadludzkie wysiłki, jakie czynił, aby umknąć spotkaniu z policją

59

speliły na niczym. Skinał głową czując jak ciężą mu bandaż.

- Miło mi pana widzieć, inspektorze. To było oczywiście kłamstwo.

- Słyszałem, że interesował się pan sprawami kościoła św. Adriana - głos Plowdena był nieprzyjemny. -Pomyślałem, że byłoby uprzejmie, gdyby pan skontaktował się z nami.

Mięśnie twarzy Sabata były napięte.

- Zważywszy, że byłem we wsi tylko przez kilka godzin, nie miałbym szansy, nawet gdybym chciał. Zresztą nie chciałem, bo interesowało mnie co innego niż was i nie wiedziałem przyczyny, dla której mielibyśmy współpracować. Biskup...

Plowden ledwo powstrzymał się przed powiedzeniem "pierdolić biskupa" i rzekł:

- Znaleźliśmy w rzece zwłoki kobiety z takimi samy' mi śladami kopyt, jakie odkryto na ciele martwej dzie' wczyny, którą ci gówniarze wykopali z grobu. Kobiets nazywała się Sheila Dowson. Była notowana w Londynie jako prostytutka. Była też karana za współudział w sprze' dąży narkotyków. Prowadzę śledztwo w sprawie morder stwa.

Wzdrygnął się, wywołując z pamięci obraz zmasakro' wanego ciała, czaszki zgruchotanej uderzeniem kopyta Poczul zawrót głowy i mdłości.

- Wsunie pan zapewne jakąś niedorzeczną teorię c wywoływaniu diabła. - Głos policjanta zabrzmiał sarka stycznie. - Ja wolę rozumować bardziej racjonalnie Myślę raczej o metalowych pałkach w kształcie kopyt i c bandzie naszprycowanych gówniarzy, którzy wyobrażają sobie, że udało im się wyczarować Starego Nicka. Niec

60

sobie wyobrażają. Ale nie przyszedłem tutaj, aby mówić o tym, co znalazła policja, z pewnością czytał pan o tym w brukowych dziennikach. Przyszedłem, żeby pana ostrzec... niech pan nie przeszkadza, bo w przeciwnym razie rozpoczniemy śledztwo przeciw panu.

- Byłoby to raczej trudne. - Sabat poczul się gorzej, z trudem przymknął oczy. - Tym niemniej powiedział pan coś, co już podejrzewałem.

- Coż takiego?

- Że nie mamy tu do czynienia z grupą szukających sensacji nastolatków. Stoimy przed jednym z najniebezpieczniejszych z istniejących dotąd zgromadzeń, uzbrojonych w potężną i groźną moc.

- Pierdoły - warknął Plowden - wkrótce przymkniemy ich wszystkich, zapewniam pana.

- Życzę sukcesu. - W głosie Sabata dźwięczała zarówno nuta szczeroci, jak i powątpiewania. - Ale nie sądzę, że znajdzie ich

pan tak łatwo, inspektorze. Czy znalazł pan już szkielet Williama Gardinera?

- Nie, ale to nie jest ważne, chyba, że jako dowód przeciwko tym, którzy ukradli te kości. Być może zresztą pozbyli się ich, spalili i nigdy ich nie znajdziemy.

- Rozumiem.

Sabat znów zamknął oczy, rozmyślnie pozostał tak przez pewien czas, a gdy je otworzył, inspektora już nie było. Najlepszy sposób zakończenia tej bezsensownej dyskusji.

Wiele wysiłku kosztowało go podniesienie się z łóżka. [Gdy próbował stanąć na nogach, niemal się przewrócił. Nie przytrzymał się jednak łóżka. Całą siłą woli walczył z odpływającą falą świadomości. Zebrał całą energię swojego ciała. W SAS przeżył już gorsze rzeczy i poradził so-

i

61

bie siłą umysłu, tą samą, której używał do egzorcyzmowania złych duchów. Teraz przyda mu się ta umiejętność. Fizycznie był słaby, ale wiedział, że mu się uda. Musi się udać.

- Panie Sabat!

Nie usłyszał, jak młoda siostra wchodziła do izolacji. Jego zmysły pracowały wykorzystując jedynie część swoich możliwości.

- Proszę zaraz wrócić do łóżka.

- Wychodzę... teraz - powiedział z desperacją. Proszę o moje rzeczy.

Był błąd jak ściana Pielęgniarka patrzyła na niego niedowierzaniem. Wycofała się powoli, ale Sabat wiedział, że nie przyniesie mu jego ubrania. Poszła po doktora.

Lekarz zjawił się po kilku minutach, zły, że mu przytrafiło się coś złego i zły na pacjenta, który nie usłuchał jego poleceń.

- Wydawało mi się, panie Sabat, że dość jasno pan wiedziałem. Nie wyjdzie pan do domu przed upływem tygodnia.

- A ja mówię panu wyraźnie, że wychodzę teraz. Oczy Sabata zabłysnęły wściekłością i doktor cofnął się o krok.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że nie może pan trzymać mnie tu wbrew mojej woli. Otrzymam moje ubrania, czy mam dzwonić do adwokata?

Minęło kilka sekund pełnego napięcia milczenia.

- Tak, nie mogę pana zatrzymać - lekarz przybił obojętny ton - ale ostrzegam pana, że nie biorę na siebie odpowiedzialności za konsekwencje tej nierozsądnej decyzji i niebezpiecznego stanu, szansę powtórne

przyjęcia pana do tego szpitala są nikłe. Siostrze, proszę przynieść rzeczy pana Sabata i formularz wypisu.

Gdy tamci wyszli, Sabat usiadł na brzegu łóżka. Był słaby i kręciło mu się w głowie, ale pozwolił sobie na uśmiech. Wygrał kolejną potyczkę z Quentinem, ale prawdziwa bitwa dopiero go czekała.

- Naprawdę, nie powinien był pan wracać. Wielebny Storton ssał fajkę, z dezaprobatą kiwając głową tak, jak zwykł robić mówiąc o bezbożnościach dzisiejszego świata.

- Ale jeśli nie wróci pan do szpitala, może ja mógłbym zaoferować panu łóżko u siebie. Od czasu, gdy moja ukochana żona odeszła do wieczności, spiam w tym dużym pokoju.

- Z przyjemnością przyjmę zaproszenie - uśmiechnął się Sabat - ale nie, aby się tu leczyć. Obawiam się, że "Brunatny Byk" nie będzie czynny przez jakiś czas, więc potrzebuję noclegu. Ale, wielebny ojcze, nie chciałbym, aby zbyt wielu ludzi dowiedziało się o moim powrocie. Zresztą i tak sami się dowiedzą. Ach, ogromnie mi przykro z powodu Księgi Środowej, obawiam się, że spłonęła podczas pożaru.

- To niewielka cena za pańskie życie - rzekł Storton, usiłując przeczyścić fajkę - ale czy udało się panu coś w niej znaleźć?

Sabat opowiedział mu krótko o swoim odkryciu, dotyczącym Williama Gardinera. Storton porzucił fajkę i patrzył rozszerzonymi oczami.

- To ohyda - mruknął, gdy jego gość skończył - naprawdę ohyda. Ale czy jest pan przekonany, że oni... że leni teraz wywołują...?

63

- Największą diabelską potęgę, jaką tylko można wywołać - przytaknął Sabat. - Zło zebrało już swoje żniwo. Niejaki Horacy, przebywający teraz w szpitalu psychiatrycznym, wiedział o tym, składając w ofierze prostytutkę Sheilę Dowson wraz ze zmarłą dziewczyną. Zdał sobie sprawę, że jeśli mu się uda, jego Mistrz może zażądać życia i nikt w pojedynkę nie będzie miał szans. Przy okazji, czy mógłby ojciec rzucić nieco światła na postać tego dużego mężczyzny, o imieniu Royston, nie znam jego nazwiska, który teraz przewodzi Zgromadzeniu i zdaje się, że dysponuje daleko większą mocą i wiedzą niż jego przyjaciel Horacy?

Maurice Storton potrząsnął głową.

- Nie, obawiam się, że nic nie wiem. Nie byłoby lepiej powiedzieć o tym policji?

- Nie - Sabat uśmiechnął się blade. - Obawiam się, że inspektor śledczy Plowden wyrobił już sobie o mnie zdanie, więc nie chcę, aby mi przeszkadzano. Wolę działać sam.

- A jaki będzie pański następny krok?

- Moim ostatecznym celem - odparł Sabat - jest odnalezienie kości Williama Gardinera i odprawienie egzorcyzmu w celu zniszczenia złego ducha, który się w nich ukrywa. Ale przedtem jest wiele rzeczy do zrobienia. Zamierzam znaleźć Roystona i jego nową satanistyczną świątynię. Żeby to zrobić muszę znów zorganizować opuszczenie fizycznego ciała. Powinienem wcześniej powrócić do pełnego zdrowia. Jest to, mam nadzieję, kwestia kilku dni. Przy moim obecnym osłabieniu strażnicy ciemności wytopiliby mnie natychmiast. Sądzę jednak, że na początek wypędzę złego ducha z cementarza, aby przywrócić temu miejscu jego dawny spokój i aby nigdy już nie zostało

64

wykorzystane przez wyznawców Ścieżki Lewej Ręki. Muszę odprawić egzorcyzmy, wielebny ojcze.

Storton skinął głową. Kiedyś obecny był przy odprawianiu egzorcyzmu. Kilka modlitw, mruczanych przez egzorcyztę. W osobistym przekonaniu wikarego było to raczej niepoważne i nawet mało ekscytujące, choć wywołano kilka trickowych efektów. Ale Sabat myślał inaczej. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, które teraz miały jeszcze stokrotnie wzrosnąć. To była wielka próba, pierwsza konfrontacja z ciemnymi siłami, jeśli nie liczyć dokonanego przez Quentina ataku na jego duszę. Walczył wtedy na własnym terenie i pokonał pojedynczego diabła. Teraz przyjdzie mu spotkać się ze złem w całej jego

potędze. Śmiertelny człowiek stanie przeciw szatańskiej armii, polegając jedynie na swojej własnej wierze i sile. Było to samobójcze przedsięwzięcie. Los jego duszy zależał od Quentina w każdej chwili gotowego do ataku.

Sabat spojrzął na zegarek. Była czternasta trzydzieści.

- Teraz, wielbny ojcze, zrobię użytek z ofiarowanej mi gościny i chwilę odpocznę. Będę zobowiązany jeśli ojciec zajrzy do mnie w ciągu najbliższych sześciu godzin i sprawdzi czy wszystko w porządku. Będę też prosił o modlitwę za mnie, gdy wyruszę na cmentarz św. Adriana, aby wypędzić złego ducha, który zamieszkuje tam od czasu pogrzebu Williama Gardinera i wciąż rośnie w siłę. Z wielu przyczyn tę bitwę muszę wygrać.

Rozdział IV

Sabat obudził się. Ostatnie promienie zachodzącego słońca błędziły po ścianach. Sabat wpatrywał się w nie, widział, jak powoli nikiły. Leżał jeszcze, gdy zapadł zmrok i pokój ogarnęły ciemności.

Gdy usiadł, opuszczając nogi na podłogę, zdał sobie sprawę, że w jego ciele zaszła jakaś zmiana. Mógł teraz poruszać się nie odczuwając bólu ani zawrotów głowy. Opanowała go euforia. Parę godzin snu, podczas których jego ciało astralne było w swej fizycznej powłoce, tych kilka niczym nie zakłóconych godzin uleczyło go lepiej, niż cała nowoczesna medycyna ze swoim ogromnym arsenalem środków. Nie było to żadne cudowne uzdrowienie, a jedynie władza umysłu nad ciałem. Sabat był gotów do rozpoczęcia bitwy.

Ubrał się bez pośpiechu, starannie, jak ktoś, kto wybiera się na proszoną kolację. Wyszczotkował swą wybrudzoną sadzą, ciemną marynarkę, sprawdził, czy rewolwer jest naładowany. Znalazł krucyfiks i czosnek. Co prawda nie pomogły mu one w walce z Quentinem, ale było to jego własną winą. Jego wiara zachwiała się w chwili, gdy potrzebował jej najbardziej. Gdyby wówczas nie zwątpił, jego brat byłby unicestwiony na zawsze. Ze smutkiem przypomniał sobie baśń o Sindbadzie Żeglarzu, którą w dzieciństwie czytała mu matka. Historię o nieszczęśliwym Sindbadzie, zmuszonym znosić ciągłą obecność nikczemnego Starożytnego Człowieka Morza. Bogobojna pani Sabat

66

nie przypuszczała, że pewnego dnia los popchnie obu jej synów do bratobójczej walki.

Gdy Sabat zszedł na dół, wielbny Maurice Storton wychodził właśnie ze swojego gabinetu. Sędziwy duchowny wyglądał na zmęczonego. Wzruszający staruszek, zbliżający się już do końca swoich dni, wciąż jednak gotów do walki, nie zrezygnował łatwo ze swych zamierzeń.

- Panie Sabat - powiedział. - Może będzie lepiej, jeśli pójdziemy tam dzisiaj razem.

- Nie - Sabat przytrzymał go za rękę - nie tej nocy. Ojciec pomoże mi najbardziej zostając tu i modląc się.

- To bardzo niebezpieczne, prawda? - W jego szarych oczach pojawił się nagły błysk lęku. - Bardziej niebezpieczne niż mi pan powiedział.

- Tak - ukrywanie ryzyka nie miało sensu - to najniebezpieczniejsze zadanie, jakiego się kiedykolwiek podjąłem. Proszę na mnie czekać, jeśli ksiądz chce, ale... ale jeśli nie wrócę... proszę pamiętać, że nic więcej już zrobić nie można. Niech ksiądz nawet nie próbuje powtórnego egzorcyzmu, bo oni wygrają. Pozwólmy złu rodzić zło. Bo wtedy ja stanę się jednym z nich. Maurice Storton patrzył, jak jego gość wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Przeżegnał się drżącą dłonią i nagle poczuł, jak bardzo się boi. Przez całe lata wygłaszał kazania przeciw złu, ale dopiero w tej chwili zrozumiał, czym jest zło naprawdę.

Sabat ostrożnie przemycił się w kierunku cmentarza, starając się trzymać w cieniu. Chciał umknąć spotkaniu z policjantem pilnującym grobów. Tłumacząc się Plowdenowi ze swojego powrotu, zmarnowałby zbyt wiele cennego

67

czasu, co mogłoby mieć nieobliczalne konsekwencje. Teraz każda chwila zwłoki skończyłaby się fatalnie.

Przechodząc przez bramę. Sabat przyjrzał się jej i doszedł do wniosku, że zawali się przy pierwszym silniejszym podmuchu wiatru. Zapewne spadnie też kilka następnych dachówek. Pewnie i to było częścią spisku Ścieżki Lewej Ręki, wykorzystującej naturę do swych celów.

Otworzył drzwi kaplicy i wszedł do środka. Nie zapalał światła, gdyż wiedział, że za chwilę jego wzrok przyzwyczai się do ciemności i będzie mógł odnaleźć potrzebne przedmioty. Gdy wziął z zakrystii kropidło i napełnił miseczkę święconą wodą, poczuł, że nie jest już sam. Komuś o mniej wyostrzonych zmysłach zdawać się mogło, że to tylko zapach stęchlizny, naturalny w miejscu, do którego od dawna nie miało dostępu powietrze. Lecz Sabat wiedział, że jest tu coś więcej. Zdało mu się, że dotknęły go czyjeś zimne palce. Słyszał szelest liści poruszanych podmuchem wiatru i coś mówiło mu, że nie tylko wiatr ukrył się wśród drzew. Próbował sobie wytłumaczyć, że to, co słyszy, nie jest śmiechem Quentina, a jedynie wytworem jego własnej wyobraźni.

Pracował szybko. Najpierw pobłogosławił wodę i wyciągając wskazujące palce obu dłoni przelał w bezbarwną ciecz całą swą moc. Znowu rozległ się śmiech Quentina, lecz Sabat zignorował go. Ściągnął z ołtarza wielki krzyż. Trzymał go oburącz jak miecz i poczuł, że krucyfiks drży i wibruje w jego dłoniach. A zatem była w nim jakaś moc - czy wystarczająca? Teraz był już pewien, że nadchodząca noc przyniesie starcie wrogich sobie sił.

Wyraźnie się ochłodziło; Sabat czuł na skroni lodowaty podmuch. A więc oni już działają, walka się zaczęła. Jakieś strzępy myśli przepływały przez jego umysł. Lata

68

młodości, to, co wtedy zrobił i wstyd przywołany wspomnieniem. Ale, na Boga, ogarniające go pożądanie sprawiło, że w tej chwili byłby gotów zrobić to samo! Wokół niego zaczęły pojawiać się jakieś kobiece postacie. Przechodziły jedna po drugiej, ich twarze były jakby znajome, choć było zbyt mało czasu, aby mógł je dokładnie rozpoznać. Z wyjątkiem ostatniej, która przyszła, gdy inne już zniknęły - Miranda! Nie był w stanie uwolnić się od niej. Palony pożądaniem, niemal cisnął na ziemię krzyż.

Prawie... Najwyższym wysiłkiem woli odsunął tę dziewczynę poza granice pamięci i dalej walczył ze wszystkich sił. Może trzeba było, mimo wszystko, wziąć ze sobą Mauince Stortona. Większość egzorcystów zawsze miała do pomocy jednego pobożnego chrześcijanina. Lecz nie, to była jego własna walka, nikt nie mógł go w niej wspierać. Pomyślał, że kaplica ta nie

była najwłaściwszym miejscem dla zniedołężniałego wikarego.

Nagły, silny wiatr zerwał się, gdy Sabat podszedł do ambony. Mroźne podmuchy walczyły ze zdołającymi ołtarz tkaninami, targały ubranie egzorcysty, przewracały postrzępione kartki otwartej Biblii. Przez cały ten zamęt przebiegał się dźwięczny śmiech Quentina.

- Ojciec nasz - krzyczał Sabat, nie słysząc własnych słów - ...święć się imię Twoje... jako w niebie, tak i na ziemi... i odpuść nam nasze winy... - poczuł nagłe wyrzuty sumienia. Skulił się i oparł mocno o mahoniową poręcz - ale nas zbaw ode złego... O, Boże, zbaw nas ode złego...

Wiatr, przycichnąwszy na chwilę, znów uderzył całą mocą. Sabat zdołał wyznać winy i uzyskać rozgrzeszenie, choć czuł się coraz słabszy. W drżących rękach wciąż trzymał miseczkę z wodą święconą, która burzyła się i

69

bulgotała, spadając kroplami na podłogę. Sabat zanurzył w niej palce i zaczął skraplać wszystko dookoła. Woda syczała jak w zetknięciu z rozgrzanym metalem. Wiatr ucichł. Otaczające Sabata dziwne, podobne wielkim kotom bestie wyły z wściekłością. Nagle zapanowała śmiertelna cisza, chwila spokoju w samym środku burzy, jakby wróg zbierał siły przed nowym atakiem.

Sabat słyszał teraz swój suchy i zachrypnięty, ale silny głos:

- Jezu Chryste, który przez swoją śmierć zniweczyłeś śmierć naszą i pokonałeś tego, który miał władzę nad śmiercią, zniszcz Szatana!

Podniósł do góry ciężki krzyż i obracał go we wszystkich kierunkach, rzucając wyzwanie ciemnym mocom. Wiatr na dworze jęczał jak w agonii... lecz tutaj panowała cisza. Mózg Sabata pracował teraz lepiej.

Pelen nienawiści, z całą mocą, jaką udało mu się jeszcze zmobilizować, Mark krzyczał:

- Boże, oczyść ten kościół ze wszystkich złych duchów, wszystkich nikczemnych wydarzeń, zwiarów i urojeń, wszystkich podstępów Szatana. Rozkaż im, by nie krzywdziły nikogo, by odeszły do miejsca dla nich przeznaczonego i tam pozostały na wieki. Boże żywy, który przyszedłeś, aby dać światu pokój, przynieś pokój temu miejscu.

Głos Quentina zawołał: "Hipokryta", lecz zaraz ucichł. Sabat szedł nawał kościoła, trzymając w jednej ręce wodę święconą, a w drugiej krzyż. Cienie zdawały się usuwać i w kaplicy zapanował spokój. Lecz Sabat wiedział, że choć w tej chwili był bezpieczny, musiał jednak wyjść na zewnątrz i od nowa podjąć walkę. Nie mógł poprzestać na złudnym poczuciu bezpieczeństwa.

70

Wicher znów się rozszalał, przetaczał po niebie ciężkie chmury i zasnuwał wszystko nieprzeniknącą ciemnością. Sabat nie zauważył ukrytego w trawie kamiennego nagrobka i uderzył się boleśnie, rozlewając przy tym nieco wody. Wtedy rozpoczął się nowy atak. Zewsząd otoczyły go nienawistne okrzyki.

Sabat kropił dookoła wodą święconą, słyszał syk spadających na ziemię kropli, lecz tym razem otaczające go moce nie odstąpiły. Stłoczyły się w cieniu, rozwścieczone, gotowe do ataku. Sabat poczuł, że opuszczają go siły, że traci świadomość. Trudno było mu się modlić, wydawał z siebie tylko chrapliwe pomruki. Znów odezwał się szyderczy śmiech - może śmiech Quentina. Sabat zanurzył palce w miseczce, lecz... poczuł tylko wilgoć na dnie. Święcona woda skończyła się! Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Sabat zachwiał się pod jego mroźnym uderzeniem.

"Uciekaj! Kościół jest twoją jedyną nadzieją, tam będziesz bezpieczny" - myślał w tej straszliwej chwili. Lecz było już za późno, w otaczających go ciemnościach nie mógł dostrzec drogi. Opanowała go panika, taka sama jak wtedy, gdy w górskim lesie nagle zrozumiał, że Ouen-tin jest niezwykły. Odrzucił pustą, niepotrzebną już miseczkę, wiatr porwał ją i rzucił gdzieś o kamienie. Coś ostrogo boleśnie wbiło się w kark Sabata. Wiedział, co to jest - splątane gałęzie głogu, żywopłot okalający cmentarz. Więc nie mógł już iść dalej, był w pułapce!

I wtedy ich zobaczył. Sylwetki niewyraźnie majaczyły w jakimś eterycznym blasku, który nie był światłem księżyca ani gwiazd. Były ich całe tuziny, brudnych, w poszarpanych ubraniach, coś wykrzykujących. Zrobiło się jaśniej, widział teraz ich twarze, groteskowe i nieludzkie,

71

oblicza istot, które nie mają prawa żyć na tej ziemi. Wściekły tłum... Boże, kim oni byli? Cuchnęli potem, moczem i... śmiercią. Sabatowi przyszło do głowy mroźne przypuszczenie. Czy były to zombi, wstający z grobów umarli, którzy, jak mówiły stare haitańskie legendy, pozostawali na usługach złych mocy? Nie, na pewno nie. Lecz te stworzenia, choć w ludzkim ciele, z pewnością nie były żywymi ludźmi. Uspokoił się nieco. To nie zombi, lecz inne ciemne siły, przyjmujące straszliwe formy i zdolne zmieniać je do woli, a w każdej z nich śmiertelnie niebezpieczne. Teraz przybrały postacie kobiet o skórze niszczonej się na piersiach i zawszonych włosach łonowych. Wszystkie z wyjątkiem jednej wyglądały tak samo. Sabat rozpoznał ją od razu. Wściekłość tylko dodawała jej zmysłowości; długie, kasztanowe włosy falami opadały na szczupłe ramiona. Piękna wśród bestii - Mi-randa. Jej oczy napotkały jego wzrok, błysnęły nienawiścią, wargi wykrzywiły się w lubieżnym uśmiechu. Nawet mimo strachu Sabat poczuł gwałtowny przypływ podniecenia. Próbował uciec wzrokiem, lecz nie był w stanie, jak zahipnotyzowany ruszył do przodu i padł do jej nagich stóp. Otaczającym ich bestiom pozwoliłby na wszystko, byleby tylko mógł teraz się z nią kochać.

- Chodź do mnie. Sabat.

Na klęczkach posunął się jeszcze o krok, lecz targnęło nim nieokreślone uczucie, które szybko przerodziło się w determinację. Przecież musiał walczyć! Ta myśl rozbłysła w nim jak nagły płomień. Schwytał krzyż i wznosił go ^ górę jak miecz. I wtedy stało się - przerażające istoty odsunęły się.

Powoli zdał sobie sprawę, dlaczego tak się stało. W pośpiechu nie spostrzegł, że chwycił krzyż odwrotnie

72

Uczył więc zeń bluźnierczy znak Szatana, z którego otaczające go istoty czerpały swoją ciemną moc. Zwrócił zło przeciw złu, walczył z ogniem za pomocą ognia.

Z ust Sabata wyrwał się krzyk, wrzask niemal nieludzki. Odpędzając jedną siłą, nieświadomie wezwał inną. Teraz zwrócił się o pomoc do tego, któremu miejsce to było poświęcone.

- Baronie Zakrzywionej Szabli, Władco Świata Zmarłych, przywódcu złych bogów Rozkładu - wypowiedział modlitwę, która sama w sobie była bluźnierstwem, czarną inwokacją.

| Wiatr powrócił podmuchem jeszcze zimniejszym niż poprzednio, smagał twarze i w końcu ucichł, a nieludzkie istoty zaczęły bezładnie uciekać. Sabat ponownie wznosił krzyż. Był teraz górą. Wzniósł oczy ku niebu i mamrotał tajemne zaklęcia. Choć prosił Pana Krainy Śmierci o pomoc w godzinie potrzeby, były nuty pokory w jego głosie. Siły zła rozpoczęły natarcie. Sabat zatoczył krzyżem hik i dwaj napastnicy upadli na ziemię, nieludzko krzycząc z bólu. Krępy, kosmaty mężczyzna wrzasnął, łapiąc się za kikut odciętej ręki. Jego rana nie krwawiła. Sabat, używając krzyża jak miecza, walczył z uporem kogoś, kto <wie, że choć siły wroga są przeważające, to jednak właśnie on może wygrać bitwę. Zadawał szybkie, gwałtowne ciosy, co chwila raniąc kogoś dotkliwie. Gdyby ci, którzy padali pod uderzeniami krzyża, byli zwykłymi śmiertelnikami, trawa już wkrótce stałaby się czerwona od krwi. Jednakże ani jedna szkarłatna kropla nie wypłynęła z otwartych ran, rozprutych brzuchów i wylewających się wnętrzności, podciętych gardeł i wyłupionych, zwisających na nitkach nerwów oczu. Tuż obok pokraczna wiedźma wykrzykiwała straszliwe przekleństwa, by sprowadzić na

73

pomoc swe towarzyski, lecz wobec potęgi władcy bogów Rozkładu jej moc okazała się bezużyteczna. Bóstwa stanęły do próby sił, rozpoczynając walkę, w której zwycięża mógł być tylko jeden. Sabat patrzył w pałające zuchwałą nienawiścią oczy; wiedźmy. Jej bezzębne usta wykrzywiły się w lubieżnym uśmiechu. Ciało straszliwie cuchnęło, na obwisłych pierśsiach niszczyła się skóra. W innych okolicznościach wszystko to przyprawiłoby go o mdłości, lecz teraz prawii tego nie zauważył. - Jesteście w świątyni - ryknął Sabat, wznosząc w górę swoją broń. - Popelniliście świętokradztwo, odprawiając bluźniercze obrzędy w miejscu, które do niego na leży. A zatem, w jego imię, każdy z was zostanie zgładzo ny. Jakby dla potwierdzenia tych słów przez cmentar przetoczył się znowu silny podmuch wiatru. Być może bóg Rozkładu chciał w ten sposób poprzeć Sabata. Kolejny silny cios i krzyż zagłębił się w ciele wstrętnej wiedźmy. Niedobitki sił nieprzyjacielskich, dotąd chroniące się bojaźliwie za plecami czarownicy, jęknęły z przerażeni; widząc, jak jej ciało wyprostowało się nagle, a odcięty; głowa dyndała na strzępach mięśni. Wytrzeszczone oczy; wiedźmy zdawały się przyglądać, jak jej tułów wali się n; ziemię. Wtedy głowa oderwała się i upadła opodal. Chwilę jeszcze toczyła się po trawie, jakby chciała z powrotem połączyć się z ciałem; potem znieruchomiła. Sabat zaśmiał się i kopnął martwy czerep. Zostało je jeszcze trochę tych... rzeczy, lecz teraz już się ich nie obawiał. Nie mogły już ani uciec, ani walczyć, jak skazane:

74

oczekujący egzekucji. Myśl o mającej nastąpić rzezi sprawiała mu radość. Kolejne silne uderzenie na wysokości kolan skosiło las nóg. Pozbawione kończyn istoty przewracały się na ziemię, tworząc bezkształtną, błagającą o miłosierdzie masę. Przez chwilę Sabat przyglądał się temu z lubością, smakując sytuację. Mogli zniszczyć go, lecz wezwanie Barona Zakrzywionej Szabli odwróciło kartę losu. Okazało się, że zaprzędając duszę diabłu można osiągnąć największe korzyści. - Wy pierdolone robaki - zawołał z rosnącą furią. - To jeszcze nie koniec waszych cierpień. Nagle wybuchła w nim wściekłość, tornado nienawiści. Zakręcił krzyżem, siekąc i ćwiartując to bezkrwiste, odrażające mięso. Ciała kurczyły się, próbując odpełznąć na kikutach nóg, przewracając się i płacząc. Sabat nie ustawał. Kolejna głowa odpadła od ciała i zawisała na ścięgnach. Drżące usta poruszały się w bezgłośnym jęku. Walka trwała. W końcu Sabat opuścił rękę i spojrzał na pobojuwisko. Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch jakby cień, choć nie, to było zbyt ciemne. O, Boże, a myślał już, że zabił ich wszystkich. - Chodź tu - jego głos smagnął jak bicz. - Nie uciekniesz przed Sabatem. Podeszła giętka i pełna wdzięku. Nie zwrócił nawet uwagi na jej poszarpaną, brudną odzież, tak zachwyciło go nieskazitelne piękno dziewczyny, pierścienie kasztanowych włosów, sutki napęczniałe i twarde w widocznym podnieceniu. I on nie potrafił opanować emocji. Miranda! Przestał myśleć, oślepiła go prymitywna żądza. Nie

75

mógł oderwać od niej wzroku, a jednocześnie z całej siły nienawidził jej za to, czym była. Niebezpieczne połączeni - Będziesz musiała zdać sprawę ze swoich czynów przede mną - z ledwością poruszał ustami, prawie ni słychać było słów. - Wtargnęliście na miejsce poświęceń innemu bogu. Wyciągnęliście z grobu dziewicę, która prawnie należała do Pana tego cmentarza. I ją, i inną, je jeszcze żywą, ofiarowaliście fałszywemu władcy ciemności Ciało dziewczyny wrzuciliście do rzeki, zamiast złożyć ją w ziemi i oddać Panu. Inni zapłacili już za to, lecz twoji cena będzie wyższa. Mój władca zażądał bowiem, byś zola stała potraktowana w ten sam sposób, w jaki rozprawiliś się z niewinną młodą istotą. I uczynię to, gdyż jesteri uczniem Barona na Ścieżce Lewej Ręki, która służących a wiarą wiedzie do wiecznego celu. - Nie! - jęknęła, lecz nie próbowała nawet uciekać zresztą byłby to daremny wysiłek. Jej ciemne oczy wyrażały skrajne przerażenie. Sabat wiedział, że ma nad nią władzę. Naraz odniósł wrażenie, że jego ciało astralne przygląda się poczynaniom ciała fizycznego. Nie, przecież było to (niemożliwe. Ogarnęło go odrętwienie, lecz w żylach wciąż płonęło pożądanie. Nie czuł zimna. Powalił Mirandę n, ziemię i rzucił się na nią. Krzyż upadł obok, nie był już potrzebny. Dziewczyna-upiór broniła się, lecz Sabat był silniejszy) Przytrzymał jej rękę i zerwał z jej drżącego ciała strzęp ubrania. Skóra Mirandy była zima, lecz on prawie tęgi nie dostrzegał. Nie myślał już o Sylwii Adams i Shei Dowson, ani o strachu, jakiego Sheila musiała doświadczyć tamtej nocy. Myślał tylko o sobie, o tym że bierze si

łą Mirandę i że robi to dla Barona, on, sługa boga Rozkładu wykonujący dokładnie polecenia. Wreszcie skończył i ubrał się. Zaspokoił pożądanie i teraz wściekłość opanowała go na nowo. Chwycił porzucony krzyż, odwrócił go i z niewiarygodną siłą uderzył w nieruchomą postać. Głowa Mirandy rozpadła się na dwie niemal równe części. Wypłynęła z niej jakaś szara substancja - i ani kropli krwi. Sabat spodziewał się tego. Z desperacją bił i kopał ciało dziewczyny, jakby chciał do końca zniszczyć upiorną istotę, wymazać z pamięci to, co się stało. Jak psychopata powtarzał sobie, że nic się nie zdarzyło, że nie zrobiliby nigdy czegoś takiego. Aż w końcu, gdy nie zostało już z niej nic prócz miazgi, prawie w to uwierzył.

Prawie.

Nadchodzący szary świt przynosił zwykły codzienny spokój. Sabat poruszył się drżąc i wstał z nagrobka, na którym siedział. Pomyślał, że mógł tu zasnąć, lecz wiedział, że czuwał przez cały czas, wpatrując się w ustępującą ciemność. Czuł pustkę w głowie. Rozejrzał się wokół siebie, jakby spodziewał się ujrzeć ślady rzezi. Nie było jednak nic, nawet trawa pozostała świeża, nienaruszona. Stoczył bitwę i... wygrał czy przegrał?

Wargi miał suche, spieczone i czuł dokuczliwy ból głowy, jak zawsze po odprawieniu egzorcyzmu. Gdzieś zabraniał śmiech Quentina i ucichł, pozostawiając go własnym rozmyślaniami. Tej nocy dwukrotnie musiał walczyć. Jego egzorcyzmy, dość silne by pokonać zło moce wewnątrz kościoła, na cmentarzu okazały się niewystarczające. Przyparty do muru wezwał siły ciemności, by same siebie zniszczyły, one zaś przybyły mu na pomoc. Gdyż on, Sabat, należał do nich. Jego śmiech był pełen smutku. Zły brat w dziwny sposób wyświadczył mu przysługę. Był sil-

77

ny, mógł wezwać niemal każdego ducha, by mu służył. Lecz jednocześnie nie bardzo już wiedział, co się właściwi z nim dzieje, przerażony tym, co kazało mu przekraczać samego siebie.

Daleko było jeszcze do zakończenia rozpoczętej wojny. Odprawił egzorcyzmy nad kościołem św. Adriana przyległym doń cmentarzem, lecz była to zaledwie poje dyncza bitwa. Zasadnicza walka dopiero go czekała. Gdzieś tam człowiek imieniem Royston założył nów czarną świątynię i gromadził już siły, rozrastające się ja rak w ciele Williama Gardinera... i tak potężne, że powa żyły się próbować zgładzić człowieka, który stanął na ich drodze. Tamta próba nie powiodła się, lecz przecież RO) ston nie podda się tak łatwo.

Sabat szedł powoli w kierunku plebanii, walcząc z pE raiizującym ruchy zmęczeniem. W dzień, w blasku słońca mógł czuć się bezpieczny. Chciał spać, odpocząć i zebra siły przed następną nocą.

W ostatniej sekundzie zauważył nadjeżdżający przeciwka samochód. Mimo zmęczenia zdołał dostrzec si< dżących w srebrnym mercedesie ludzi. Samochód zwiększa szybkość i po kilku sekundach zniknął za zakrętem.

Kierowca był zwalistym, łysiejącym mężczyzną z wyp sanym na twarzy okrucieństwem. Jego małe oczy przyyc minały oczy jastrzębia, który właśnie spostrzegł swą ofi< rę. Lecz nie widok Roystona przeraził Sabata. Towarze sząca mu kobieta... te kasztanowe włosy, patrzące szyde;

czu zielone oczy - to nie mógł być nikt inny niż Mirai da, dziwka, rozdająca wokół swoje wdzięki, wciąż niem sycona, aby pokazać mu, że jego plan zgładzenia Sabata nie powiódł się. Nienawidziła tego stojącego na chodniku człowieka, gdyż wiedziała, że w psychicznym spotkani

78

ubiegłej nocy zgwałcił ją i zamordował. Było to dla niej tak samo realne, jak gdyby Sabat, żywy człowiek, przyszedł do jej domu i tam upokorzył ją, a potem zabił. Teraz pragnęła zemsty. Chciała, by pomógł jej w tym złowrogi kochanek, by użył swojej czarnej magii. Sabat wiedział, że odtąd ten zmartwychwstały diabeł, który przybył niegdyś do spokojnej wsi jako William Gardiner, a obecnie zwał się Royston, będzie jego najbardziej zaciekłym wrogiem.

Rozdział V

Sabat wszedł na plebanie i cicho zamknął za sobą frontowe drzwi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wielebny Maurice Storton odpoczywał teraz w swej sy pialni, wyczerpany całonocnym czuwaniem. Nie było sensu budzić sędziwego duchownego, nie było też po co opo władać mu szczegółowo o wydarzeniach ostatnich godzin. Wystarczy powiedzieć, że egzorcyzmowanie powiodło się. Nic nie można było poradzić na to, że nowa forma zła; zastąpiła poprzednią.

Wyostrzone zmysły Sabata zarejestrowały krok czyichś bosych stóp, zanim jeszcze usłyszał je, zbliżając się do szerokich schodów. Być może Storton nie spał jeszcze, gdy Sabat wrócił i chciał się teraz dowiedzieć, jał mu się powiodło.

Istotnie był to Maurice Storton. Stanął na szczycie schodów i zaczął krzyczeć:

- Były tu diabły. Boże, zrobiły to nieszkodliwym staremu człowiekowi!

Duchowny był nagi i widok ten w dziwny sposób wzruszył Sabata. Twarz miał wykrzywioną jak w ataku jakiejś choroby. Wyglądał strasznie. Trzęsącymi się ustami starał się coś wypowiedzieć, lecz bełkotał tylko jakieś nie zrozumiałe dźwięki, jak obłąkany, to śmiał się, to krzyczał. Sabat stanął jak skamieniały.

Storton byłby upadł, w ostatniej chwili oparł się o poręcz schodów. Chwiał się na krawędzi schodów. Jedn<

oko zdawało się być ślepe, drugie wytrzeszczone jak bańka mydlana, lśniło przerażeniem.

Sabat ruszył w jego kierunku, by podtrzymać go, zanim upadnie. Nie mógł okazać paniki, by dodatkowo nie przestraszyć wikarego. Być może zresztą duchowny go nie widział.

Za późno. Był zaledwie parę kroków od Stortona, gdy ten zachwiał się i runął ze schodów. Sabat zdołał wyhamować jego upadek. Z trudem dźwignął księdza, posadził go. Głowa starca opadła, z pokrwapionych ust wydobył się cichy jęk, pierś poruszyła się w ostatnim oddechu. Wielebny Maurice Storton skonał.

Sabat oparł ciało zmarłego o poręcz schodów, mocno, by się nie zsunęło. Drżąc, wszedł na górę. Czuł, że była to jego wina, dokładnie tak samo, jakby zabił duchownego z rewolweru.

Władca ciemności, raz wezwany nie wracał z pustymi rękami. Jego słudzy wiedzieli o tym i zawsze mieli dlań przygotowaną ludzką ofiarę. Tym razem ciemna siła sama sięgnęła po czyjeś życie. Śmierć Stortona była niepotrzebna. Boże, gdybyż zdołał przekonać swego sędziwego towarzysza, by pozostał w pentagramie podczas modlitwy!... Nic złego by się wówczas nie stało. Władca cmentarza przybył, zażądał ofiary i... Sabat pobladł śmiertelnie, gdyż zdał sobie sprawę, że to wątle ciało zostanie wykorzystane przez siły zła. Zrobią z niego zombi lub kiedyś wydobędą z grobu jego kości, by użyć ich w obrzędach czarnej magii. Lecz... być może mógł temu zapobiec.

Sabat obliznął wyschnięte usta. Kiedyś na Haiti uczestniczył w potwornym obrzędzie, w którym dusza zmarłego obdarzona została nieprzemijającą wolnością, a ciało - wiecznym pokojem. Żołądek podszedł mu do gardła. Był

jeden istotny problem... to była Anglia, a nie mistyczne Indie Zachodnie, gdzie nawet policja akceptowała powszechne stosowanie czarnej magii. Tutaj mógłby narazić się na poważne kłopoty, włącznie z zarzutem zamordowania Maurice Stortona. Schodził powoli ze schodów. Na dole podszedł do telefonu. Po pierwsze musi zawiadomić władzę o śmierci duchownego. Zamierzał powiedzieć, że był to nieszczęśliwy wypadek. Gdybyż nie widział wzroku Stortona przed śmiercią! Gdy tylko będzie to możliwe, musi odprawić magiczne obrzędy, by upewnić się, że Pan Cieni pozostawi to ciało w spokoju, że nie wyśle po nie jednego ze swych kapłanów. Choćby kogoś takiego jak nieuchwytny, tajemniczy Royston, wciąż szukający żeru dla swych cmentarnych hien.

- Wydaje mi się, że ostrzegałem pana - twarz inspektora Plowdena była wściekła. Ten obcy ośmielił się zignorować jego słowa i powrócić do wioski, przynosząc ze sobą śmierć jak znak przeznaczenia. - Nie miał pan żadnego interesu, by przyjeżdżać tu i przeszkadzać policji w śledztwie.

- Chwileczkę - Sabat uśmiechnął się sztucznie. - Po pierwsze, w żaden sposób nie przeszkadzałem w dochodzeniu. Zgodnie z życzeniem biskupa Wentnora odprawiłem egzorcyzmy w kościele i na cmentarzu św. Adriana. Żyjemy w wolnym kraju, mogę podróżować i zatrzymywać się, gdzie mi się podoba. Wróciłbym do "Brunatnego Byka", gdyby nie to, że spłonął...

- Wtedy, gdy pan tam mieszkał - wtrącił inspektor.

- Później oskarży mnie pan o podpalenie - Sabat zaśmiał się. - Jak już mówiłem, wielebny Storton, z któ-

82

rym zaprzyjaźniłem się jeszcze przed wyjazdem, zaofiarował mi gościnę do czasu, aż wykonam powierzone mi zadanie.

- I wykonał je pan? - w głosie stojącego obok policjanta zabrzmiał niepokój. Detektyw ciekawie nadstawił ucha. Modlił się w duchu, by Sabat odszedł stąd jak najprędzej.

- Myślę, że tak. Odprawiłem egzorcyzm, lecz zanim wyjadę, muszę oczywiście porozmawiać z biskupem Wentnorem. Plowden oddychał ciężko. Zaciśnął mocno pięści, wbijając paznokcie w dłonie.

- Jest pan jak krwawy sęp - wybuchnął - przynosi pan śmierć wszędzie gdzie się pan pojawia. Przy odrobinie szczęścia niedługo aresztujemy mordercę tej Dowson i sądzę, że to doprowadzi nas do centrum ohydneho kultu.

"Blefujesz" - pomyślał Sabat. - "Nie jesteś ani o krok bliższy rozwiązania".

- Życzę wam szczęścia. - Wstał. - Teraz, jeśli nie ma pan do mnie więcej pytań, pójdę zobaczyć się z biskupem.

- Jeśli będzie trzeba, dowiemy się gdzie pana znaleźć. - Plowden zmrugał oczy. - I z pewnością zrobimy to.

Wychojąc na rozgrzaną sierpniowym słońcem ulicę, Sabat spojrzął na zegarek. Południe. Jeszcze tak wiele do zrobienia przed nocą, a czas ucieka...

- Oto pański czek - biskup Wentnor z wyraźnym wstrętem przesunął na drugą stronę biurka różowy papierek. - Przedstawiciele Kościoła sądzą podobnie jak ja, że było to zbędne, lecz na szczęście cała ta sprawa przestała mieć związek ze św. Adrianem.

83

Sabat sprawdził sumę, złożył czek i schował go do kieszeni marynarki, dotykając przy tym rewolweru.

- Obawiam się, że ta sprawa ma zasięg dużo większy, niż nawet ja sądziłem na początku. Zło głęboko zapaściło swoje korzenie.

- Lecz w takim zakresie, jakim dotyczyło to pana, problem jest zamknięty. - Wentnor wysunął podbródek. - Myślę teraz, że nawet Arcybiskup żałuje, iż pan się w to angażował. Policja ostro protestowała przeciw temu. Jedną rzecz muszę wyjaśnić do końca, panie Sabat. Kościół z tą chwilą kończy z panem współpracę. Nie życzymy sobie, aby pan dalej się w to wtrącał.

Było to jakby echo słów inspektora Plowdena. Być może przedstawiciel Sotland Yardu kontaktował się z Arcybiskupem.

Opuszczając pałac biskupi. Sabat uśmiechnął się do siebie. Od teraz musi działać na własną rękę. Wszyscy będą przeciw niemu, nikt go nie wynagrodzi. Do akcji pchała go teraz chęć rewanżu, wyrównania rachunku z tymi, którzy usiłowali spalić go żywcem, i nawet teraz zdecydowani byli zniszczyć go. To był ten rodzaj walki, który lubił najbardziej.

Sabat miał nadzieję, że dotarł do właściwego miejsca. Stał przed ukrytą pośród sosen kaplicą wiecznego spoczynku.

Prawdopodobnie, gdy zakończą wszystkie sprawy związane z pogrzebem, przyniosą tu ciało wikarego. Musiał wykorzystać tę szansę. Pytanie o drogę mogło ściągnąć mu na głowę Plowdena. Nie chciał także opuszczać fizycznego ciała i szukać zwłok.

Skrył się za drzewami czekając, aż zapadnie mrok. Najbezpieczniejsza pora na to, czego absolutnie nie można było zrobić w blasku dnia. Na szczęście nie było w pobliżu żadnego węszącego poli-

84

cjanta. Zgodnie z ich realistycznym podejściem nie miało sensu pilnowanie zwłok starego człowieka.

Krótko po dziewiątej Sabat poruszył się. Bezszelestnie, ledwo przesuując stopy, czołgał się ku wejściu do kaplicy. Drzwi były zamknięte, lecz zamek nietrudno było otworzyć. Zrobił to za pomocą kawałka karty kredytowej. Był tylko jednym więcej cieniem w świetle gwiazd.

Rozglądał się ostrożnie, podejrzewając pułapkę. Zadanie było śmiesznie proste. Wewnątrz stało sześć trumien, Storton leżał w drugiej z nich. Spojrzawszy na znajomą twarz. Sabat poczuł skurcz żołądka. Miał nadzieję, że oblicze zachowa ślady zmęczenia, że nie będzie musiał dokonywać strasznego obrzędu.

Lecz było inaczej. Twarz Stortona była gładka, nawet młodsza, jakby wikary zadrwił ze śmierci. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego. Ściągnięte w zwierzęcym grymasie wargi odsłaniały sztuczną szczękę. Sabat wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Wyjął z kieszeni młotek i dłuto, schowane w gumowym pokrowcu, by nie brzęczały i nie robiły hałasu.

Trzeci przedmiot, piłę, położył na sąsiedniej trumnie. Wziął głęboki oddech, aby uspokoić nerwy i przygotował się do pracy.

Gdy dłuto dotknęło piersi Stortona, Sabat poczuł, że zrobiło się zimniej, stanowczo za zimno nawet jak na kryptę. Wciąż zdawało mu się, że coś porusza się w ciemnościach, hałas zwielokrotniony w jego głowie brzmiał jak wściekły krzyk

zbliżającego się tłumy.

Jednym ruchem wbił dłuto, usłyszał trzask łamanych kości i wyciągnął narzędzie. Wściekłe krzyki były już tak blisko, że prawie odwrócił się, lecz nie mógł teraz zwlekać, nie chciał wszystkiego zaprzepaścić. Szybko schował młotek i dłuto do kieszeni i sięgnął po piłę. Wolną ręką

85

wymacał głowę Stortona i zaczął ją odpiłowywać od tułowia. Wewnątrz trumny nie było to łatwe. Wolałby wyjąć ciało, ułożyć je na pobliskiej marmurowej płycie i tam obciąć głowę, lecz nie miał na to czasu. Zdawało mu się, że jakieś zimne ręce łapią go i próbują odciągnąć. Tej nocy władca zła nie będzie po jego stronie. Sabat pozbawił go ofiary minionej nocy, wyrwał ją spod władzy boga Rozkładu.

Ostra piła z łatwością przecięła kark, lecz prawie nie zagłębiała się. Sabat rytmicznie przesuwiał ją w górę i w dół. Czuł cały czas, że napastnicy zbliżają się do niego, tak jak poprzedniej nocy. Ociekał zimnym potem, siłą woli powstrzymywał się, by nie przeklinać. Błuznierstwo w takiej chwili natychmiast rzuciłoby go w ręce wroga. Zaczął się modlić.

Sabat nie mógł poradzić sobie z piłowaniem. Naraz poczuł, że coś uciska mu klatkę piersiową, jakby opasywała go stalowa lina. Z trudem łapał oddech. Serce bolało tak, że ledwo utrzymywał się na nogach. Wiedział już teraz, jak bardzo niebezpieczny był ten cholerny Royston. Przybył do Anglii, by uprawiać tu nikczemne obrzędy czarnej magii. Tej nocy właśnie Royston zwrócił się o pomoc do Barona Zakrzywionej Szabli.

W chwili, gdy Sabat sądził już, że nie wytrzyma i upadnie, głowa wikarego opadła z głośnym łoskotem na dno trumny. Wściekle głosy ucichły, osłabł też ból w jego piersiach. Sabat mocno oparł się o trumnę i z całej siły powstrzymał się by nie zwymiotować. Wiedział już, że jest bezpieczny, że znów wygrał z potężnymi siłami, że pokonał władcę cmentarza i pokrzyżował plany Roystona. Nie mógł jednak zostać tu i rozkoszować się swym zwycięstwem. Na-

86

wet teraz Royston chciał się zemścić, być może policja już jechała do kaplicy, zawiadomiona anonimowym telefonem. Sabat odłożył piłę i zmęczonymi, drżącymi rękami umieścił odciętą głowę na kikucie szyi. Zamykając wieko, raz jeszcze spojrzął na ciało. Mięśnie twarzy były rozluźnione, usta zamknęły się, powieki zaczęły opadać. Przez sekundę zdawało się, że Maurice Storton widzi go i poznaje, lecz było to złudzenie, być może wywołane panującym w kaplicy mrokiem. Być może dusza wikarego chciała jakimś półśmiechem wdzięczności podziękować za uwolnienie, za wieczny spokój.

Sabat oddalił się tak cicho, jak przyszedł, niczym cień nocy poszedł do swojego daimiera. Musiał w przeciągu kilku godzin opuścić to miejsce, czekała go zatem długa droga do Londynu. Nie mógł ryzykować następnego spotkania z Plowdenem. Potrzebował czasu, by zastanowić się, jak odnaleźć Roystona. Ten przeklęty człowiek musiał zostać zniszczony!

Rozdział VI

Sabat przejrzał dzienniki z ostatniego tygodnia, ale nie znalazł nic poza wzmianką o "wyznawcach diabła". Pogrzeb Stortona z pewnością już się odbył, a więc grabarze musieli nie zauważyć, co stało się z ciałem, albo też - w obawie o swoje zarobki - nie chcieli tego rozgłaszać.

Problemem było znalezienie Roystona. Nie znając nazwiska, Sabat nie mógł szukać go w zwykły sposób. Zastanawiał się, czy znów nie opuści fizycznego ciała, ale skoro nie wiedział, gdzie Royston może się znajdować, szansę były nikłe. Zostało mu jedno wyjście - Miranda. Jeśli odwiedzi ją jako ciało astralne, a nie jest powiedziane, że Royston tam będzie, może spędzić u niej całe tygodnie noc za nocą, tracąc cenny czas i narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyż bez wątpienia tajemnicze magiczne moce wciąż czyhały na jego życie. Otwierała się przed nim tylko jedna możliwość - musi odwiedzić Mirandę w swoim ziemskim ciele i użyć wszelkich sposobów w celu wydobycia z niej niezbędnych informacji. Myśląc o tym, poczuł nagle, że jest podniecony. Do diabła, już dwa tygodnie nie miał kobiety. Tym niemniej zdecydował, że poczeka jeszcze i zaspokoi się w inny, znany sobie sposób. Nie zmieniało to jednak faktu, że miał erekcję przez całą drogę powrotną do Warwickshire.

Wczesnym rankiem Sabat zadzwonił do drzwi małego domku Mirandy. Samochód zaparkował po drugiej stro-

nie drogi przypuszczając, że jeszcze tej nocy wróci do Londynu. Miał nadzieję, że jego przybycie nie zostało zauważone. Nie oczekiwał się żadnej odpowiedzi na dzwonek, ale jakiś wewnętrzny zmysł podpowiadał mu, że dom nie jest pusty. Żadnego hałasu, czy ruchu - po prostu czuł, że Miranda jest u siebie. Może był z nią Royston. Żołądek skurczył mu się na myśl, że potężny mężczyzna może mu się znów wyśliznąć i zniknąć nie wiadomo gdzie. Sabat chciał być z Miranda sam na sam przez pewien czas. Chryste, znowu był podniecony. Coś wypychało mu spodnie w okolicach rozporka w sposób, jaki nie mógł nikogo zmylić. To właśnie jest broń tej kurwy - podniecić mężczyznę, osłabić go nawet wtedy, gdy nikogo nie ma w pobliżu.

Nagle usłyszał odgłos miękkich kroków i zobaczył, że ktoś przygląda mu się przez judasza. To mogła być tylko Miranda. Klamka opadła, drzwi najpierw lekko się uchyliły, a następnie otworzyły szeroko. Stała na progu ubrana jedynie w czarną bieliznę. Widać było kształtne piersi, twarde sutki sterczące przez materiał. Sabat przebiegł wzrokiem jej ciało, zatrzymując się na miękkich czerwonych wargach, półotwartych w kuszącym uśmiechu i piwnych oczach, które nie wyrażały nic, choć zdawały się przenikać jego myśli.

- Pan Sabat - powiedziała z lekkim zdziwieniem, mrużąc jak zadowolona kocica. - Jaka niespodzianka. Wejdzie pan? Zamknęła za nim drzwi. Mieszkanie tym razem wyglądało na posprzątane. Żadnych porzucanych ubrań, za-| miast kuchennych smrodów, jego nozdrza drażnił ostry

89

zapach jakiegoś aerozolu. Było prawie tak, jak gdyby oczekiwała gościa.

- Proszę usiąść. Czego się pan napije? Podążając wzrokiem za jej ręką, zauważył ustawiony na kredensie rząd butelek, a wśród nich nie otwarty jeszcze Black La-bel.

- Whisky - powiedział. "Tego na pewno nie mogła zatruć" - pomyślał patrząc jak otwiera butelkę. Wręczyła mu szklanę, wpatrując się weń świdrującym spojrzeniem.

- Czułam, że zjawi się pan pewnego dnia. - W jej głosie dźwięczała ironia.

- Dlaczego? - z trudem wytrzymał jej spojrzenie.

- Często mężczyźni, którzy widują mnie w "Brunatnym Byku" przychodzą potem do mnie.

Zaczęli się przekomarzać i Sabat poczuł, że znów ma erekcję. Miranda udawała, że tego nie widzi.

- A dlaczego pani myśli, że przyszedłem z tego samego powodu?

Opuściła oczy, utkwivszy wzrok w wypukłości koło jego rozporoka i uśmiechnęła się.

- Musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć pewnych rzeczy.

Sabat poczuł, że jest w niekorzystnej sytuacji, szansę się odwrócić, był w pewien sposób bezbronny. Płeć przeciwna zawsze była jego wielką słabością, ale do tej pory nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia go zdominowała. Do diabła, nie powinien był żyć przez całe tygodnie bez kobiety. Przyjemne uczucie, pochodzące z niższych regionów jego ciała rozpląnęło się po całym organizmie. Nie dbał już o nic z wyjątkiem... Boże, to tak, jakby był widzem obserwującym z daleka swoje włas-

90

le poczynania. Najpierw przyjemność, potem obowiązki. Dlaczego miałby się wyrzekać tej chwili zabawy?

- No - zaśmiała się. Postawiła swoją szklankę na biurku i stanęła przed nim podpartszy się pod boki. W jakiś sposób opadło z niej skąpe ubranie i Sabat ujrzał jej wyłaniającą się nagość. Jej włosy łonowe były kru-;zo-czarne, a więc kasztanowy kolor był sztuczny. Czerń pasowała do niej, a Sabat zawsze wołał brunetki.

- Mam rację, prawda? Jeśli będzie pan zwlekał jeszcze przez chwilę, pięknie panu zamek. Ma pan chyba jakieś imię, może przeszlibyśmy na ty?

- Mark. - Jego głos zabrzmiał jakoś inaczej, był jakby stłumiony. Tylko raz wcześniej doprowadził się do podobnego stanu. Było to w Soho w saunie, gdy zaczęła go dotykać masażystka. Ona też była brunetką. Miranda robiła to samo oczami, tak delikatnie, że nie zdawał sobie sprawy, że jesteś uwodzony, aż było już za późno. Jednym ruchem odrzuciła bieliznę i zostawiwszy ją na podłodze, ruszyła ku niemu naga, jak kot zbliżający się do ofiary.

- Nie mów mi, że się wstydzisz, Mark, albo że jesteś pełen oporów. Nie zostaniesz chyba w tym ubraniu przez całą noc?

Zapach jej perfum był silny i uderzał do głowy. Wypełniał go coraz bardziej, gdy kobieca dłoń przesuwała się coraz niżej, rozpinając guziki jego koszuli i klamerkę od paska. Z pewnością tak naprawdę nie miała dość siły, aby unieść go w górę, gdy zdejmowała mu spodnie i bieliznę. Może nieświadomie współpracował z nią cały czas, niezgodny oderwać wzroku od jej wielkich pięknych oczu. Te kasztanowe loki ogłupiły go jak dziecko, ale teraz widział ją taką, jaka rzeczywiście była, kruczo-czarną i zniewała-

91

jąca. Erzulie, jak mówią Krecie, Czarna Wenus, Sukkub. Budzisz się rano nie wiedząc, czy to zdarzyło się naprawdę, czy było tylko snem. Leżał już nagi na kanapie.

- Obrzezany?

- Tak - starał się znaleźć prawdopodobne, logicznie brzmiące wytłumaczenie - moja... matka była półżydówką.

- Łgarz.

Jej oczy zapłonęły złością, ale tylko na chwilę, potem znów się roześmiały.

- Musiałeś zrobić to w ostatnich latach - powiedziała. - Wielu egzorcystów i tych, którzy babrają się w okultyźmie daje się obrzezać, aby pod napletkiem nie wnieśli jakiejś nieczystości do wnętrza pentagramu. Mam rację?

Skinął głową, przygryzając wargę, jak uczeń pod surowym spojrzeniem nauczyciela.

- Tak, zrobiłem to kilka lat temu. Miranda klęczała i bawiła się jego członkiem, patrząc na jego twarz.

- Przez długi czas nie miałeś też kobiety.

- Racja... - byby gotów powiedzieć jej wszystko w zamian za przyjemność, jakiej mu dostarczała. Więcej nawet, dużo więcej. Leżał patrząc na nią zachłannie i drżąc z emocji. Wszystko co robiła, było perfekcyjne, jej usta całowały i ssaly mu członek, pieścąc go ruchliwym językiem i zmysłowymi muśnięciami palców. W pewnej chwili Sabat poczuł, że zbliża się do orgazmu, dążył do tych kilku sekund największej rozkoszy, po których - być może - czar pryśnie. Miranda odgadła chyba tę jego myśl i wykonała palcami jakiś ruch, który natychmiast wstrzymał to dążenie ku spełnieniu, zatrzymał je w stanie upojnego za-

92

wieszenia, przyspieszając bicie serca. Boże, to było wspaniałe, Sabat nie dbał już o nic, nawet o Roystona.

- Powiedz mi, Mark - zaczęła z zaczepnym wyrazem piegowatej twarzy - przypuśćmy, że nie ma mnie tu. To znaczy, że obudziłeś się w środku nocy, śniąc, że robisz z tobą to wszystko i zdajesz sobie sprawę, że mnie nie ma. Musiałbyś coś zrobić, prawda? Więc pokaż mi, co byś zrobił, nigdy tego nie widziałam i jestem strasznie ciekawa.

Chryste, to po prostu sen. Jeśli tak, to musisz coś zrobić, albo stracisz zmysły. Zrób to, pokaż jej. Zabrzmiało to jak głos Quentina. Do diabła z nim, zrobię to niezależnie czy Miranda jest tu naprawdę, czy to tylko sen.

Sabat przycisnął palce do miejsca, które jeszcze przed chwilą pieściła Miranda. W pokoju jakby pociemniało, zaledwie dostrzegał zmysłowe zarysy jej ciała. Oczy Mi-randy zapłonęły zielonym blaskiem. Patrzyła pożądliwie. Sabat drżał, wił się, jęcząc w ekstazie. "Jestem niemal u szczytu i nie dbam o to, czy będę mógł wrócić" - pomyślał.

Był całkowicie bezbronny, pożądanie opanowało każdą część jego istoty... z wyjątkiem jednej. Nie stracił swojej niezwyklej czujności, która tyle już razy ratowała mu życie, tego szóstego zmysłu wyłapującego natychmiast każdy sygnał niebezpieczeństwa i przekazujący go do mózgu. Chyba, że zbliża się orgazm, usłyszał w głowie ostrzegawczy dźwięk. W ostatniej chwili przetoczył się na jedną stronę, nie przestając się masturbować. Błysk stali, gwałtowny ruch powietrza i ostrze sztyletu wbiło się w łóżko o kilka centymetrów od jego szyi. Usiłując odzyskać broń, Miranda zakryła mu ręką twarz. Ale Sabat był szybszy. Błyskawicznie złapał ją za inadgarstek i wykręcił rękę. Miranda krzyknęła z bólu. Ude-

93

rzyła go dmga pięścią, jak rozwścieczona tygrysyca, zdecydowana walczyć do końca.

Stoczyli się na podłogę, Miranda leżała na nim, usiłując wbić zęby w jego szyję. Sabat odepchnął ją i on z kolei znalazł się na górze świadomy swojej siły, świadomy tego co jej robi. Szósty zmysł znów ostrzegał - nie patrz jej w oczy.

Kłęczeli naprzeciw siebie. Sabat wykręcił jej rękę, wyginając jednocześnie jej ciało w tył. Starał się nie spoglądać w te niebezpieczne oczy, patrzył na jej piersi, zauważając, że sutki wciąż są twarde. Spojrzał niżej, aby stwierdzić, czy jej włosy naprawdę są czarne.

- Sukkub - syknął - Erzulie z białą skórą. Przeliczyłaś się tym razem.

Warknęła groźnie i plunęła mu w twarz.

- Skurwysyn, nie wyjdiesz stąd.

Sabat nie odpowiedział. Spojrzawszy na swoje ciało, zrozumiał, że robi to, czego ono żąda. Światło stojącej w rogu lampy pojaśniało, jakby diabeł, z którym się zmagał zaczął już ustępować. Brutalnie rzucił Mirandę na dywan, raz jeszcze przypominając sobie, że nie wolno mu spojrzeć w jej oczy. Rzucił się na nią jak dzika bestia, rozkrzyżowując jej ręce i kolanem rozwierając uda. Dziewczyna broniła się, kopiąc go piętami w plecy, ale to dodało mu energii. Odwróciła głowę i zamknęła oczy, poddając się swojemu losowi. Miranda czy Erzulie, spotkała równego sobie. Po kilku minutach jej jęki przeszły w mruczenie, przerywane krótkimi okrzykami, może okrzykami ekstazy. Sabat wyzbył się wszystkich innych myśli. Sheila Dow-son, Sylwia Adams i wielebny Storton, nawet jego własne życie i dusza nie były już ważne. Bez reszty opanowała nim chęć pełnego zaspokojenia się.

94

W końcu wyprostował się. Jego szczupłe, muskularne ciało błyszczało od potu. Zwiesił głowę, czując ogarniające go wyczerpanie. Trwało to jednak tylko kilka sekund. Sięgnął po ubranie, był już znowu w pełni sił. Wyrzucił z siebie nadmiar energii i gotów był do wypełnienia celu swojej wizyty.

- Dobrze - spojrzawszy w jej oczy stwierdził, że poprzedni ich blask został zastąpiony strachem. - Myślę, że skończyliśmy i możemy przejść do sprawy, w której tu przyszedłem.

- Zadzwoń na policję - powiedziała pustym głosem.

- Proszę bardzo - zaśmiał się - chociaż sądzę, że policjant jest ostatnią osobą, którą chciałabyś zobaczyć. Może ci zadać więcej kłopotliwych pytań niż nawet ja.

- Zgwałciłeś mnie. Możesz dostać za to pięć lat.

- A ty próbowałaś mnie zabić i możesz dostać dziesięć, a jeśli dowiedzą się, że należysz do Zgromadzenia i masz coś wspólnego z Roystonem, nie wyjdiesz już z więzienia. Nie jesteście lepsi od Mansona i jego bandy. Dobra, przejdźmy do sprawy.

Nie odpowiedziała, bez przekonania podnosząc z podłogi swoją bieliznę i zakładając ją. Sabat zauważył, że Miranda się trzęsie. Wiedział, że boi się wielu rzeczy, choćby Jego.

- Dlaczego nie pójdziesz sobie - jęknęła cicho - idź i zapomnij, że się kiedykolwiek spotkaliśmy.

- Pójdę, kiedy otrzymam odpowiedź na kilka pytań. Po pierwsze, kim jest Royston?

- Nie... nie wiem.

; - Kłamstwo. Byłaś z nim w łóżku. Przyjechałaś z nim też samochodem na cmentarz, żeby sprawdzić, czy

95

przeżyłem tamtej nocy. Royston jest przywódcą Zgromadzenia, od kiedy zabrano do szpitala psychiatrycznego Horacego. Więc nie opowiadaj mi bzdur.

- Naprawdę - jej oczy były pełne łez - nie wiem kim on jest i skąd pochodzi. Był towarzyszem Horacego. Horacy wspominał o nim raz czy dwa w taki sposób, jak gdyby się go bał. Royston wynajął we wsi jeden z tych domów, które przez całe lata stały puste i postanowił stanąć na czele zgromadzenia. Mieszkała z nim jakaś kobieta, widziałam ją tylko raz. Nie pochodziła stąd, miała skórę koloru jasnej czekolady - ani białą, ani czarną. Rodzaj mieszańca, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Zapewne Indianka - Sabat zmrużył oczy - to by się zgadzało.

- Nie widziałam jej nigdy więcej. Wtedy on zaczął mnie odwiedzać. Na początku lubiałam to... później zaczęłam się bardzo bać.

- Dlaczego?

- Wiedziałam, że on prowadzi mnie ku czemuś ohydniejszemu. Spotkania Zgromadzenia przestały być zabawą, jak na początku. Wszystko... wymknęło się spod kontroli. Wtedy wykopali tę Adams i... nigdy nie sądziłam, że zdarzy się coś takiego. Mówiłam sobie, że to jest jakaś sztuczka, gdy Horacy zatłukł na śmierć tę dziewczynę, tę Dowson. Ale niedługo później zdałam sobie sprawę, że to coś więcej, że oni wzywają... coś z ciemności, coś strasznego. Słyszałam to coś i czułam nosem, lecz nie ośmieliłam się spojrzeć. Boże, chciałam stamtąd uciec i zrobiłabym to, gdyby nie Royston. Wystarczy popatrzeć w jego oczy, żeby przekonać się, że jest... niezwykły.

- Ale mogłabyś pokazać mi dom, w którym on mieszka.

96

- Mogłabym... ale jego już tam nie ma. Odszedł. Odszedł tej nocy, po tym gdy... to zdarzyło się na cmentarzu. Wezwał mnie wcześniej tamtego ranka, powiedział, że musimy pójść i sprawdzić, czy ty jeszcze tam jesteś. Zobaczyliśmy, jak idziesz. O Boże, trzeba było go słyszeć! Wpadł we wściekłość, myślałam, że mnie zabije. Powiedział, że to wszystko moja wina i że jeśli nie pozbędę się ciebie na dobre, to... to bogowie potrafią karać tych, którzy zawodzą ich oczekiwania.

- Więc opuścił dom i nie widziałas go więcej.

- Nie, ale dzwonił. Mówił, że mam się ciebie pozbyć. Miałam uczucie, że chce ze mnie zrobić ofiarę podczas obrzędu, takiego, jaki tamtej nocy odprawiał Horacy. Zdaje się, że wiedział, że kiedyś przyjdiesz do mnie.

Sabat nalał whisky, oboje jej potrzebowali. Nerwy Mi-randy były napięte do granic wytrzymałości. Podniósł nóż, który omal nie pozbawił go życia i wsadził go do kieszeni. Zaczynało mu być żal tej dziewczyny. Na Haiti opowiadają pewną starą historię o pięknej dziewczynie, która dostała się w szpony diabła i miała zostać złożona w ofierze.

- Royston zrobił jeszcze więcej - Sabat zauważył, że dziewczyna boi się go coraz bardziej. - Gdzieś jest nowa świątynia, w której trzyma szkielet Williama Gardine-ra. Wiesz może, gdzie to jest?

- Nie - potrząsnęła głową i Sabat nie miał żadnych wątpliwości, że mówi prawdę. - Od czasu, gdy tak się na mnie wściekł, nie ufa mi. Ostrzegł, że jeśli pójdę na policję, stanie się ze mną to samo, co z Sheilą Dowson. Powiedział, że nie zobaczę nowej świątyni, dopóki nie wypełnię zadania.

- A zadanie polegało na zabiciu mnie?

4 - Cmentarne hieny

97

Tym razem nie udało się jej powstrzymać strumienia łez.

- Nie chciałam cię zabić - mówiła płacząc - ale kiedy przyszedłeś poczułam, że coś... wstąpiło we mnie. Nienawidziłam cię, jak jeszcze nigdy nikogo. Chciałam cię najpierw upokorzyć, chciałam żebyś zaczął się onanizować, a ja zabiłabym cię podczas orgazmu. Ale nie potrafiłam czekać. W pewnym momencie zabicie ciebie wydało mi się najważniejszą, najbardziej podniecającą rzeczą, o jakiej kiedykolwiek myślałam. Teraz Royston z pewnością zabije mnie.

Rzuciła się na kanapę, trzęsąc się konwulsyjnie. Jej płacz zaczynał być histeryczny. Sabat uderzył ją w twarz i położył na skórzanej narzucie. Łknęła jeszcze raz i ucihła, kurcząc się, gdy ciągnął ją za rękę, którymi zakrywała twarz w oczekiwaniu następnego ciosu.

- Wypij to.

Przytknął jej do ust brzeg szklanki.

- Spróbuj się pozbierać. Najgorszą rzeczą jest się poddać. Gdybyś to zrobiła, wpadłabyś prosto w jego ręce.

- On mnie zabije - połknęła łyk bursztynowego płynu - zabije. Sabat. On jest najgorszym człowiekiem na świecie.

- Nie - Sabat potrząsnął głową i zacisnął wargi - Royston nie jest najgorszym człowiekiem na świecie. Ja nim jestem. Nie chcę niczego więcej, jak tylko zabić go, zniszczyć go całkowicie, aby już nigdy jego ciało i dusza nie zagroziły rodzajowi ludzkiemu. Miranda otarła łzy i na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- Tak, wierzę, że jesteś zły. Sabat. Kiedy gwałciłeś

98

mnie, myślałam, że chcesz mnie potem zabić. Ale nie zrobiłeś tego. Czy tylko dlatego, że chciałeś wyciągnąć ze mnie jeszcze parę informacji?

- Wtedy tak - pozwolił sobie na lekki uśmiech - ale nie martw się, nie zabiję cię. Nie sądzę, że jesteś zła. Oni cię wykorzystali, wprowadzając w stan hipnozy, który ja przełamałem gwałcąc cię... gdyż w bezpośrednim starciu moja wola jest silniejsza od woli Roystona. Wynik walki jest niepewny i zależy od tego po czyjej stronie staną złe moce.

- O Boże, co możemy zrobić. Sabat?

- Mamy dwie możliwości - Sabat zapalił fajkę. Nie palił przez ponad tydzień i nagle zdał sobie sprawę, że tęskni do tytoniu. - Po pierwsze mogę cię zabrać do Londynu, ale nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło. Royston potrafi użyć swojego ciała astralnego do odnalezienia cię. Po drugie, możemy spotkać się z Roystonem w bezpośredniej potyczce, zamiast odkładać to, co nieuchronne. Myślę, że to drugie rozwiązanie jest lepsze.

- Ale jak to zrobić? - jej oczy rozszerzyły się ze strachu - nawet ja nie wiem, gdzie go znaleźć.

- Musimy zrobić to, co nie udało się Mahometowi. - Sabat zaciągnął się dymem. - Nie przyjdziemy do góry, więc góra musi przyjść do nas. Jak często Royston do ciebie dzwoni?

- Zbyt często.

- Dobrze, więc miejmy nadzieję, że zadzwoni wkrótce, wtedy musisz mu powiedzieć, że zabiłaś mnie. Musimy mieć nadzieję, że twoje zdenerwowanie przypisze faktowi, że pierwszy raz w życiu popełniłaś morderstwo. Opiszesz to tak, jak mogłoby wyglądać, gdybym nie odsunął się na czas. Boisz się, bo w twoim domu jest martwe ciało.

99

Prawdopodobnie Royston przyjdzie osobiście, zwłaszcza, że będzie mógł użyć mojego ciała jako rekwizytu w swoich obrzędach. Wtedy, gdy już tu będzie, ja zajmę się resztą.

- Nie podoba mi się to. - Miranda dokończyła whisky i odstawiła pustą szklankę. - Co będzie, jeśli zorientuje się, że to podstęp?

- W każdym przypadku jest to hazard - odparł Sabat - nawet w tej chwili jego ciało astralne może być w tym pokoju i obserwować nas. Musimy po prostu mieć nadzieję, że jest zbyt zajęty nową świątynią diabelskiego kultu, żeby martwić się - wybac to określenie - o byle pionka, jakim jesteś.

- Jak... w jaki sposób chcesz go zabić? - szepnęła Miranda. Nagle śmierć, nawet śmierć Roystona wydała jej się czymś przerażającym.

- Mogę go zastrzelić.

Sabat poczuł, że serce mocniej mu zabiło. Pamiętał to uczucie z czasów, gdy należał do SAS i zabijał ludzi w mocy prawa.

- Ale to mogłoby narobić za dużo hałasu - kontynuował - a ściągnięcie na siebie uwagi policji jest ostatnią rzeczą, jakiej byśmy chcieli. Prawdopodobnie zrobię użytek z noża, którym omal mnie nie zabiłaś. Po pierwsze muszę zabić jego ziemskie ciało, a następnie działać szybko, zanim dusza zdąży je opuścić. Ten krótki czas, zanim ciało astralne wcieli się w jakąś kolejną istotę, jest jedynym w którym człowiek, taki jak Royston może być naprawdę bezbronny. Jeśli stracimy tę szasnę, zło zacznie działać znowu pod inną postacią.

Przez pewien czas siedzieli w milczeniu, żadne z nich nie chciało przeszkadzać myślom drugiego. Sabat spojrzął

100

na Mirandę. Wiedział, że przyjdzie im wspólnie spędzić wiele czasu. Następnym razem nie będzie musiał brać jej siłą.

Zawiązała się między nimi jakaś szczególna nić porozumienia.

Miranda też o nim myślała. Myślała, jak bardzo różni się od owego na czarno ubranego psa gończego, który pojawił się w wiosce, aby ich wszystkich upolować. Był bezlitosny, ale mimo to dawał się lubić. Bardzo. Miała nadzieję, że nie będzie jej zadawał zbyt wielu pytań o pożar w "Brunatnym Byku". Zrezygnowała z prób okłamania go, mówiąc sobie, że jest to niemal niemożliwe, że te sokole oczy wytropią prawdę choćby najgłębiej ukrytą. Być może był jedynym na świecie człowiekiem, zdolnym zabić Roystona.

Dobiegający z hallu dzwonek telefonu wyrwał ich z zamyślenia. Była siódma rano i promienie słońca przebijały się już przez zasłony. Odpoczęli i teraz nadszedł czas na działanie.

Miranda spojrzała na niego. Z jej oczu wyczytała, że się boi.

- To on - powiedziała prawie niedostyśzalnym szeptem - często dzwoni wcześniej rano.

- Odbierz - starał się złagodzić napięcie - zrób pierwszy krok w kierunku zniszczenia Roystona.

Widział, z jakim trudem idzie do hallu, spoglądając na frontowe drzwi, jakby w nich upatrywała szansę ucieczki. Drżącą ręką podniosła słuchawkę. Sabat dalej siedział na kanapie i przysłuchiwał się rozmowie.

- Tak... przyszedł tej nocy... zabiłam go - zrobiła krótką przerwę - nożem, który mi dałeś. Boże, to straszne, Royston. Ciało leży w moim pokoju i nie wiem co...

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, podczas której współ-

101

rozmówca zapewne udzielał jej instrukcji. W końcu Miranda odezwała się:

- Dobrze, będę czekać na ciebie. Gdy wróciła do pokoju, jej twarz była trupio blada. Zachwiała się, musiała oprzeć się o

krzesło, aby nie upaść.

- Przyjdzie tu - wyszeptała - tej nocy. Sabat starał się powstrzymać podniecenie. Miranda była najwyraźniej przerażona perspektywą przybycia Roystona.

- Dobrze - uśmiechnął się - mamy dużo czasu, aby przygotować się do jego przyjścia.

- Nie o to chodzi - usiadła, nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach - on mówi - przełknęła ślinę - mówi, że... że trzeba będzie odprawić pewne... obrzędy nad twoim ciałem, aby upewnić się, że nie będziesz nam więcej przeszkadzał. Nie wiem, co miał na myśli, ale kazał mi przygotować piłę, młotek i dłuto.

Sabat poczuł skurcz żołądka, przypominając sobie, co tak niedawno sam zrobił z ciałem Stortona. On nie miał żadnych wątpliwości, wiedział, co Royston ma na myśli. Oko za oko... głowa za głowę. Nie zamierzał mówić Mi-randzie, że wszystkie te narzędzia, które Royston kazał jej przygotować, leżą w bagażniku jego Daimiera zaparkowanego pod domem.

- Nie przejmuj się już Roystonem - uśmiechnął się, prosząc ją gestem ręki, aby usiadła obok niego - najważniejsze, że mamy kilka godzin na odpoczynek. Tej nocy nie wolno nam zasnąć.

Rozdział VII

Gdyby był sam, być może udałoby mu się odpocząć, ale z Mirandą przy boku było to niemożliwe. Czuł, jak z każdą chwilą jej nerwy są coraz bardziej napięte. Boże, ona załamie się na długo przed wieczorem, pomyślał.

Zastanawiał się, czy chwila fizycznej rozkoszy nie odsunęłaby od niej tych czarnych myśli, ale ona odepchnęła jego rękę.

- Nie, Sabat, proszę. Nie jestem... nie jestem w nastroju.

Westchnął, odsuwając rękę. To będzie bardzo długi dzień. Dlaczego, u diabła, nie byli typem ludzi, którzy mogliby spędzić czas, grając w szachy?

- Co sprowadziło cię w te strony? - Oprócz chęci zabicia czasu i uspokojenia Mirandy było w tym pytaniu rzeczywiste zainteresowanie.

- Okoliczności ode mnie niezależne. - Zmusiła się do śmiechu - urodziłam się w Londynie, ale moi rodzice rozeszli się, gdy miałam dziesięć lat. Zostałam z mamą, która, aby zdobyć środki do życia, poszła wtedy na ulicę. Nie robiła z tego tajemnicy. Później zaczęła pracować w domu. Na oknie zawsze trzymała szmacianą lalkę. Jeżeli lalka leżała, znaczyło to, że mama ma klienta, jeśli siedziała - to był to znak, że jest wolna i czeka. Gdy opuściłam szkołę, doszłam do wniosku, że jest to najłatwiejszy sposób zarobienia pieniędzy. Nie próbowała mnie powstrzymać, ale nie mogę też powiedzieć, że mnie zachę-

103

cała. Krótko mówiąc, mama w końcu wyprowadziła się do jednego ze swoich klientów, a ja po pewnym czasie stwierdziłam, że będąc miejską dziwką, nie mam żadnej przyszłości i postanowiłam poszukać jakiegoś lepszego otoczenia. Ta okolica zawsze mi się podobała, więc przyjechałam tutaj. Większość czasu spędzałam w "Brunatnym Byku" i tak zdobywałam środki do życia. Wtedy zaangażowałam się w to Zgromadzenie. Z początku było wesoło, ale ograniczało się do dawania tym facetom za darmo. Najgorzej było wpaść w łapy Horacego, wtedy za późno było na wycofanie się. W porównaniu z Roystonem, Horacy był brudnym starcem.

- Więc można powiedzieć, że najlepiej było, gdy spotkałaś mnie - powiedział Sabat.

Jej nerwowy śmiech dodał mu odwagi.

Znów pograżyli się każde we własnych myślach. Sabat przypominał sobie tamto gorące popołudnie, gdy pewien rozzochorny nauczyciel szkolny zaprosił go na spacer przez pola. Potem jego myśli skierowały się ku tamtej żonie pułkownika. Był podniecony i niezaspokojony, co nie było dobrą rzeczą, skoro wieczorem miał zabić człowieka. Musi być czujny, rozrywki erotyczne mogą doprowadzić go do przegranej.

Spojrzał na Mirandę. Dziewczyna spała niespokojnym snem.

W ciągu dnia Sabat drzemał, ale po południu zapadł w głębszy sen. Śniło mu się, że jest pod ziemią w wilgotnym pomieszczeniu, o ścianach pokrytych mchem i wałącym się stropie. Doszedł tu po długich kamiennych schodach, powątpiewając, czy dobrze robi porzucając światło dnia i świeże powietrze. Pchała go jednak jakaś niezrozu-

104

miała siła. Przyciągała Sabata cisza i ciemność, słyszał wewnętrzne wezwanie, którego nie potrafił zignorować. Po pewnym czasie jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wałący się strop podparty był kamiennymi kolumnami, podłoga z grubo ciosanych kamiennych bloków, lśniła wilgocią. Krypta była tak stara, że "wryty w kamieniu napis był już całkiem nieczytelny. Sabat czuł czyjąś obecność. Ukrywające się w zakamarkach szczury nie były zaniepokojone jego obecnością.

Krypta była dużo większa, niż mu się z początku wydawało. Miała niemal rozmiary kaplicy zbudowanej pod ziemią.

Sabat nie był sam - spostrzegł stojącego w drugim końcu mężczyznę, zajętego przykrywaniem ołtarza. Na jego płaskiej powierzchni leżał jakiś kształt, który swą białą barwą silnie kontrastował z podłożem. Trudno było w pierwszej chwili rozpoznać w nim ludzki szkielet: zniszczona czaszka i żebra, rozrzucone kości nóg i ramion.

Sabat rozpoznał je tak bezbłędnie, jakby patrzył na ciało swego najbliższego przyjaciela. Wiedział, że te kości są wszystkim, co zostało z Williama Gardinera.

Wielki mężczyzna traktował je z czcią, raz nawet kłaniając się i całując stopy. Sabat zrozumiał nagle, że jest to Royston ubrany w powiewny fioletowy ornat ozdobiony odwróconym krzyżem. Błuznierczy czarny biskup, odprawiający piekielne obrzędy w poszukiwaniu wiecznego życia.

Ceremonia dopiero się zaczynała, żywy składał hołd umarłemu, prosząc o siłę nie znaną śmiertelnym. Royston zdawał się nie wiedzieć o obecności Sabata. Pomieszczenie zaczęli wypełniać nadzy ludzie w różnym wieku. Wchodzili przez ukryte za ołtarzem przejście, aby uczestniczyć w

105

obrzędzie, który miał ich obdarzyć nadludzką mocą. Starcy i młodzieńcy, w ciszy przerywanej tylko obłąkanym chichotem,

oddawali się obscenicznym aktom, pożądliwie dotykając się nawzajem, obracając w rzeczywistość wszystkie niezdrowe fantazje. Zebrani spoglądali przez cały czas na stary szkielet, jakby w oczekiwaniu na jego aprobatę. Zrobiło się zupełnie cicho. Ciemności pogłębiały się stopiowo, skrywając wszystko przed oczami Sabata tak, że teraz mógł polegać tylko na swoim słuchu i owym nadzwyczajnym szóstym zmysle, który rejestrował nawet najdrobniejszy ruch. Przez to samo ukryte wejście wniesiono kogoś związanego i zakneblowanego tak, że tylko z jego ruchów można było wyczytać jak jest przerażony. Kim był - mężczyzną czy kobietą, młodzieńcem czy starcem? Sabat poczuł zapach własnego potu, woń strachu, bo musiał domyślić się, kto to jest. Nie mógł się ruszyć, nie widział niczego, zmuszał się, by o tym nie myśleć. Obrzęd rozpoczął się. Sabat słyszał stłumione przez knebel jęki ofiary, z której naprężonych żył trysnęła krew. Na rany Jezusa Chrystusa, kto to jest?

Dała się słyszeć wrzawa podnieconych głosów, bluźniercze okrzyki, jęki rozkoszy. Wszystko to ucichło, gdy zabrzmiał tętent kopyt i zwierzęce parskanie. W powietrzu zawisł ohydny smród, zapach stajni, której nawet Herku-lesowi nie udało się oczyścić. Dał się słyszeć ohydny odgłos - ktoś jadł ciało zabitego człowieka albo kopułowal! z... Sabat nagle zaczął uciekać. Po omacku, w całkowitej ciemności szukał drogi do tych kamiennych schodów i dalej na górę, tam, gdzie w międzyczasie zapadła już noc, gdzie powietrze było czyste, gdzie smród rozkładu pochodził jedynie z jego ciała, na którym osiadły ohydne opary.

106

Rozpląkał się, waląc zaciśniętymi pięściami w kamienisty grunt. W imię Boga, kim była ofiara, czyje ciało zostało za życia tak okaleczone, po to aby William Gardiner mógł obdarzyć Roystona nieśmiertelnością. Na Boga, czyje? Sabat obudził się nagle, czując, że jego serce bije jak oszalałe. Stwierdził, że jest już ciemno. Wilgotne ubranie przykleiło się do jego ciała i przez chwilę wydawało mu się, że nadal czuje tamten ohydny smród ale był to tylko zapach jego własnego potu. O Boże, niewiele brakowało, bardzo niewiele. Siła Roystona była tak wielka, że mógł być on zabić Sabata, wzywając jego duszę, gdyby chciał. Ale dla jakiejś diabelskiej przyczyny wolał pozostawić go przy życiu, bawić się nim, jak kot który jest już pewny, że ofiara mu się nie wymknie.

Zazwyczaj Sabat potrafił, jeśli chciał, utrzymać swoją astralną istotę blisko ciała podczas snu, zwłaszcza w dzień. Tym razem się nie udało. Dusza powędrowała w przyszłość (bliską czy daleką?), aby ujrzeć nadchodzące zło. Prawie na głos jęknął.

- Na Chrystusa, czyje ciało złożono na tym czarnym ołtarzu?

Wiedział, że przyszłość zakryta jest przed oczami śmiertelników, z wyjątkiem tych rzadkich przypadków, gdy w postaci ciał astralnych mogą przez chwilę ujrzeć rzeczy, które dopiero się wydarzą.

Spojrzała na Mirandę. Spała, dysząc głośno i wstydził się ją obudzić, przenieść ją znów w okrutny świat zła i śmiertelnych niebezpieczeństw. Musiał jednak to zrobić, nie mógł teraz zmienić planów. Zamordowanie Roystona nie było łatwym zadaniem. Jest zbyt potężny i świadomy ich planów.

107

Przed Sabatem znów otworzyły się dwie możliwości. Mógł uciec z Mirandą z tego domu, póki było jeszcze spokojnie, albo mogli szybko narysować pentagram, zdać się całkowicie na jego moc i za zamkniętymi drzwiami przeczekać do rana. To ostatnie było bezpieczniejsze. Gdyby uciekli, Royston znalazłby ich i zaatakował niezależnie od tego, gdzie by się znajdowali. Tutaj mają pewną szansę przeżycia. Wciąż nie było jeszcze całkiem ciemno. Był już czas iść do samochodu, przynieść z niego wszystko, co jest potrzebne do zrobienia pentagramu tak, aby po zapadnięciu nocy byli względnie bezpieczni. Moc Roystona była niewiarygodna. Czerpała ją ze szczątków Williama Gardinera. Był silny na tyle, aby przyciągnąć do siebie ciało astralne Sabata i pozwolić mu spojrzeć w przerażającą przyszłość. Chryste, gdybyż tylko potrafił rozpoznać tę ofiarę! Sabat łagodnie potrząsnął ramieniem Mirandy. Jej oczy otworzyły się i natychmiast pojawił się w nich poprzedni wyraz przerażenia. Zaczęła drżeć na całym ciele.

- Jest... prawie ciemno - spojrzała w okno - on wkrótce tu będzie. Musimy...

- Zdecydowałem się zmienić plan - Sabat starał się, by zabrzmiało to zasadniczo, jak coś, co przemyślał, gdy spała. W żadnym razie nie powinna odgadnąć prawdy. - Zabicie Roystona tutaj jest ryzykowne. Mogą pojawić się wszelkie komplikacje, łącznie z aresztowaniem nas za morderstwo. Proponuję narysować w tym pokoju pentagram, który powinien aż do rana ochronić nas przed niebezpieczeństwem. Jutro wrócimy do Londynu, gdzie będę mógł z nim walczyć na własnym terenie.

Brzmiało to rozsądnie i na twarzy Mirandy odmalo-

108

wał się wyraz ulgi, gdy dziewczyna zrozumiała, że nie spotkają się z Roystonem.

- Zanim stanie się całkiem ciemno, skoczę do samochodu po wszystkie potrzebne rzeczy.

- Dobrze - skinęła głową - ale proszę, wróć jak najszybciej, Mark, bo już robi się ciemno... i boję się.

Zamknęła za nim frontowe drzwi. Było ciemniej niż myślał, uliczne światła już się paliły i we wszystkich oknach zasunięte były żaluzje. Nadciągały chmury i zaczynało mżyć. Sabat wzruszył ramionami, jakby chciał strząsnąć z siebie złe przeczucie, które prześladowało go od chwili, gdy się obudził.

Z ulgą stwierdził, że daimier jest na swoim miejscu. Był zaparkowany dalej od domu Mirandy, niż myślał i Sabat obawiał się, że ktoś mógł go ukraść. Boże, musi pozbyć się tych bezsensownych obaw, wziąć się w garść.

Drżącą ręką szukał w kieszeni kluczyków. Opanował się jakoś, powiedział sobie, że musi zachować spokój. Prawdopodobnie Royston nie pojawi się jeszcze przez całe godziny. Znalazł właściwy kluczyk, ale ten wypadł mu z dłoni, gdy już miał wsunąć go do zamka. Zaklął i spróbował jeszcze raz. Kluczyk wsunął się nieco do środka i ugrzązał tak, jakby natrafił na jakąś przeszkodę.

- Do diabła, co się dzieje? Pierwszy raz zdarza się coś takiego.

Sabat pchał i ciągnął, ale kluczyk nie ruszał się już w żadną stronę, na dobre utkwiał w zamku.

Sabat spociał się, ale próbował zachować spokój. Może jakiś brud dostał się do środka. Cierpliwe, ostrożne ruchy były lepsze niż próba wciśnięcia klucza na siłę - będzie niedobrze, jeśli się złamie. Zamek musi ustąpić. Ale nie poruszał się.

109

Sabat cofnął się o krok, słysząc jak pęk kluczy uderza o drzwi i kołysze się niczym wahadło. Chryste, tego mu tylko było trzeba! Może powinien pójść do najbliższego telefonu, zawiadomić pomoc drogową. "Proszę dokładnie powiedzieć, gdzie stoi pana samochód. Dziękuję, proszę czekać, myślę, że będziemy za godzinę". Straci więcej niż dwie godziny, podczas których

Royston z pewnością zdąży przyjść. Można też wybić okno, ale wtedy zbiegnie się połowa mieszkańców. "Ten facet jest podejrzany, widzieli państwo, dokąd poszedł. Do jej domu".

Za dużo tych "jeżeli" i "ale". Może powinien jeszcze spróbować z tym kluczem, może powinien pójść do Mi-randy i powiedzieć, że ma kłopoty. Dziewczyna nie widzi przecież samochodu z swojego domu i z pewnością zaczyna się martwić. Nie, to zabrałoby zbyt wiele czasu, a jest już prawie całkiem ciemno.

Klucze znów zadzwoniły, gdy uchwycił je, raz jeszcze próbując przekręcić ten, który siedział w zamku. Bezskutecznie.

Gdy za Sabatem zamknęły się drzwi, Miranda poczuła się bardzo samotna. Nie doświadczyła czegoś takiego od czasu, gdy jej ojciec na dobre opuścił dom. Czowała się tak, jakby odeszła od niej jakaś część jej samej. Zazwyczaj po odejściu klienta odczuwała ulgę. Z kochankami nie wiązało jej nic głębszego, po prostu czysto fizyczny związek, nic więcej. Tym razem było inaczej, nawet kiedy Sabat ją gwałcił, miała ochotę opleść go swoimi nogami i zatrzymać w sobie na zawsze. Wstrzymała ją przed tym jakaś niewyjaśniona siła. Próbowała go zabić, choć nie nienawidziła go. To było tak, jakby ktoś obcy był w niej i kierował wszystkimi jej ruchami. Ta ślepa wściekłość nie po-

110

chodziła z niej. Sabat nazwał to mentalną hipnozą. Dzięki Bogu, że jej nóż chybił.

Royston ją martwił i przerażał. Nie mogła przestać o nim myśleć. Zawsze kiedy się z nim kochała, narastało w niej obrzydzenie, jakby kopolowała z jakimś śliskim gadem. Nigdy nie ośmieliła się jednak okazać mu tego. Na szczęście nie spotykali się ostatnio, ale tej nocy miał przyjść do niej znowu ten morderca. Nie wahałby się jej zabić, gdyby mu to było potrzebne. Teraz obronić ją mógł tylko Sabat. Czy będzie wystarczająco silny, wystarczająco sprytny? Sabat był zły, to prawda, ale w inny sposób. Miranda czuła się przy nim bezpieczna, już tych kilka minut jego nieobecności wywołało w niej nieznaną dotąd uczucie niepewności.

Na pewno minie trochę czasu, zanim wróci. Popatrzyła na stojący na półce zegar. Dziewiąta trzydzieści. Na zewnątrz było całkiem ciemno. Światło ulicznych latarni błyszczało jakoś niesamowicie. Miranda zadrżała, próbując przypomnieć sobie, ile czasu upłynęło od wyjścia Sa-bata. Pewnie z dziesięć minut, nie, więcej, przynajmniej dwadzieścia. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, lecz jak okiem sięgnąć, chodniki były wyludnione. Co go zatrzymało? Może coś zgubił, lub nie mógł sobie poradzić z przyniesieniem wszystkich rzeczy. Lecz ta myśl wydała się jej nieprawdopodobna i nie uwolniła jej od niepokoju. Przecież Sabat śpieszył się bardzo, chciał jak najszybciej narysować pentagram i zabarykadować dom na noc. Chyba stało się coś złego...

Nagle usłyszała dzwonek do drzwi. Dźwięk ten przyniósł jej chwilową ulgę. Strach odpłynął gdzieś, gdy szła szybko w stronę wejścia. Znalazłszy się przy drzwiach,

111

spojrzała na zewnątrz przez wizjer i ujrzała zarys jego sylwetki.

- Dzięki Bogu - powiedziała, wpuszczając go - zaczynałam się niepokoić, że stało się coś złego. Co cię zatrzymało, nie było cię prawie dwadzieścia minut?

- Nie sądziłem, że to potrwa aż tak długo - jego głos zabrzmiał inaczej, płasko i bez wyrazu. - Najwyżej dziesięć.

Coś kazało jej się odwrócić, jakby nagłe ostrzeżenie, że coś jest nie w porządku. Wtem otworzyła szeroko oczy, usta rozchyliły się w zdumieniu i przerażeniu. Człowiek, który stał naprzeciw niej nie był Sabatem. Twarz mężczyzny była nalana, o wysuniętych szczękach. Oczy, ledwie widoczne spod kaptura, błyszczały straszliwą wściekłością. Czarne ubranie wisiało bezkształtnie na jego ogromnej sylwetce, białe, zadbane ręce wyciągały się w kierunku jej twarzy, zacisnęły się na gardle. Stało się to tak szybko, że Miranda nie zdążyła nawet krzyknąć. Przed oczami widziała czerwone plamy, które stopniowo ustępowały miejsca ciemności. Gdy świadomość z niej uchodziła, nie zastanawiała się nad niczym. Wiedziała tylko, że w jakiś sposób Sabat przemienił się w Roystona i że tym razem nie było dla niej ucieczki.

Sabat wydał głośne westchnienie ulgi, kiedy w końcu udało mu się wsunąć klucz do dziurki i z łatwością przekręcić go. Aż trudno było uwierzyć, że cokolwiek mogło przeszkadzać mu zrobić to za pierwszym razem. Przechylił się przez oparcie siedzenia i z niepokojem szukał na podłodze. W końcu jego palce natrafiły na małą plastikową torebkę ukrytą pod gumową wycieraczką.

112

- Dzięki Bogu - wyszeptał - obym tylko jeszcze zdążył.

Trzasnął drzwiami. Tym razem bez trudu udało mu się przekręcić klucz w zamku. Potem szybkim krokiem ruszył z powrotem w kierunku domu. Nie chciał niepotrzebnie zwracać uwagi i tylko to powstrzymywało go, by nie pobiec jak najszybciej. Odległość między jego Daimierem a domem Mirandy była większa, niż przypuszczał i kiedy w końcu skręcił na wąską ścieżkę dzielącą bramę od drzwi wejściowych, serce biło mu jak oszalałe. Czuł, że stało się coś złego, lecz starał się przypisać swoje zdenerwowanie temu, że wracał po tak długim czasie.

Drzwi wejściowe były lekko uchylone, światło z korytarza rzucało pomarańczowe blaski na nie strzyżony od dawna trawnik. Sabat wszedł i zatrzymał się za progiem. Nigdzie nie było żadnego śladu Mirandy. Być może otworzyła drzwi, oczekując jego powrotu i czeka w środku.

Lecz nie! O Boże Święty, wiedział, że nie znajdzie jej w domu. Wiedział to już przedtem, nim zaczął wołać ją po wszystkich pokojach. Royston przechytrzył go, to on sprawił, że Sabat stracił tyle czasu przy samochodzie, podczas gdy porwano Mirandę.

Niepokój w nim narastał. W miarę jak przechodził przez kolejne pokoje, potwierdzały się jego najgorsze przypuszczenia. Nie było żadnych śladów walki. To go nie zdziwiło. Potężna czarna magia Roystona mogła użyć pozaziemskich sił, by zniewolić dziewczynę.

Zatrzymał się pod drzwiami, wyprostował i pomyślał, że musi teraz bardziej kontrolować swoje emocje. Ślepa wściekłość odeszła tak szybko, jak przyszła. Wiedział, że musi zastanowić się co robić. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

113

I wtedy poczuł nagle zapach zła, jakby delikatną smugę, która natychmiast odpłynęła. Tę woń rozpoznawał zawsze, tym razem wydała mu się szczególnie znana, szczególnie świeża, nie miał wątpliwości skąd pochodzi. To było to, co parę godzin

wcześniej poczuło jego ciało astralne. Zacisnął pięści z całej siły, bił się w usta, próbując wytłumaczyć sobie, że nie ma racji. Wiedział jednak, że tylko się okłamuje. Zapach, który poczuł, przypomniawszy mu wszystko: tę potworną podziemną kryptę, straszliwy odór, niemal słyszalne uderzenia kopyt ohydnej bestii i jej lubieżne parskania nad bezbronną ludzką ofiarą. Teraz nie miał już wątpliwości, z całą pewnością wiedział, kto miał być tej bestii poświęcony. To Miranda, ją właśnie Royston ofiarowywał przerażającym mocom ciemności w zbrodniczym pakcie z samym Szatanem. Nawet teraz w każdej minucie mogła rozpocząć się ta diabelska rzeź.

Rozdział VIII

Po zamknięciu drzwi domu. Sabat przystanął i zmusił się, by myśleć logicznie. Tej nocy nie miał się czego obawiać. Ciemne siły powinny być zajęte swymi nieczystymi obrzędami. Z pewnością dopiero później będą chciały się z nim policzyć. Boże, gdyby chociaż wiedział, gdzie mieści się ta opuszczona krypta. Były ich dziesiątki rozrzuconych po całym kraju, często zapomnianych, zasypanych czy zniszczonych. Znał jednak pewnego człowieka, który mógł to wiedzieć. Mógł też cofnąć decyzję biskupa Wentnora i już na początku udzielić Sabatowi pomocy. Człowiekiem tym był arcybiskup, zawsze niezwykle szczery, jedyny, który wiedział, że poza granicami ludzkiej wiedzy istnieją i działają siły zła. Sabat wrócił do hallu, wykręcił numer informacji telefonicznej. Nawet gdyby telefonistka miała zastrzeżenia, powinna podać mu parę numerów tutejszej diecezji. Ta metoda kolejnych kroków irytowała go, lecz zdecydowany był przezwyciężyć wszystkie trudności. Musiał nawiązać kontakt z arcybiskupem w jakikolwiek sposób. Minęło piętnaście minut, zanim zdołał wreszcie połączyć się z jego prywatnym sekretarzem. Niechętnym tonem wyraził niezadowolony, że komukolwiek może przyjść do głowy pomysł, by niepokoić jego świątobliwość o takiej porze - było już po dziesiątej!

115

- Gdyby był pan uprzejmy zostawić wiadomość, nie omieszkam jutro dostarczyć ją jego świątobliwości. Kolejna przeszkoda do pokonania.
- Jutro będzie za późno - Sabat niecierpliwił się. - Nie obchodzi mnie, czy jego świątobliwość jest w wannie, czy śpi. Niech pan będzie uprzejmy natychmiast mu powiedzieć, że dzwoni Sabat.
- Przepraszam, Sabat...? - niedowierzanie, jakby człowiek z drugiej strony telefonu chciał usłyszeć jeszcze raz to nazwisko - Sabat...?
- Tak, Sabat. Muszę natychmiast rozmawiać z arcybiskupem. Jeśli nie przekażę mu tej wiadomości, ktoś może zginąć. To sprawa życia i śmierci!
Słuchawka po drugiej stronie stuknęła odłożona na drewniany stolik. Nie usłyszał nic w rodzaju "proszę się nie rozłączać" lub „pójdę i zobaczę, co da się zrobić”. Nie miało to znaczenia, gdyż wiedział, że przynajmniej wiadomość o telefonie dotrze do arcybiskupa.
Słyszał jakieś trzaski i stuki, potem nastąpiła cisza. Zaczął się zastanawiać, czy sekretarz go nie rozłączył. Lecz po paru minutach ktoś podniósł słuchawkę i niski spokojny głos powiedział:
- Sabat, doprawdy mój drogi chłopcze, zapewne wiesz, że jest raczej późno. Mam nadzieję, że to naprawdę pilne.
- Rozpaczliwie pilne, sir - Sabat użył tej formy wiedząc, że musi stwarzać pozory szacunku, gdyby ktokolwiek podsłuchiwał rozmowę. - Potrzebuję pańskiej pomocy. Mszcząc się za moje egzorcyzmy na cmentarzu św. Adriana, wyznawcy kultu porwali kobietę z wioski i mam powody, by przypuszczać, że chcą uczynić z niej żywą ofiarę.

116

- Mój Boże! Czy zawiadomił pan policję?
- Nie, gdyż, po pierwsze, nie ma na to czasu, po drugiej, zostałem... ostrzeżony.
- Słucham zatem? - w głosie arcybiskupa pojawiła się nuta sympatii. - Już widzę, jak będą mi zazdrościć, że dowiedziałem się pierwszy.
- Niech pan posłucha - Sabat próbował powstrzymać niecierpliwość - to jest niezwykle pilna sprawa. Sądzę, że zna mnie pan wystarczająco dobrze i wierzy, że nie przesadzam... a także, że mam swoje sposoby zbierania informacji. Dlatego właśnie mnie zaangażowaliście. Wiem, że to szczególne zgromadzenie uczyniło swoją świątynią opuszczoną kryptę. Trzymają tam szkielet Wil-liama Gardinera. Planują teraz jakieś bluźniercze obrzędy, które - zapewniam pana - nie są jedynie głupią zabawą. Muszę znaleźć tę kryptę i to właśnie jest powód, dla którego dzwonię.
- Hmm - z drugiej strony zapanowała chwilowa cisza - w całym kraju jest wiele starych krypt, niektóre od wielu lat są opuszczone tak, że niejeden wikary nawet nie wie o ich istnieniu. Jedyne, co mogę panu powiedzieć to to, że jest człowiek, który być może zdołałby tu pomóc.
- Dobrze i to - Sabat czuł, że serce bije mu coraz szybciej.
- Wielebny Spode - mówił dalej arcybiskup - jest bardzo szanowanym wikarym. Ukończył studia archeologiczne, a szczególnie interesowały go kościoły przednor-mańskie. Studiował także religie czasów poprzedzających chrześcijaństwo. On może zdołałby pomóc. Pamiętam, że parę lat temu wystąpił w telewizji i narysował szczegółową mapę rozmieszczenia kościołów, z których wiele nie

117

istnieje od lat. Jestem pewien, że posiada on także listę tych starych krypt.
- No dobrze, jest taki człowiek - Sabat zniecierpliwił się - tylko jak mogę się z nim skontaktować?
- Mieszka gdzieś w Worcestershire, jeśli poczeka pan chwilę, pójdę i przyniosę panu adres.
Sabat czekał, ciarki chodziły mu po plecach. Czuł, że w końcu wpadł na właściwy trop.
O dziesiątej czterdzieści pięć Sabat zasiadł za kierownicą swojego daimiera zadowolony, że silnik zapalił za pierwszym razem.

Mimo napięcia w ostatnich godzinach czuł się fizycznie i psychicznie odprężony. Długi sen w ciągu dnia odnowił jego siły, a podróż jego ciała astralnego - jak zwykle - nie przyprawiła go o cielesne znużenie. Pokonanie tych czterdziestu mil mogło mu zająć niecałą godzinę i miał nadzieję, że wielebny Spode nie należał do osób kładących się wcześniej spać. Gdyby jednak miał taki zwyczaj. Sabat zdecydowany był go obudzić. Ta sprawa była poważniejsza niż najgłębszy sen. Wiele dusz było w strasznym niebezpieczeństwie, a poza tym Sabat miał teraz błogosławieństwo arcybiskupa. Działałby i bez niego, lecz potężne poparcie ułatwiał sprawę.

Zaczęło mżyć, noc była chłodna i wilgotna. Gdy przejeżdżał przez Evesham, widział księżyc, odbijający się w rzece. Zostało już tylko dwadzieścia mil. Rozluźnił się, jechał szeroką szosą, jedna z tych, które były taką dumą Anglii. Czuł płynącą z sadów woń dojrzewających owoców. Nagle wjechał w gęstą mgłę. Zapiszczały hamulce, koła z lewej strony zjechały na poboczne szosy. Daimier ześliznął się i zatrzymał.

- O, kurwa - Sabat z niedowierzaniem wpatrywał się w gęste białe opary, wciskające się zimnymi kłębami

118

przez otwarte okna samochodu. Momentalnie zrobiło mu się zimno. Światła reflektorów odbijały się od ściany mgły, oślepiły go.

Zrozumiał wszystko. Te same ciemne moce, które zatrzymały go przy samochodzie, gdy porwano Mirandę, raz jeszcze pokrzyżowały jego plany. Najwyraźniej bardzo im zależało, by nie dotarł do miejsca przeznaczenia i nie odkrył świątyni zła! Zesztywniał i zamknął oczy. Otworzył je dopiero wtedy, gdy oślepiający blask przyciemniał.

Cisza. Ciemność. Silnik już nie pracował, reflektory zgasły... Albo ich światło pochłonęła wciąż gęstniejąca mgła.

Sabat zbierał siły w oczekiwaniu na coś, co musiało natąpić. Usłyszał szyderczy śmiech.

- Tym razem jesteś pokonany z naszej woli!

Był to bez wątpienia głos Ouentina. Sabat nie raz już był w opresji, nauczył się opanowywać nerwy. Na jego szyi wisiał krzyż, w kieszeni miał cebulki czosnku. Wróg krył się jednak w jego własnym ciele. - Ouentin!

Maniakalny śmiech szarpał jego nerwy, wbijał się w ciało, zadawał fizyczny ból. Zimne palce Śmierci dotykały jego twarzy, po której spływał pot. I wtedy mimo panicznego strachu przyszedł mu do głowy zbawienny pomysł. Egzorcyzmował tak wiele miejsc, ludzi - dlaczego nie siebie?

Wzdrygnął się na tę myśl. Był jak bokser przyciśnięty do lin ringu, lecz chciał jeszcze znokautować przeciwnika. Jeżeli mu się uda - wygra, jeśli nie - ma szansę jeszcze się bronić. Podjął ostatnią rozpaczliwą próbę. Nie miał odwagi myśleć, co będzie, jeśli przegra.

Krzyczał, starając się wyraźnie wymówić każde słowo.

119

Obawiał się, że głos Ouentina zaćmi jego umysł zanim skończy.

- Rozkazuję ci, zła siło, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... - z trudem łapał oddech. Chwyciło go coś w rodzaju astmy, groźnego pęknięciem płuc. - ...nie krzywdź nikogo... opuść tę istotę... którą jestem ja sam... powrócić do miejsca ci przeznaczonego i pozostać tam na zawsze.

Wciągnął do obolałych płuc haust powietrza. Łomot w głowie doprowadzał go niemal do obłądu. Rozpaczliwie ucpeł się skalnej ściany, by bronić się przed głosem, który ścigał go w czarną otchłań. Znowu usłyszał Ouentina. Tym razem nie był to śmiech, lecz ohydne przekleństwo.

- Ty skurwysynu, nie uwolnisz się ode mnie, bo ja jestem tobą, Markiem Sabatem. Dybiesz na samego siebie.

To była prawda. Sabat czuł potworny ból, jęczał, me postradał jednak zmysłów. Nie był to pierwszy pojedynek z Ouentinem.

Cześć, którą widział przed sobą, była tamtym grobem, teraz większym, ożywionym obecnością zła. Mgła odpłynęła.

Czuł, że wygrał i przegrał zarazem. Chwiał się na przednim siedzeniu, zamknął oczy, był krańcowo wyczerpany. Pragnął zasnąć... musiał zasnąć. Nastąpiła przerażająca cisza.

- Nie wygrałeś dzisiaj. Sabat. - Rozległ się znowu drżący z wściekłości głos Ouentina. Był jednak słaby, po chwili przeszedł w niezrozumiały pomruk.

Sabat poczuł, że w końcu został sam. Raz jeszcze odparł atak wroga, zepchnął go z powrotem w ciemność. Spojrzał przez szybę, mgła opadła. Srebrne światło księży-

120

ca oświetlało krzaki, letni ciepły wiatr wdzierał się do samochodu.

Walkę toczył w pozycji siedzącej. Wysiłek był tak wielki, że musiał uchwycić się kierownicy. Ciało miał obolałe. Czuł odrętwienie mózgu, jak zawsze, gdy wykorzystywał całą psychiczną energię do walki ze złym duchem.

Silnik nie pracował. Sabat próbował go uruchomić, ale siły wystarczyło mu zaledwie na jedno przekręcenie kluczyka. Podwójna rola egzorcysty i egzorcyzmowanego wyczerpała go całkowicie.

Gdy znowu nachylił się ku stacyjce, poczuł, że wpada w czarną otchłań, w której nie było już jednak złego ducha. Pustka zapraszająca, by zapaść się w niej i zasnąć...

Cisza ogarniała Mirandę. Niczego nie dostrzegała na drodze prowadzącej z Warwickshire. Była otępiała do tego stopnia, że gdy potężny mężczyzna, siedzący za kierownicą, wziął ostry zakręt, rzuciło ją na drzwi. Silne uderzenie w głowę nie wywołało żadnej reakcji.

Lęk, świadomość zagrożenia, docierały do niej jak do chorego w stanie letargu. Pogodziła się z losem, czując, że nie ma szans na ucieczkę.

Samochód zwolnił, gruby żwir chrzęścił pod oponami. Jechali krętą aleją pomiędzy rododendronami. Po chwili zatrzymali się.

Royston wyłączył silnik, odwrócił głowę do Mirandy.

- Łatwo poszło - warknął, mrużąc oczy niczym jastrzęb, który jest już pewny, że ofiara mu nie umknie. - I zdążyliśmy, mimo wysiłków Sabata.

Zaśmiał się szyderczo i wyszedł, aby otworzyć Miran-dzie drzwi. Poruszyła się jak robot w ludzkiej skórze. Czuła jedynie przerażenie ukryte gdzieś głęboko na dnie

121

duszy. Mężczyzna z całej siły ścisnął jej bezwładne ramię. Potykała się co krok, kolce głogu raniły jej stopy, gałęzie smagały

twarz, jak gdyby również siły natury sprzysięgły się przeciw niej. Szli wzdłuż drewnianego budynku, częściowo oświetlonego blaskiem księżyca. Dom wyglądał, jak pogrążony w zadumie, ciemne okna, jak szeroko otwarte oczy, przyglądały się Mirandzie badawczo. Ścieżka prowadziła w dół, wiła się, zawracała. Royston na chwilę puścił Mirandę, potknęła się. Podtrzymał ją w ostatniej chwili przed upadkiem.

Ujrzała przed sobą czarną dziurę. Porywacz trzymał ją mocno, nie pozwalając, by spadła z prowadzących w dół schodów. Royston szedł pierwszy, ostrożnie wybierając drogę. Ciągnął ją za sobą, przyciskając mocno, jakby jednocześnie pożądał jej i nienawidził. Czuła, że wbija paznokcie w jej ciało nie tylko z obawy, by się nie przewróciła, lecz także, aby zadać jej ból. Szli wąskim korytarzem, którego kamienne ściany ociekały wodą. Strop był w wielu miejscach wygięty, wyglądał, jakby za chwilę miał się zawalić. Kapiąca z góry woda tworzyła na nierównej podłodze kałuże, Miranda rozchlapывwała je co chwila. Oddychała nierówno. Przejmujące zimno sprawiło że ciało jej pokryło się gęsią skórka. A jednak nie czuła nic poza przejmującym strachem.

Gdzieś w końcu korytarza pojawiła się smuga światła, żółty blask, jaśniejszy z każdym krokiem, odbijał się w kroplach wody na ścianach. Po chwili weszli do ogromnej podziemnej sali. Ściany tworzyły grubo ciosane bloki kamienne. Sufit podtrzymywany kamiennymi filarami gdzieś tam był dodatkowo podparty drewnianymi stęplami. Rząd płonących czarnych świec wypełniał pomieszczenie gęstym dymem, który przesączał się do korytarza.

122

Kiedy przybysze otworzyli drzwi, głowy obecnych zwróciły się w ich kierunku. Utkwili wzrok w dziewczynie, przyglądali się jej ze zwierzęcą pożądliwością, jaka bila z oczu Roystona. Nawet w tym przerażającym transie Miranda odczuwała ich wrogość, płynące od nich fale zła. Drżące w niej dotąd obawy rozpały się jasnym płomieniem.

Szeroko otwartymi oczami objęła całą scenę: tuzin nagich kobiet i mężczyzn, podnieceni młodzieńcy, starcy o pomarszczonych ciałach. I jedni, i drudzy przerażali ją. Okazywali poczucie winy, gdyż ich przywódca, wszedłszy bez ostrzeżenia, przylapał ich na perwersyjnej orgii. Lecz gdy wlepili oczy w Mirandę, wstyd zniknął. Ustąpił pragnieniu, by jej nagie ciało stało się przedmiotem ich lubieżnych zabaw.

Szok wyrwał Mirandę z odrętwienia. Zaczynała rozumieć. Ołtarz przykryty czarną materią, białe kości spoczywające pomiędzy dwiema świecami, jakby ktoś próbował połączyć je, by... O Boże, oni poskładali stary szkielet, przywrócili mu ludzki kształt... dla swoich straszliwych celów wskrzesili Williama Gardinera!

Puste oczodoły zdawały się wpatrywać tylko w nią. Szczęki rozwarły się w groźnym, złowieszczym uśmiechu. To niemożliwe... przecież ten stuletni szkielet był martwy, niezależnie od tego, co Royston chciał w nim widzieć. Zadrzała na wspomnienie tego, co przydarzyło się Sheili Dowson i co zrobili z ciałem Sylwii Adams. To samo chcieli uczynić z nią, zmasakrować jej ciało teraz i zbeszcześcić po śmierci. W głębi mózgu zrodził się krzyk, narastał i w końcu pełen przerażenia wyrwał się z jej ust. Royston stał naprzeciw niej w czarnofioletowych szatach z wysokim kapturem. Na stroju miał wyhaftowane od-

123

wrócone krzyże. Gdyby nie groza sytuacji, Miranda wybuchnęłaby śmiechem, tak bardzo przypominał jej biskupa; wszyscy ludzie kościoła wyglądają komicznie w swoich liturgicznych szatach. Nie była jednak w stanie śmiać się, ani krzyczeć. Utkwiła wzrok w oczach Roysto-na i w ich czarnym blasku zobaczyła wieczną ciemność.

Wymiana spojrzeń zadawała się trwać wieczność. Royston wyglądał inaczej niż zwykle. Miranda wiedziała, że potrafił zmieniać oblicze zgodnie ze swoją wolą. Umiał sprawić, by widziano go takim, jaki chciał się okazać. Przedtem był Sabatem i udawał go lepiej, niż sam Sabat mógłby to uczynić. Teraz przypominał starca, obarczonego doświadczeniem wielu lat, z siwymi włosami i pełną zmarszczek twarzą. Nieziemnie były tylko dwa złamane, pożółkłe zęby, co sprawiało, że kiedy mówił, jękał się i seplenił. Mirandzie trudno było go zrozumieć. Patrzyła na jego wspaniałe lecz mocno już zniszczone szaty i w tym momencie zdała sobie sprawę, że stoi przed nim naga. Ubranie jej zniknęło w szatański sposób.

Chciała uciekać, wyrwać się z tego okropnego miejsca, lecz Royston unieruchamiał ją, jakby pod wpływem paraliżującej trucizny. Nie mogła nawet poruszać oczami. Słowa, które padały, uderzały w nią z siłą szalejącego sztormu.

- Patrz na mnie, gdyż ja, William Gardiner zmartwychwstanę i będę żyć z twoją pomocą.

Jej przerażenie sięgnęło szczytu. Człowiek przed nią był znowu Roystonem, straszliwszym jeszcze, niż tamtej nocy podczas Czarnej Mszy, gdy zabito dziewczynę, a z Horacego uczyniono bełkoczącego idiotę. Nie czuła już jego hipnotycznego wpływu. Nie mogła wprawdzie poruszać się, lecz widziała i słyszała wszystko. Była tu,

124

gdyż chciano ją ukarać za zмовę z Sabatem. Kto raz wkroczył na ścieżkę Lewej Ręki, nie mógł z niej zawrócić.

Miała pełną świadomość tego, co z nią robią. Gdy położyli ją na czarnym kamiennym ołtarzu, poczuła coś chłodnego na ramieniu... Wiedziała, że leży obok tego okropnego szkieletu i że nie może się odsunąć. Żołądek podszedł jej do gardła, chciała z wymiotować. Ale nawet własne ciało odmawiało jej posłuszeństwa, choć wszystko w niej krzyczało w niemym proteście. Krzyk ten jednak nie mógł zagłuszyć Roystona, który z wzniesionymi rękami przemawiał do swoich uczniów.

- Bracia, tej nocy posiadliśmy moc. aby przywołać z powrotem tego, który zwał się William Gardiner, by tchnąć życie w te kości, które od tylu lat spoczywały w ziemi. Nikt dotychczas nie był władny, nikt nie ośmielił się tego uczynić, aż do dzisiejszej nocy. - Jego głos stał się historyczny.

Szmer przeszedł wśród zgromadzonych. Spoglądali na mówcę z szacunkiem i lękiem. Starali się oczyścić umysły z wszelkich uczuć niechęci i odrazy w obawie, że ten straszny człowiek przejrzy ich. Bez wątplenia dysponował prawdziwie magiczną mocą.

- Bracia, mamy kości, ludzkie kości - głos Roysto-na przeszedł w szept, odbijający się echem w zamkniętej przestrzeni. -

Czego potrzebujemy, aby na nowo tchnąć w nie życie?

- Oddechu - wspólna odpowiedź zabrzmiała jak syk. Wydawało się, że płomienie świec zamigotały, jakby poruszone nagłym podmuchem.

- Tak, oddechu - krzyknął Royston, patrząc na skulone sylwetki wyznawców. Kilku z nich pochyliło się,

125

ukrywając twarze. - Oddechu pięknej kobiety, zaślubin, które dadzą mu życie i radość. ^

Miranda poczuła, że coś ją unosi z taką łatwością, jakby nagle straciła ciężar. Jedna ze świec znowu zamigotała i w jej świetle czaszka zdawała się diabelsko uśmiechać. Boże, nie! Nie to! Ktoś powoli opuszczał jej nagie ciało wprost na te nieszczęsne szczątki, wykopane z miejsca ich wiecznego spoczynku. Nogi szkieletu znalazły się między jej nogami, a jego kość łonowa boleśnie uciskała jej własną. Ohydne białe zebra gniotły piersi dziewczyny, a jej usta złączyły się z czarną jamą czaszki w bezbożnym pocałunku.

- William Gardiner został poślubiony - krzyk Roy-stona był histeryczny - ta kobieta, która daje mu życie, dostąpiła zaszczytu poślubienia go.

Miranda modliła się o śmierć, o nagły atak serca, o pomieszanie zmysłów, o przeistoczenie tej przerażającej rzeczywistości w dziką seksualną fantazję. Nic się jednak nie stało. Nie mogła się nawet odsunąć. Czula jak jej język wchodzi w jamę, która niegdyś była ustami Gardinera, porusza się, symuluje akt płciowy. Poczula ohydny smak wilgotnej ziemi i smród rozkładającego się ciała. Nie mogła nawet zwymiotować. Świece na ołtarzu wciąż płonęły i zdawało się, że szkielet poruszył się pod jej ciałem, jakby kości wbijały się w nią opanowane straszliwą żądzą.

- Ma już oddech - zawył Royston - czego jeszcze będzie potrzebował, bracia?

- Ciało - odpowiedzieli jednogłośnie zebrani.

- Ma już ciało, przyciśnięte do jego świętych kości. Co jeszcze, bracia? Ciało i oddech już są, lecz jego nowe żyły muszą zostać wypełnione tym, co da mu życie i przywróci go naszemu światu.

126

- Krew! - krzyknęli zgodnym chórem. - Daj mu krew, aby mógł powrócić do świata życia. Echo powtórzyło:

- Krew... krew... krew.

Świece ustawione wzdłuż ścian krypty, przygasły nagle, spod ścian wypelzły długie cienie, w ciszy słychać było trzask dopalających się knotów.

Miranda poczuła, że Royston zbliża się do niej, wiedziała, co zamierza zrobić. Chłodne stalowe ostrze noża dotknęło jej nadgarstka. Nacięcie nie było wielkie, lecz krew poczęła spływać natychmiast. Jeszcze drugi przegub i ręce jej zostały umieszczone na kościach dłoni Gardinera.

Ktoś pociągnął ją za kasztanowe włosy i odchylił głowę do tyłu. Zesztywniała. Poczula ostry, przeszywający ból, kiedy ostrze głęboko wbiło się w jej szyję. Głowa opadła, jakby składając umarłemu pocałunek życia. Szeroko otwarte oczy patrzyły na nagie ciało. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie szmerem spadających kropli krwi. Biały szkielet pokrył się ciemnym szkarlatem. I wciąż - o Boże - wciąż jej język wsuwał się w te ohydne usta!

Było coraz ciemniej, tylko na ołtarzu płonęła świeca. Mirandzie zdawało się, że otaczające ją czarne cienie zabarwiły się na czerwono. Ruchy jej języka poczęły słabnąć z każdą sekundą. Nie czuła już bólu, mózg stracił kontrolę nad ciałem.

Miała wrażenie, że nie żyje już od paru minut. Zbliżał się koniec, krew spływała coraz węższą strużką. Bezwładnie opadła na ukamunowany szkielet. Ciało astralne Mi-randy unosiło się metr ponad ołtarzem, widząc jak Royston odrzuca w tył jej głowę i nie zwracając na nic uwagi

127

wpatruje się w wypełnione krwią oczodoły Williama Gardinera, jakby oczekiwał powrotu życia.

- Czy on żyje? - Niespokojne głosy, drżące szepty dochodziły spoza rzucanego przez ostatnią świecę kręgu światła.

Większość zgromadzonych marzyła skrycie, by tak się nie stało.

Royston sapał ciężko. Astralne ciało Mirandy ujrzano, że zmienił się ponownie. Twarz stała się zniszczona, przypominając kształtem tamtą potworną czaszkę. Usta były wąskie jak te, w które kazano jej wsuwać język w cuchnącym pocałunku.

- Życie jest tutaj - ujął pozbawioną ciała rękę, jakby badał puls - lecz nasz święty dobroczyńca nie odrodzi się w tak prosty sposób. Przyjął naszą ofiarę, lecz pożąda innych!

Westchnienie lęku wypełniło kryptę. Niektórzy pamiętali, w jaki sposób podczas poprzednich obrzędów została zgładzona Sheila Dowson. Teraz ten sam los mógł spotkać każdego z nich. Każdy mógł zostać wezwany przez tego straszliwego, wysokiego kapłana ciemności. A był to głos, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Życie za życie.

- Więcej krwi - Royston zanurzył palce w gęstej lepkiej cieczy, pokrywającej ołtarz i skropił nią tych, którzy chowali się w panicznym lęku. Kiedy ciepłe krople spadały na głowy zebranych, nikt nie mógł się powstrzymać od krzyku.

- Zatem - głos Roystona osiągnął najwyższe tony - rozkazuję teraz, by ofiara, której żąda umarły, stanęła obok mnie. Niech będzie to człowiek, którego krew jest pełna zła, niech krew ta ożywi Williama Gardinera i sprawi, by stał się naszym przywódcą. Przerazenie zebranych wzrosło. Wiedzieli, że nie były

128

to puste słowa. Prowadzący obrzęd wzbudził w nich lęk nie mniejszy niż szkielet, który wykopali z cmentarza św. Adriana. Nie było jednak ucieczki, nie było gdzie się u-kryć. Kapłan szatana mógł zawsze odnaleźć tchórze i zemścić się straszliwie. Czyż na ich oczach nie ukarał Mi-randy za niewierność?

- On nadchodzi - głos Roystona przeszył powietrze jak wirująca strzała i sprawił, że nagie istoty stały się roztrzęsionymi ciałami. - To będzie najwyższa ofiara. Taka, której nie odrzuci nawet nasz wielki Mistrz. Wysłucha naszych błagań i przywróci nam tego, który tak długo był dla nas stracony. Bracia, kiedy nadejdzie ta chwila, wszyscy będziemy pić krew naszego wroga noszącego imię Sabat!

Ostatnia czarna świeca wystrzeliła jasnym płomieniem i zgasła. Krypta pograżyła się w całkowitej ciemności.

Rozdział IX

Było już jasno, kiedy Sabat obudził się, przeciągnął powoli i wyprostował zdrętwiałe nogi. Mimo niewygody czuł się odświeżony. Nagle wspomnienie nocnych godzin powróciło doń z całą mocą. Jęknął, kiedy przypomniał sobie te przerażające chwile.

Wydawało się, że zdołał odeprzeć atak. obezwładnić Quentina tak skutecznie, że dusza brata nie powinna go już więcej

niepokoić. Lecz w ostatecznym rachunku ciemne moce zwyciężyły, gdyż zdołały przerwać jego poszukiwania. Był pewien, że Miranda już nie żyła.

Na moment jego oczy zasłzyły mgłą. Poczł słabość, zaraz jednak zastąpiła ją myśl o zemście. Rysy jego stężyły, osłabione ciało znów wypełniła siła. Sabat przekreślił kluczyk w stacyjce, silnik zawarczał i daimier ruszył miękko. Strzałka szybkościomierza szybko przesuwiała się w prawo, osiagając po chwili sto dziesięć kilometrów na godzinę. Sabat nie musiał już się spieszyć, lecz mimo to prowadził jak opętany. Opony piszczały, gdy brawurowo ścinał zakręty. Obiecywał sobie, że człowiek zwany Roystonem zapłaci mu za wszystko nie tylko swym życiem, lecz także duszą. Sabat wiedział, że nie wolno mu popełnić tego samego błędu, który omal nie pozbawił go życia w starciu z Quentinem na leśnej polanie. Było mu obojętne, czy w tej straszliwej, tak upragnionej zemście pomoże mu Bóg czy Szatan.

Nagle zobaczył pędzącego wprost na samochód moto-

130
cyklistę. Ubrany w jeansy chłopak, wjechał w lewy zakręt zbyt szybko i znalazł się dokładnie na wprost maski daimiera. W ułamku sekundy Sabat dostrzegł całą grozę sytuacji. Reakcja była błyskawiczna. Gwałtownie skręcił kierownicą i wyleciał na trawiaste pobocze, cudem unikając czołowego zderzenia.

Teraz widział wszystko powoli, każdy szczegół był wyraźny, jakby ktoś z rozmysłem chciał mu wbić w pamięć tę scenę. Motocyklista przeleciał obok daimiera, wykonując wręcz kaskaderskie sztuczki, aby utrzymać się na maszynie stojącej dęba, jak dziki bawół podczas rodeo. Sabat w bocznym lusterku widział, jak pozbawiony kierowcy motocykl uderza o ziemię, przecina drogę i wpada do przeciwnego rowu. Przez przednią szybę - natomiast - dojrzał, jak wyrzucony w powietrze chłopak runął gwałtownie na szosę. Spadł głową w dół, z rozwianymi długimi włosami blond, szeroko otwartymi ustami w ostatnim krzyku przerażenia. W tej potwornej chwili spojrzenia dwóch mężczyzn skrzyżowały się. Jasne, niebieskie oczy młodzieńca pełne były strachu i nienawiści. Zdawały się krzyczyć: „Zabiłeś mnie, ty gnoju. Morderca!”

Sabatowi zdawało się, że słyszy uderzenie ciała o asfalt. Głuchy potężny huk wstrząsnął samochodem. To wszystko było jak w zwolnionym filmie, przypominało replay z zawodów gimnastycznych, pokazujący jakieś szczególnie trudne salto głową w dół... Z tą różnicą, że tym razem akrobata nie miał głowy! Potrzaskane kości i zmiażdżone ciało tworzyły bezkształtną masę, szkarłatną od krwi, z rozlaną szarą galareta mózgu.

Zdawało się, że minęła wieczność, choć upłynęło zaledwie parę sekund. Serce Sabata biło jak oszalałe. Powoli, metodami wyczerpanymi jeszcze podczas służby w SAS,

131
zdołał je uspokoić. Otworzył drzwi, wysiadł i spojrzał na krwawe resztki, na to, co jeszcze niedawno było ludzką istotą. Poszarpane ubranie, otwarty brzuch, z którego wypływały wnętrzności. Całe metry poskręcanych ludzkich flaków.

Rozejrzał się po szosie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Prawdopodobnie nieszczęsną ofiarą nagłego zdarzenia był jakiś pracownik farmy, który spieszył się, by wydoić krowy. Sabat nie czuł ani smutku, ani obrzydzenia. Wierząc w nieuchronność losu, przyjmował rzeczy takimi, jakimi były. Człowiek w poprzedniej sekundzie jest jeszcze żywy, w następnej nagle ginie. To hazard, w którym codziennie miliony ludzi wygrywają lub tracą.

Odwrócił się i wsiał do samochodu. Nie miał tu już nic do roboty. Gdyby tamten żył jeszcze, ulżyłby mu w cierpieniu z bezwzględnością, jak weterynarz dobijający umierające zwierzę. Zrobił to już kiedyś, gdy znalazł młodą dziewczynę w roztrzaskanym "Mini". Przypomniał sobie lufę swego pistoletu przyłożoną do jej sukni i głuchy wystrzał. Uważał, że należy skracać cierpienie, przynosząc szybką śmierć. Bóg daje życie i Bóg je odbiera, a człowiek jest wszak częścią Boga. Sabat uważał, iż ten pogląd u-sprawiedliwia jego decyzję.

Ruszył w dalszą drogę. Daimier nabierał szybkości. Starł się nadrobić czas, który stracił przez wypadek. Wyjaśnienia na policji zabrałyby zbyt wiele godzin. Miał nadzieję, że jakiś kierowca weźmie na siebie ten obowiązek. Po tych rozważaniach Sabat natychmiast wymazał z pamięci całą sprawę. O ósmej rano ujrzał przed sobą cel drogi, niewielką wioskę położoną w dolinie rzeki. Ponad dachy jej domów wystrzelała wysoka wieża kościoła. Wzgórze, na którym się zatrzymał, było dość strome,

wi-

132
dział panoramę całej okolicy, łąki, na których pasły się owce i kozy. Wspaniały spokój - pomyślał - zakłócany tylko czasem przez Roystona i jego uczniów.

Chciał się odprężyć, lecz nie mógł. Czuł, że każdy nerw jego ciała jest napięty, w oczekiwaniu czegoś, co ma się zdarzyć. Być może była to tylko reakcja jego organizmu na myśl o losie Mirandy. Nie miał wątpliwości, że do tej pory zdać jej wiele cierpień i pozbawić życia.

Na uśpionych jeszcze ulicach wioski z rzadka pojawiali się pierwsi przechodnie. Podstarzała kobieta zatrzymała się na stopniach sklepu i przyglądała się daimierowi, próbując zapamiętać kierowcę. Sabat pomyślał, że nie często widuje się tutaj przyjezdnych.

Zaparkował koło kościoła, naprzeciw czarno-białego budynku plebanii, osłoniętego od ulicy wysokim żywopłotem. Zobaczył, że drzwi wejściowe są otwarte: samochód stał dokładnie na wprost nich. "Typowe mieszkanie duchownego", uśmiechnął się złośliwie, „ogrodnik opłacany ze składek wiernych, fasada zakrywająca hipokryzję”. Wszedł po szerokich schodach i zadzwonił do drzwi. U-słyszał dźwięk dzwonka odbijający się echem gdzieś w głębi plebanii.

Minęło pięć minut, zanim dobiegł go szmer zbliżających się kroków, miękkich - bez wątplenia kobiecych. Wyobraził sobie rumianą starą pannę lub wdowę w fartuchu, która wprowadzi go do pokoju, urządzonego w wiktoriańskim stylu. Przyjdzie mu odczekać piętnaście minut, zgodnie z praktykowanym przez duchownych zwyczajem.

- Dzień dobry, czym mogę służyć?

Sabat przez kilka sekund nie chciał uwierzyć, że dziewczyna, która otworzyła drzwi, była gospodynią pastora.

133

Niska, nie miała więcej niż trzydzieści lat. Jej gładka skóra była nieco ciemniejsza niż kolor zwykłej opalenizny. Szerokie piwne oczy spoglądały spod fryzury afro, a rysy twarzy miała niewątpliwie piękne. Ubrana była w długą do kostek, ręcznie szytą sukienkę w kolorowe wzory.

- Tak... - Sabat przezwyciężył zaskoczenie, to bez wątplenia Indianka. - Chciałbym widzieć się z wielebnym Spode.

- Może pan wejdzie - uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy lśniaco-białych zębów - obawiam się, że pastor jeszcze nie wrócił, ale to nie powinno potrwać długo.

- Dziękuję - Sabat wszedł do przedpokoju, czując silny zapach lawendy. - Mam nadzieję, że pastor niedługo wróci.

- Na pewno.

Wprowadziła go do salonu, nie pasującego do jego wyobrażeń o przeciętnej plebani!

- Czy napije się pan kawy?

- Chętnie - uśmiechnął się Sabat, choć z przyjemnością zgodziłby się zjeść porządne angielskie śniadanie, gdyby mu je zaproponowano. Nie miał nic w ustach prawie dwadzieścia cztery godziny. Ale jedzenie mogło poczekać.

Dziewczyna wróciła po kilku minutach, niosąc małą tackę, na której stała filiżanka cudownie pachnącej kawy. dzbanuszek mleka i cukiernica.

- Przepraszam, że musiał pan czekać, panie...?

- Sabat.

- Są... bat - powtórzyła wolno, jak gdyby smakując każdą sylabę. - Powiem wielebnemu Spode, gdy wróci, że pan tu jest.

Dziewczyna gwałtownie odwróciła się i wyszła. Sabat

134

zdążył jeszcze spojrzeć na jej kształtne nogi i już jej nie było. Słyszał jeszcze, jak schodzi po schodach w kierunku tylnego wyjścia tego dużego domu.

Powoli sączył kawę. Nie była to tania mieszanka, choć trudno mu było określić, skąd pochodzi.

Spojrzał na zegarek - ósma trzydzieści. Wydawało mu się, że siedzi tu już całe godziny. Nagle poczuł się zmęczony. Zaczął głośno ziewać, walcząc z nadchodzącym snem. Powieki same opadały i tylko z największym wysiłkiem udało mu się nie zamknąć oczu. Do diabła, Spode zabierał mu czas. Dziewczyna powiedziała, że udzielał komunii, na pewno kościół był wypełniony ludźmi. Sabat przypuszczał, że w takiej małej wiosce jak ta, większość mieszkańców chodzi do kościoła tak, jak czynili to ich ojcowie i dziadkowie. Na nich właśnie opiera się dzisiejszy kościół. Nowe pokolenie to generacja wolnomyślicieli, którzy sami decydują, czy chodzić do kościoła, czy nie. I najczęściej nie chodzą.

Znowu spojrzął na zegarek, z trudem przypominając sobie, na której ręce go nosi. Ósma trzydzieści - musiał stanąć.

Potrząsnął nim i podniósł do ucha. Pewnie stanął i znów zaczął chodzić. W tym momencie usłyszał dwa uderzenia kościelnego dzwonu - pół do dziewiątej.

Poczuł się nieswojo. Próbował wstać, lecz mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa, nie mógł nawet podnieść ręki. W wysuszonych ustach czuł gorzki posmak, język miał jak z ołowiu.

Chryste, co się z nim działo? Przecież nigdy nie czuł się bardziej wypoczęty niż przed chwilą, gdy wjeżdżał do wioski. To nie było zmęczenie, lecz coś w rodzaju tropikalnej śpiączki, z której człowiek nie budzi się już nigdy. Chciał na chwilę zamknąć oczy i zdrzemnąć się przez kil-

135

ka sekund, może to go postawi na nogi. Nauczył się tej metody służąc w SAS.

Nagle usłyszał kroki w korytarzu. Tym razem nie był to chód Indianki, lecz jakiegoś ciężkiego mężczyzny. Usłyszał ruch klamki i poczuł powiew powietrza. Starał się otworzyć oczy, udało mu się to na tyle, że zobaczył wysokiego dobrze zbudowanego mężczyznę, stojącego w drzwiach. Jego długi czarny habit powiewał w przeciągu. To musiał być wielebny Spode, stwierdził Sabat i mimo wysiłków oczy zamknęły mu się znowu. Chciał coś powiedzieć, ale z ust wydobyło się tylko kolejne ziewnięcie.

- Ach, pan Sabat - odezwał się mężczyzna silnie brzmącym głosem - zmęczony po podróży, jak widzę.

Sabat wzdygnął się. Coś mu się jakby przypomniało, rozpoznawał coś, nie wiedząc jednak dokładnie co. Wewnętrzny system ostrzegawczy zadziałał nagle z pełną mocą, zmuszając go do otwarcia oczu. Ten głos... tak znajomy...

Otworzył oczy niemal nadludzkim wysiłkiem. Gdy opadła z nich dziwna podobna do zaćmy zasłona, Sabat niemal jęknął z przerażenia.

Zobaczył i zrozumiał. Miał przed sobą wielką postać duchownego o wysokim czole i łysiejącej czaszce. Szczęki układały się w chytry uśmiech, wielki haczykowaty nos przypominał dziób drapieżnego ptaka.

Nie mogło być żadnych wątpliwości, kim był ten mężczyzna!

- Proszę pozwolić mi, że się przedstawię - przybyły zaśmiał się gardłowo - wielebny Spode... Royston Spode.

Słowa te uderzyły Sabata jak rewolwerowe kule. Wcis-

136

nał się w krzesło, czując silne ukłucie w żołądku. "Ty pierdolony idioto, wpakowałeś się prosto do jaskini lwa, nie obejrzawszy sobie nawet wcześniej tego miejsca. Znalazłeś Roystona i teraz on ma cię w ręku. Ta kawa, oczywiście, był w niej jakiś paraliżujący środek..."

- Rozumiem, że chciałeś się ze mną zobaczyć od pewnego czasu, Sabat - powiedział Royston dobitnie, kołyszając się w przód i w tył. Stał - z przyzwyczajenia zapewne - w pozycji pastora, z rękami złączonymi na plecach. - Czekałem na ciebie, wiedziałem, że tu dotrzesz. Dobrze przygotowałem się na twoje przybycie.

- Arcybiskup wie, że jestem tutaj. - Sabat poczuł, że mówienie przychodzi mu łatwiej, niż poruszanie się. - Ktoś zacznie mnie tutaj szukać.

- Niech przyjdzie - Spode zaśmiał się znowu, rozkładając ręce. - Tak, pan Sabat był tutaj w środę koło ósmej. Chciał obejrzeć spis starych krypt, które mogłyby ewentualnie służyć za satanistyczne świątynie. Powiedziałem mu o kilku i ruszył na północ do Yorkshire, jeśli mnie pamięć nie myli. Wyjechał i nie widziałem go od tego czasu. Pozbicie się twojego samochodu, nie mówiąc już o twoim ciele, nie stanowi najmniejszego problemu, zapewniam cię.

- Co zrobiłeś z tą dziewczyną? - Sabat zapytał chrapliwym głosem.

- Masz na myśli Mirandę? Piękne ciało, chociaż była zwykłą dziwką.

- Była?

- Chyba nie spodziewasz się, że jeszcze żyje? Ale nie, została po prostu ukarana za zdradę. Kilka tygodni temu wyznaczyłem jej pewną, szczególną rolę.

- Jaką rolę?

137

- Byłeś kiedyś na Haiti, Sabat? - odpowiedział pytaniem, mrużąc oczy. Jego głos zabrzmiał znów ostro.

Sabat próbował skinać głowę, ale nie udało mu się, więc mruknął tylko potakująco.

- Więc znasz dobrze różne odprawiane tam obrzędy. Voodoo jest na Haiti najpotężniejszym rodzajem magii. Tylko niewielu magów zna jego sekret, a i ta ich wiedza zaledwie dotyka tajemnicy. Jest to nieszkodliwe przy codziennych praktykach, ale i taka mała dawka władzy może być niebezpieczna. A ja sięgnąłem głębiej. Może więc pewnego dnia przyjdzie mi zapłacić za wszystkie tajemnice, które poznałem. To samo czeka ciebie, Sabat, gdyż nikt nie może bezkarnie wzywać Władcy Cmentarza. Jednakże w naszym wspólnym interesie jest żyć chwilą obecną, gdyż nadchodząca noc będzie dla ciebie ostatnia... oczywiście w ludzkiej postaci.

Royston Spode zaśmiał się, podsuwając Sabatowi pięść pod nos.

- Na rany Chrystusa, powiedz, co zrobiłeś z Mirandą!

- Bądź cierpliwy - Spode zmrużył swoje okrutne oczy - dojdziemy do tego. Wiesz, że jestem w posiadaniu szkieletu Williama Gardinera, jednego z najpotężniejszych magów wszystkich czasów, większego niż słynny Crowley. Gardiner wolał pozostać nieznan. Człowiek ten posiał zgorszenie w Kościele, więc Kościół postanowił się zemścić, wytaczając odwieczne oskarżenie o herezję. Ale nawet sądy je wyśmiały. A Gardiner śmiał się ostatni, śmiał się głośno i długo.

Swoją moc zabrał ze sobą do grobu, desakralizując poświęconą ziemię cmentarza św. Adriana tak, aby jego następcy przez całe stulecia mogli się tam zbierać. Do cza-

138

su kiedy w mieszałeś się w to ty, wzywając Władcę Cmentarza. Ale ja pokrzyżowałem twoje plany. Przeniosłem święte kości do świątyni Szatana, gdzie uprosiłem moce, którym służę, aby wskrzesiły Williama Gardinera i przeniosły jego siłę i jego duszę do mojego ciała. I one to robią. Żądały krwi, ludzkiej ofiary, więc dałem im Mirandę, ale to nie wystarczyło. Zapragnęły krwi człowieka drugiego po Gardinerze... twojego brata Quentina. Jego krew krąży w twoich żyłach. Tej nocy ofiaruję ją. Tym samym uwolnię duszę Quentina Sabata z jej więzienia.

Sabat czuł się jakby słuchał wariata. Royston nie był jednak obłąkany, był szatańsko sprytny, znał najbardziej mroczne sekrety czarnej magii i umiał je wykorzystywać. Teraz tylko godziny dzieliły go od uzyskania najwyższej potęgi. Ciało i krew Mirandy były tylko częściową zapłatą. Sabat będzie końcowym akcentem w grze, którą Spode prowadził przez całe lata, grze rozpoczętej na Haiti, a mającej się zakończyć w Anglii.

- Widzisz więc - w głosie duchownego dźwięczała nuta triumfu - pomogłeś mi przychodząc tutaj z własnej woli. Zabiorę cię do świątyni, do krypty, w której przebywałeś podczas snu. Będziesz tam całkowicie bezbronny, spotkasz swoje przeznaczenie. Przy okazji może cię zainteresuje, że mała, ale oddana społeczność parafii, którą kieruję od czasu powrotu z Haiti, to także członkowie mojego Zgromadzenia. Nasze nabożeństwa zawsze odprawiane są za zamkniętymi drzwiami. Moi uczniowie lubią... powiedzmy, „czuć swoją wyjątkową pozycję” wobec doczesnego życia. Dzisiejszego wieczoru będziemy się radować, że to z czym walczyliśmy odchodzi. Będzie też komunia. Będziemy pić sprofanowane wino... no niezupełnie wino... czerwony płyn o nieco większej gęstości.

139

Ale chodźmy, zaprowadzę cię do miejsca twojego wiecznego spoczynku...

Sabat nie miał siły opierać się potężnemu chwytowi Roystona, który postawił go na nogi. Chwiał się z łatwością prowadzony przez prześladowcę. Oczy wciąż mu się zamykały. Szli krętą ścieżką prowadzącą wśród krzewów rododendronu, do ciemnych katakumb, w których przed wiekami władcy tych ziem chowali swoich zmarłych.

Sabat, ułożony na kamiennej płycie, nie mógł już dłużej walczyć ze snem. Zaśmiawszy się szyderczo. Spode wrócił do słonecznego świata, gdzie odgrywał rolę świątobliwego człowieka. Był jak pajak w centrum sieci zła, usidlający swoich zwolenników, panujący nad ich duszami. Odprawiał bluźniercze msze w małym wiejskim kościele. Tej nocy on i jego uczniowie wezwą siły ciemności i złożą im ofiarę, aby sięgnąć po potęgę drzemiącą w kościach dawno zmarłego maga.

Niespokojnie drzemiący Sabat usłyszał grzechotanie, jak gdyby szkielet rozprostowywał kości po latach zamknięcia w ciasnej trumnie. Poczuł zapach, który rozpoznawał z obrzydzeniem - woń rozkładającego się ciała, wilgoci... mdły zapach krwi, najwyraźniej niedawno rozlanej!

W ostatnim przebłysku świadomości Sabat uznał swoją porażkę, pogodził się z tym, że po raz pierwszy w życiu był niezdolny do walki. Czuł, że nie obudzi się już ze snu, w którym zaczynał się już pograżać. Zgromadzenie będzie miało kolejną ofiarę. Wyznawcom zła nie zrobi różnicy, czy zabiją go świadomego, czy śpiącego. Chodzi im tylko o jego krew - o krew Quentina!

Rozdział X

Ciało astralne Sabata spoglądało na jego uśpioną fizyczną postać. Nie był to widok zachęcający. Twarz Sabata była trupio biała, klatka piersiowa wznosiła się i opadała w płytkim oddechu. Obok leżał splamiony krwią szkielet Williama Gardinera, zwrócony do śpiącego twarzą, jakby śmiał się zeń, próbując go objąć kościstymi rękami.

I Miranda... Boże, zapłacą za to, co jej zrobili. Jej zwłoki leżały z tyłu, rzucone na bok. Odchylona głowa odstaniała głęboką ranę szyi, całe, nieskazitelne niegdyś ciało, splamione było krwią. Aby znieważać ją do końca mordercy rozgrabili jej ubranie. Sabat zawahał się, zwątpił w celowość opuszczenia fizycznego ciała.

Ono wciąż żyło; wystarczyło, żeby wielebny Spode wrócił i rozkazał je uśmiercić, a Sabat będzie miał odcięty powrót. Ale jeżeli powróci do swego ciała, zbrodniarze zniszczą jego duszę, gdy będzie bezbronny i uwolnią Quentina. Royston Spode wiedział, że pozwalając Sabatowi spać, daje jego ciało astralnemu możliwość ucieczki. Czy krył się za tym jakiś podstęp?

Jako ciało astralne. Sabat nie mógł nikomu fizycznie zaszkodzić. Mógłby zaatakować Roystona tylko wtedy, gdyby ten spotkał się z Sabatem na jakimś pozafizycznym poziomie. W ciągu dnia był zbyt zajęty, by to zrobić. Spode pozwalał więc duszy Sabata czuć się wględnie bez-

piecznie, licząc na to, że z nastaniem nocy połączy się ona z ciałem, w nadziei uniknięcia śmierci.

Nie było sensu zostawać tak dłużej, oczekując śmierci i masakry. Z uczuciem ulgi Sabat przepłynął przez zimny, wilgotny korytarz i wyfrunął na zewnątrz, niczym nietoperz opuszczający swoje schronienie. Z obrzydzeniem dotarł nad plebanie, czując unoszący się zapach zła, którego nie zauważył przedtem, zwiedziony zaufaniem do wiejskiego pastora.

Korytarz i salon były puste, poleciał więc na górę wiedząc, że Royston musi gdzieś tam być. Piętro było duże, z kilkoma pokojami. Zawahał się, czy nie zawrócić, nie chciał tracić czasu na poszukiwania. Ale poszukiwania zajęłyby mu zaledwie kilka sekund, podczas gdy od nocy dzieliły go całe godziny.

Wielebno Roystona Spode zobaczył w trzecim z kolei pokoju. Pod jego rozłożystym ciałem - prawie niewidoczna - leżała dziewczyna. Pierwszą reakcją Sabata było obrzydzenie na widok zwałów tłuszczu, które być może kiedyś były mięśniami. Przypomniało mu się opowiadanie o duchownym, który obrósł w tuszę, wylegując się na czyichś kanapach i pijąc herbatę, na którą ktoś inny zarabiał.

Sabat obniżył lot, aby upewnić się z kim duchowny kopuła! Oczywiście była to Indianka, promieniująca pięknem swej nagości. Z zamkniętymi oczami wiała się, pojękując. Nie ma obawy, by Royston w najbliższym czasie poczuł potrzebę przyobleczenia się w ciało astralne - pomyślał Sabat. Pozostawił ich, współczując dziewczynie, mimo że podała mu zatrutą kawę. Wiedział, że nieposłuszeństwo kosztowałoby ją więcej niż życie.

Wznosił się ku letniemu niebu. Minął kilka jaskółek

142

zazdroszcząc im wolności. Z góry wioska przypominała dziecięce zabawki, coraz mniejsze w miarę, jak nabierał wysokości. Trudno było uwierzyć, że niebezpieczny zły duch opanował tak spokojną okolicę. Daimiera nie było tam, gdzie go zaparkował. Niewiele czasu potrzebowali, by go usunąć. Ślady pobytu Sabata zostały więc zatarte.

W samą porę przybył na pustynną jałową ziemię, miejsce swojego przeznaczenia. Tu stoczona została bitwa między białą a ciemnoskórą rasą. Zmienił swą astralną postać. Był teraz brodatym wojownikiem, spoconym w gorących płomieniach bezlitosnego słońca. Powłócząc nogami, brnął przez złoty pustynny piasek.

Widział miraż oaz, palmy, które - gdy się do nich zbliżał - przemieniały się w kaktusy. Mógłby wcielić się w jakiegoś pustynnego ptaka i dużo szybciej pokonać te piaski, ale taką właśnie drogę musiał przebyć. Był pielgrzymem idącym do świątyni, by ukorzyć się przed bogami i wybłagać spełnienie swojej prośby.

Słońce minęło zenit, gdy dotarł do poboju. Pośród trupów uwijały się przejedzone sępy. Potężnymi dziobami wykluwały umarłym oczy, gulgocząc z zadowolenia. Jutro, gdy je już przetrawiają, powrócą, by zająć się ciałami. Za parę dni zostaną już tylko białe kości i nie sposób będzie pośród zabitych odróżnić wojowników dobra od wyznawców zła.

Sabat włókł się między ciałami. Puste oczodoły zdawały się śledzić jego ruchy, w powietrzu unosił się zapach śmierci i rozkładających się trupów. Poboju rozciągało się poza zasięg wzroku, nieubłagana śmierć skosiła wszystkich. Zauważył przez sobą nagły ruch. Kilkaset metrów przed nim stały jakieś ludzkie sylwetki. Cztery spo-

143

ród nich pochylały się nisko oglądając ciała pomordowanych

Owionął go nagły chłód i mimo upiornego gorąca cały zdrzął Ruszył ku nim z poczuciem winy, które kazało mu unikać ich spojrzeń Nie miał bowiem prawa przebywać tutaj, przekraczać granice tej ziemi bogów, gdy bitwa JUŻ się zakończyła Ale me dobiegła przecież końca odwieczna walka między mocami dobra i zła, bitwa wygrana dzisiaj, jutro może okazać się przegraną i tak to będzie przez wieki

Ujrzał z bliska wpatrujących się wen ludzi Ich spojrzenia były obojętne Trzech mężczyzn i kobieta - w takim przynajmniej kształcie mu się ukazali Odziani byli w płaszcze, kaptury naciągnęli na głowy, mogli być pustynnymi wędrowcami, którzy - tak jak on - natrafili na miejsce rzezi

- Przeszedłeś za późno. Sabat - powiedział najstarszy mężczyzna. Jego akcent nie przypominał mowy żadnego żyjącego na ziemi ludu - Ten - i tak już długi - dzień nieprędko się zakończy Zginęły tu tysiące żołnierzy, ale me ma zwycięzców i pokonanych. I tak będzie zawsze - wieczna walka i wieczne cierpienie.

- Dlatego właśnie przybyłem, Panie Dambalach - rzekł Sabat pokornie. - Pozdrawiam ciebie i twoją panią Aldę Ouedo Gdybym miał białego koguta i kurę, ofiarowałbym ci je, ale wszędzie wokół widzę tylko sępy

- Niech będą one - Dambalach kiwnął ręką w kierunku trójki swoich towarzyszy - Dzisiaj jest środa, mój dzień, dzień Damballacha. Możesz się także zwrócić do Taty Legba, Dawcy Dogodnych Sposobności oraz Mistrza de Carrefour, Władcy Krzyżujących się Dróg. Spójrz, jak przyjmuje hołdy nawet tu w tym kraju śmierci

144

Sabat popatrzył we wskazanym mu kierunku i ujrzał prosty drewniany krzyż ponad dwumetrowej wysokości, na którym wisiał wystrzępiony płaszcz i resztki kapelusza. Władca Krzyżujących się Dróg, był tu rzeczywiście obecny, lecz tego dnia to Dambalach, przywódca bogów Rady przewodził obrzędowi. Sabat miał szczęście. Innego dnia mógłby się natknąć na bogów Rozkładu, a Baron Zakrzywionej Szabli z pewnością nie przebaczyłby mu zdrady. Pierwszej - na cmentarzu, i tej drugiej, gdy wyrwał ciało Maurice Stortona spod władzy Pana Cmentarza.

- Rzykujesz duszą, Sabat - ostrzegł Dambalach - szaleńcem jest ten, kto ośmiela się przybyć na to krwawe pole walki, z którego nie można uciec bez pomocy panującego w danym dniu boga.

- Przybyłem, bo dzisiaj jest środa - Sabat utkwiał wzrok w ziemi i obserwował skorpiona, umykającego pod jakieś martwe ciało. - Nie zrobiłbym tego w innym dniu. Przeszedłem prosić o twoją pomoc.

- Nawet Dambalach jest teraz ostrożny, po tym, jak zdradziłeś.

- Moja zdrada dotyczy wyłącznie Barona Zakrzywionej Szabli. Chyba nie będziesz mną gardził za to, co uczyniłem bogu Rozkładu, twemu wrogowi.

- Nie, lecz w tej odwiecznej wojnie między dobrem a złem, nie mogę ufać zwykłemu najemnikowi. Chodzi ci przecież o własne życie.

- Nie - Sabat wyprostował się dumnie - nie proszę o ratunek. Ale jeśli umrę, dusza mego brata Quentina odzyska wolność i połączy się z siłami bogów Rozkładu. Tylko ratując mi życie, możesz temu zapobiec.

- Jesteś sprytny, Sabat - na pergaminowej twarzy

6 - Cmentarne hieny

145

środkowego boga pojawił się lekki uśmiech - ale jeśli twoja dusza jest także duszą Quentina, skąd mogę mieć pewność, że nie odpłacisz mi tak, jak Baronowi.

- Nie mogę złożyć takiego nierozważnego przyrzeczenia i nie będę próbował tego robić - odparł Sabat - Quentin jest silny. Mogę jednak złożyć inną przysięgę tu, na tej skrwawionej ziemi.

- Szanuję cię, bo jesteś uczciwy. Lecz jaką przysięgę możesz złożyć w zamian za swoje życie? Nie możesz ręczyć za swoją duszę, gdyż nie jest ona w całości twoja i po śmierci może powrócić do ciemności.

- Przysięgam - głos Sabata był donośny i czysty, przekrzykiwał odległy grzmot zbliżającej się burzy, która jeszcze tego dnia miała pogrzebać zabitych pod pustynnym piaskiem. - Przysięgam, że w imieniu Damballacha zabiję tego, który znany jest jako Royston Spode, że zniszczę jego duszę, nim zdoła opuścić ciało. Jeżeli zaś mimo wszystko zdoła mi się wymknąć, podążę za nią do krainy ciemności i schwytam ją jako dziką bestię.

Przez kilka chwil Damballach milczał, spoglądając na Aidę Ouedo i pozostałą dwójkę, jak gdyby szukał u nich rady. Potakująco skinęli głowami. Damballach odwrócił się z powrotem do Sabata.

- Uczyniłeś straszliwy ślub. Będziesz musiał się z niego wywiązać.

- Ślubowałem - Sabat mówił powoli, zniżając głos do szeptu - że zniszczę łańcuch zła, który rozpoczął Wil-liam Gardiner i który teraz trwa i działa w osobie Roystona Spode. Jeżeli przegram, możecie mnie zabrać.

- Nie - syknął Damballach - w takim przypadku nie zabierzemy cię ze sobą, gdyż bogowie Rada nie będą mieli z ciebie pożytku. Z pewnością bogowie Rozkładu

146

pochwyć wtedy twą duszę i władca cieni w jakiś straszny sposób odpłaci ci za wszystkie te razy, kiedy go oszukałeś. Taka jest cena przegranej. Teraz idź, wróć do swego ciała, a my, bogowie Rada, postaramy się zrobić, co w naszej mocy. Lecz nawet my nie możemy obiecać zwycięstwa, gdyż zło panujące w tej naszej świątyni jest tak wielkie, iż możemy nie być w stanie mu się przeciwstawić.

Skloniwszy się, Sabat odszedł. Całe napięcie, jakie w nim narastało, teraz dopiero się ujawniło. Teraz, po zakończonej próbie, pragnął wrócić już do swej uśpionej fizycznej postaci, aby chwilę odpocząć przed tym, co go czekało. Nawet Damballach, przywódca bogów Rada nie posiadał pełnej mocy. Władcy ciemności nie ustąpią bez straszliwej walki. Tym razem przedmiotem sporu był on - Mark Sabat.

Nagle z niepokojem zdał sobie sprawę, że powietrze się ochłodziło, a słońce zmierza już ku zachodowi. Zbyt długo zabawił w tym świecie stojącego czasu, teraz przyspieszył ku ziemi jak polujący jastrząb. Pod postacią nietoperza minął obrośniętą bluszczem plebanię i poleciał w kierunku starego zarośniętego cmentarza.

Poczuł silniejszy niż dotąd zapach śmierci i rozkładającego się ciała, pomieszany z charakterystyczną kwaśną wonią krwi. Opanowało go przerażenie, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem, strach, że na zbyt długo opuścił swoje ciało zostawiając je na łasce Roystona.

Wszedłszy do krypty, ujrzał to, czego obawiał się najbardziej. Jego ciało ułożone było przed czarnym ołtarzem, tak jak przedtem, ale teraz, w świetle dwóch bliźniaczych świec zobaczył krew... jego własna twarz pokryta była gęstą, szkarłatną cieczą tak, że rysy były nie do rozpozna-

147

nią. Mokra i lepka od krwi ubranie przykleiło się do skóry. Royston Spode pokrzyżował jego plany.

I teraz, wraz ze śmiercią, ciało astralne Sabata uwięzione zostało na wieki w pustce, z której nie ma powrotu.

Rozdział XI

Royston Spode po raz ostatni pchnął swoim ciałem i ciężko zwałił się na leżącą pod nim Indiankę. Rozluźnił mięśnie, dając się opanować przyjemnemu zmęczeniu. To było dobre, bardzo, bardzo dobre. Potrzebował tego, by przygotować się do nadchodzącej nocy i ogromnego ryzyka, które musiał podjąć, by osiągnąć najwyższą potęgę.

Leżał tak w objęciach dziewczyny przez około dwadzieścia minut. Alison, dziewczyna, którą odebrał jej mistrzowi w Port de Prince doskonale nadawała się do takich zabaw. W zależności od jego woli potrafiła być uległa bądź agresywna, bez słowa wypełniała każde jego polecenie. Czegóż więcej mógłby pragnąć mężczyzna?

Uklęknął i spojrzał na nią. Jej twarz nie wyrażała niczego, oczy miała zamknięte, gdyż po akcie spełnienia nie wolno jej było patrzeć na ciało mistrza, dopóki on na to nie zezwolił. Jedynym pragnieniem dziewczyny było zaspokoić go, gdyż on był władcą jej ciała i duszy. W razie konieczności umarłaby za niego, przynajmniej tak być powinno. Zastanawiał się... gdy żąda od niej miłości, ona daje mu ją, lecz nawet on nie umiał przeniknąć jej najszybszych myśli. Martwiła go jedna rzecz - wyraz jej twarzy tego ranka, gdy mówiła mu, że w salonie jest Sabat. Wyczytał wtedy z jej wielkich oczu .. coś, coś, czego nie widział u niej nigdy przedtem i co go zaniepokoiło. Owszem, zgodnie z poleceniem dała Sabatowi kawę ze środkiem usypiającym, ale gdy Spode przyjrzał jej się

149

wcześniej, dostrzegł coś dziwnego w sposobie w jaki szła, w jaki niosła filiżankę. Robiła to z jakąś niechęcią, jakby wolała nie serwować gościowi tej zatrutej kawy. Lecz mogło mu się tylko tak wydawać. Royston próbował się w ten sposób pocieszać, lecz od kiedy przywiózł Alison do Anglii, czuł wciąż nieokreślony niepokój. Wiedział bowiem, że na Haiti sprawował nad nią opiekę uczeń Damballacha, największego z bogów Rada. Bóg ten nie był dobry, lecz z pewnością nie był też zły. Jego religia kształtowała dusze Indian od niemowlęcia, czy więc on, Royston Spode, był wystarczająco silny, by oderwać ją od dawnych wierzeń i przekonać do służby bogom Rozkładu?

- Ubierz się.

Na dźwięk tego polecenia dziewczyna wstała i sięgnęła po długą, wielobarwną suknię. Ubranie było w wielu miejscach podarte, gdyż Royston pożądał jej ciała zbyt niecierpliwie, by długo czekać, a ona nigdy przeciw temu nie protestowała.

- Jest później niż sądziłem, kochaliśmy się zbyt długo, ceremonia powinna była się już rozpocząć. Gdy przyjdziemy, zapewne

niektórzy ze zgromadzenia będą już w kościele czekać nadejścia mowy i rozpoczęcia obrzędów.

Przytaknęła ruchem głowy. Royston przyglądał się uważnie jak nakładała suknię. Jej delikatne ciało trzęsło się i palce z trudem zawiązywały szarfę na smukłej talii. Znowu działo się coś, co nie powinno mieć miejsca - dziewczyna, która przeżyła cztery orgazmy pod rząd, nie powinna tak drżeć zaraz potem.

Wychodząc z pokoju przypomniał sobie zdradę Mi-randy. Lecz teraz, w wigilię największego wydarzenia w jego życiu, inne sprawy zaprzątały go i podczas krótkiego

150

spaceru z plebanii do kościoła wątpliwości rozwiąły się. Alison należała do niego, była jego niewolnikiem i nigdy nie będzie inaczej. Mógł jej ufać.

Obawy Andy'ego Drewa rosły z każdą godziną, i gdy w południe dowiedział się, że jego przyjaciel Jon Barth został znaleziony martwy na drodze kilka mil przed wsią, powiedział szefowi małej fabryki ubrań, w której pracował, że jest chory i pojechał do domu. Straszliwy wypadek był z pewnością jakimś znakiem. Wychodząc słyszał, jak niektórzy z jego kolegów szczegółowo komentują zdarzenie. Hieny! Andy pobiegł do toalety, gdzie zwymiotował, aż wreszcie uczucie nudności ustąpiło i żołądek wrócił na właściwe miejsce. Gdy potem przechodził jeszcze koło szefa, ten spojrzął na niego i powiedział:

- Chłopcze, spierdalaj do domu, zanim te twoje smu-ty przejdą na całą załogę.

W wieku dwudziestu dwóch lat Andy odkrył w sobie dziwną rzecz. Stwierdził, że przedstawiciele tej samej co on płci są dlań dużo bardziej atrakcyjni niż kobiety. Musiało to być widoczne, gdyż te pracujące z nim gnoje zaczęły nazywać go "pędzlem". Zaczął chodzić do kościoła, głównie po to, by zadowolić tradycyjnie nastawionych do życia rodziców, ale to tylko pogorszyło sprawę. Ten pastor nie był wcale pastorem. Andy stwierdził to, gdy pewnego niedzielnego poranka Spode poprosił go, aby został po nabożeństwie. Zaszły wówczas w zakrystii pewne wydarzenia, tyleż przyjemne, co bezwstydnego. Spode miał odtąd na niego haczyk, który uniemożliwiał Andy'emu opuszczenie Zgromadzenia. Pastor zresztą nigdy więcej nie zgodził się zadowolić chłopaka.

151

Ostatnia noc była prawdziwym koszmarem. Zabawa z tym starym szkieletem była już dostatecznie oburzająca ale, na Boga, Andy nigdy nie przypuszczał, że będą robić coś takiego, jak z tą dziewczyną. Nie było już jednak powrotu. Tej nocy miał przystąpić do szczególnego rodzaju komunii. Royston Spode obiecał członkom Zgromadzenia, że będzie to szczyt ich oddania, w zamian za kto- re każdy z nich otrzyma moc większą niż w najśmielszych snach. Kurwa! To straszne - wszyscy są współnikami w tym morderstwie. Magia służyła za usprawiedliwienie ich odrażających czynów. Zaszły wprawdzie pewne niewytłumaczalne zjawiska, ale były to z pewnością tylko zręczne sztuczki. Niemniej jednak Andy czuł, że nie ma wyjścia, musiał o wpół do ósmej być w kościele, a następnie udać się do krypty.

- Wyglądasz na chorego - na twarzy jego matki widoczna była troska - lepiej, jeśli zostaniesz dzisiaj w łóżku.

- Nie jestem chory. - Przymusowe pozostanie w domu było ostatnią rzeczą, jakiej Andy sobie życzył. Nie ośmieliłby się odmówić wykonania rozkazu Spode'a. - Zwolnili mnie z pracy i to było dla mnie szokiem.

Było to głupie, wymyślone na poczekaniu kłamstwo. Jak jutro wytłumaczy, dlaczego idzie do pracy? Zresztą nieważne, liczy się tylko dzisiejsza noc.

- Mimo wszystko byłoby lepiej, gdybyś się na chwilę położył - odparła. - Wieczorem jedziemy z ojcem do Stratford, więc sam będziesz się musiał sobą zająć.

Andy odetchnął z ulgą. Nikt nie będzie go pytał, dokąd wychodzi. Poszedł na górę do swojego pokoju i wyciągnął się na łóżku. Cały dygotał ze strachu. Chryste, gdyby tylko był w stanie czymś się zająć. Po półgo-

152

dzinie przyszła mu do głowy myśl, od której cały się spocił.

Wszyscy nienawidzili Spode'a, choć udawali, że oddają mu cześć w tej mokrej, ciemnej i śmierdzącej norze - satanistycznej świątyni. Brakło im jednak odwagi, aby coś zrobić. Oczywiście, brali udział w orgiach, ale - gdy byli już zaspokojeni - reszta nocy napawała ich przerażeniem. Działo się tak dlatego, że wikary przekonał wszystkich, iż posiada nadnaturalną moc. Gdyby nie Royston Spode wszystko to by się już zakończyło.

Andy Drew z rosnącym przerażeniem szedł dalej z swą myślą. Powiedział sobie, że jest to możliwe i nikt poza nim tego nie robi. Chciał pomścić Jona Bortha według zasady „życie za życie”.

Podniósłszy się z łóżka wyszukał w szufladzie swój stary nóż, pamiątkę ze skautowskich czasów. Kciukiem sprawdził jego ostrość - nóż nie stępił się przez te lata.

Będzie musiał zabić Spode'a w kościele! Chryste, to będzie jak u Becketta. Andy grał kiedyś pomniejszą rolę w szkolnej inscenizacji "Morderstwa w katedrze", ale tym razem rzecz miała się wydarzyć naprawdę. Miał ukłęknać, by przyjąć... ludzkie ciało i krew. Boże, to był kanibalizm, żuć kawałek... tego ohydneho mięsa, pić gęstą krew. Teraz Andy do tego nie dopuści. Ukryje nóż w rękawie, a gdy nadejdzie właściwy moment, niezauważalnie zsunie go i uchwyci za rękkojeść. Kiedy Spode podejdzie, aby udzielić mu komunii, Andy wbije nóż głęboko w tłusty brzuch pastora. Wszyscy go poprą. Przeniosą ciało na cmentarz, wrzucą do starej krypty, wejście zamaskują kamieniami tak, by nikt go nigdy nie znalazł. Prosta sprawa.

Andy Drew wiedział, że potrafi sobie poradzić. Albo mu się uda, albo odbierze sobie życie - do tego ostatnie-

153

go brakowało mu odwagi. Uśmiechnął się do siebie, gdy poczuł, że myśl o zabiciu Spode'a spowodowała u niego erekcję. Śmieszne, że rzeczy nie mające nic wspólnego z seksem mogą czasem wywoływać takie reakcje. Może, zadając śmiertelny cios, przeżyje orgazm?

Gdy kościelny zegar wybił wpół do siódmej Andy wyszedł z domu. Rodzice wyszli ponad godzinę temu i nie powinni wrócić wcześniej niż on.

Wszedł do kościoła i stanął z tyłu bocznej nawy. Trzech członków Zgromadzenia, którzy siedzieli już w ławach naprzeciwko głównego wejścia odwróciło się i ujrzało go, nie rozpoznając. Zezłościło go to. Kiedy pastor otrzyma śmiertelny cios nożem Andy'ego, spojrzą na niego inaczej. Kiedy ostrze rozpruje jego brzuch, wszyscy uznają w zabójcy bohatera i przywódcę.

Szkoda, że nigdy nie będzie potrafił powiedzieć o tym rodzicom.

Zajął miejsce w drugiej ławie. Czas, kiedy jego nóż spoczywał jeszcze spokojnie w rękawie dłużył mu się w nieskończoność.

Co chwila sprawdza, czy ma jeszcze broń, obawiając się, że mogłaby wypaść w najważniejszym momencie. Spociał się z emocji.

Za dziesięć siódma wszyscy członkowie Zgromadzenia by' już na swoich miejscach. Andy zastanawiał się, co stałoby się, gdyby wszedł tu jakiś obcy, lecz Spode potrafiłby wybrnąć z takiej sytuacji. Prawdopodobnie wytłumaczyłby, że jest to "specjalny" rodzaj obrzędu w tym czy innym celu i że przybysz nie może w nim uczestniczyć nawet, gdyby chciał, lecz jeśli miałby ochotę, może oczywiście wziąć udział w niedzielnym nabożeństwie porannym...

Wielebny Royston Spode wszedł do kościoła dokładnie w momencie, gdy zegar wybijał siódmą. Zamknął za
154

sobą drzwi na klucz. Andy spojrzął na niego kątem oka. Zdumiał go jego zwierzęcy wygląd, ściągnięte rysy bladej podłużnej twarzy. Poczuł strach, lecz wiedział że musi go zabić i nie ma dla niego ważniejszej rzeczy. Ponownie poczuł podniecenie. To będzie chyba najbardziej ekscytujące wydarzenie w jego życiu.

Spode zbliżył się do ołtarza, zdjął płaszcz, zastąpił go czarną szatą i zmienił stojące na ołtarzu białe świece na czarne. Potem jednym zdecydowanym ruchem odwrócił krzyż długim ramieniem w górę. Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk aprobaty. Andy Drew poczuł znowu, że oblewa się potem. Złapał nóż, właściwy moment zbliżał się. Wszystkie te bluźniercze przygotowania wywoływały w nim obrzydzenie, chciało mu się wymiotować. Kościół był dlań zawsze miejscem wiary i nie sądził, że może przyjąć i takie oblicze. Nawet teraz nie w pełni zdawał sobie sprawę, co właściwie oznacza to wszystko. Czuł się chory biorąc udział w kulcie Antychrysta.

Wibrującym, niskim głosem wielebny Spode rozpoczął melorecytację:

- Będziesz pożądał żony bliźniego swego... Będziesz kradł... będziesz zabijał...

Będziesz zabijał. Ten jeden, jedyny wers Szatańskiego Dekalogu coś dla niego znaczył!

- Oto ciało z jej żywego ciała... oto krew jej... - Spode wznosił ręce nad kielichem i paterą.

- Bierzcie i jedzcie z tego... pijcie...

Zebrani na klęczkach zaczęli zbliżać się do ołtarza. Andy dołączył do nich. Czuł słabość w nogach, obawiał się przez moment, że upadnie na twarz w poniżającym pokłonie. Przez chwilę zdawało mu się, że zemdleje, tak jak podczas swej pierwszej komunii, właśnie tu, w tym

155

kościół. Lecz uczucie to minęło zaraz. Poczuł w dłoni rękojeść noża, "Będziesz zabijał!"

Spode wraz z usługującą mu dziewczyną zaczął udzielać komunii. Szedł od drugiego końca, co ucieszyło Andy'ego, gdyż chciał przyjąć ją jako ostatni. W panującej w kościele ciszy słychać było jedynie odgłosy żucia i przełykania. Czerwone ludzkie mięso i gęsta krew. Andy sądził, że musi to wywołać mdłości, nikt jednak nie zwymiotował.

Spode przesuwiał się powoli wzdłuż klęczących wiernych. Jego smukłe palce brały kawałki mięsa i wsuwały je w szeroko otwarte usta kolejnych ludzi, następnie podawał kielich i każdy upijał łyk krwi. Na ołtarzu stał jeszcze pełny dzban, by w każdej chwili można było uzupełnić zawartość kielicha. Miała to być prawdziwa uczta dla szczerych wyznawców Ścieżki Lewej Ręki.

Andy Drew kątem oka przyglądał się całej ceremonii. Klęcząca obok niego dziewczyna o ciemnych farbowanych włosach wzięła do ust kawałek mięsa, następnie upiła łyk krwi i w tej samej chwili Andy usłyszał, jak głośno przeżuwa. Zdawało się jakby miała ochotę ze wstrętem odepchnąć kielich. Mąż dziewczyny, klęczący z prawej strony, żył z zasiłku dla bezrobotnych. Nieustanne poszukiwanie lepszego życia sprawiło, że teraz znajdował się tutaj.

- Bierzcie i jedzcie... Oto ciało jej... oto krew jej...

Andy poczuł, że znowu kręci mu się w głowie, rozpaczliwie starał się to przezwyciężyć, widząc jak palce Spode'a z kawałkiem mięsa zbliżają się do jego ust. Żołądek podszedł mu do gardła. Zdecydowanym ruchem zamknął usta. Dyszał ciężko. Nagle przypomniał sobie o nożu i ogarnęła go panika. Ostrze zaczęło wysuwać się z

156

rękawa, tak że w ostatniej chwili zdołał chwycić za rękojeść.

- Bierz i jedz! - Zaniepokojony Spode starał się wepchnąć mięso do ust Andy'ego, zmusić go, by przyjął ohydny komunię.

- Jedz!

Andy Drew ciągle trzymał nóż, lecz nie mógł wykonać żadnego ruchu. W końcu przezwyciężył odrętwienie i już wznosił rękę do ciosu, gdy nagle powróciło straszne uczucie słabości, którego doświadczył już wcześniej. Ramię opadło, przed oczami migają czerwone plamy. Zdawało mu się, że postać wikarego wiruje w powietrzu i oddala się od niego.

Ratując się przed upadkiem, chłopak rozpaczliwie rzucił się do przodu i pchnął nożem, lecz ostrze ześliznęło się po korpulentnej piersi Spode'a i trafiło na kość. Wikary stał nieporuszony, jakby nie zauważył ataku. Andy runął na podłogę kościoła, zaczął wymiotować, nudności wstrząsały jego ciałem. Oczy zaszyły mu mgłą, potem przyszła ciemność, przesłaniając wszystko dookoła. Nie u-słyszał już nawet, jak nóż z brzękiem uderzył o marmurowe płyty gdzieś obok niego.

Royston Spode zdawał się być lekko zaskoczony, lecz jego twarz nie wyrażała ani lęku, ani wściekłości. Kopnął leżący na podłodze nóż i odepchnął nieprzytomnego młodzieńca.

- Tej nocy nasz mistrz otrzyma podwójną ofiarę - rzekł suchym głosem. - Rozprawimy się najpierw z tym zdrajcą, by jego niewierna krew nie plugawiła więcej świętej ceremonii.

Tych, którzy nie widzieli jeszcze Roystona w podobnej sytuacji, zdumiała jego siła, tak nie pasująca do tuszy pa-
157

stora. Wywindował bezwładne ciało Andy'ego do pozycji siedzącej i wszyscy ruszyli w kierunku wyjścia. Członkowie zgromadzenia szli za przywódcą pojedynczo w dziwacznej procesji, krętą drogą za kościołem, wiodocą ku wejściu do starej krypty.

Wielebny Royston Spode, zatrzymawszy się na chwilę, spojrzął w niebo. Wielka czerwona kula słońca powoli kryła się już za wysokimi topolami.

- Mamy niewiele czasu - mruknął, nie zwracając się do nikogo - trzeba się spieszyć, gdyż musimy jeszcze wrócić do kościoła i dokończyć komunię z Mistrzem, zanim przystąpimy do świętych obrzędów w naszej świątyni.

Zapaliwszy świece w krypcie, Spode cicho odetchnął z ulgą, widząc że Sabat wciąż leży bez ruchu przed ołtarzem. Jeśli jego ciało astralne jest w pobliżu i przygląda się - to tym lepiej. Zachichotał. Ale ciało astralne jest nieszkodliwe, wróci niebawem i

zostanie odpowiednio potraktowane. Dla Sabata nie ma ucieczki.

Nieprzytomnego Andy'ego ułożono między Sabatem i szkieletem Williama Gardinera. Spode sięgnął na półkę po broń - zakrzywiony nóż z drogocenną rękojeścią, którego ostrze pokryte było brązową rdzą. Była to zaschnięta krew. Głowa Andy'ego kiwała się na boki, oczy chłopaka były zamknięte. Spode zostawił na nim ubranie - czas liczył się przede wszystkim. Wzniósłszy nóż, wypowiedział niskim głosem jakąś magiczną formułę i gwałtownie pchnął. Ostrze weszło głęboko, prawie po rękojeść, tuż poniżej pępka ofiary, tnąc ubranie i ciało z łatwością rzeźniczego topora. Spode nie wyciągnął od razu noża, lecz rozciął nim ciało Andy'ego aż do gardła. Z rozciętej tętnicy szyj-

158

nej trysnęła krew, rozlewając się po nierównej podłodze. Spode jakby tego nie widział. Teraz nóż podążył w dół, zgrzytając o kość ogonową, a następnie na boki, najpierw w lewo potem w prawo. Dopiero wtedy został wyciągnięty i rozsiewając purpurowe krople, powędrował z powrotem na półkę.

Royston Spode cofnął się o krok, aby przyjrzeć się swemu dziełu. W kącikach jego okrutnych ust pojawił się uśmiech zadowolenia. Najdoskonalszy, jaki kiedykolwiek zrobił - odwrócony krzyż wycięty w żywym ludzkim ciele. Być może powinien był najpierw obnażyć ofiarę, aby zgromadzenie mogło w pełni ocenić jego krwawy artystyzm. Słyszał przerywane, ciężkie oddechy przejętych grozą uczniów.

- Wracajmy do kościoła - burknął - wkrótce zapadnie noc, a mamy jeszcze dużo do zrobienia.

Pastor rzucił ostatnie spojrzenie na swoje dzieło. Ze zmasakrowanego ciała obficie spływała krew. Nogi ofiary podkurczyły się w ostatnim proteście, oczy wciąż były zamknięte.

Wzrok oprawcy padł teraz na Sabata, szyderczy uśmiech wykrzywił twarz Roystona, gdy ujrzął, że nieruchome ciało spryskane jest krwią Andy'ego, spływającą strużkami na podłogę. A zatem wstępne przygotowania do złożenia ofiary zostały już poczynione. Powinno to nasycić apetyty ciemnych bogów i sprawić, że przychylnym okiem spojrzą na Spode'a. Może w końcu moc zła, która wciąż ukryta była w tamtych starych kościołach, zostanie przekazana jemu samemu.

Rozdział XII

Ciało astralne Sabata spostrzegło z wyraźną ulgą, że między jego fizyczną formą, a szkieletem Gardinera znajduje się jeszcze ciało młodego chłopca. Przez cały tułów młodzieńca biegła potworna głęboka rana w kształcie bluźnierczego, odwróconego krzyża. Sabat nie czuł już przerażenia. Była to wprawdzie kolejna śmierć, lecz w końcu co za różnica, jeden mniej czy więcej członek Zgromadzenia. Mogło być znacznie gorzej, lecz na szczęście jego własne ciało pozostało nienaruszone. Z prawdziwą ulgą wśliznął się w nie z powrotem, niemalże czując smak ciepłej krwi, która z pewnością nie była jego własną.

Bardzo powoli odzyskiwał świadomość. Spod pół-przymkniętych powiek mógł obserwować otaczającą go scenę. Świece w krypcie płonęły jasnym blaskiem, oświetlając każdy szczegół. Martwe ciało młodzieńca sprawiało wrażenie, jakby w każdej chwili mogło zsunąć się na niego, noga szkieletu leżała zaledwie parę centymetrów od jego własnej. Odetchnął głęboko, czując przenikający wszystko mdlący zapach krwi Andy'ego, odór stęchlizny i... zło! Gdyż nawet teraz ciemne moce działały i zbliżały się, temperatura gwałtownie spadała. Zadrżał, a jego ciało pokryło się gęsią skórą.

Z miłym zaskoczeniem spostrzegł, że jak zawsze po powrocie z astralnej wędrówki, umysł miał świeży i wypoczęty. Próbował napiąć mięśnie nóg i rąk, lecz najwyraźniej działanie paraliżującego środka jeszcze nie ustąpiło.

160

Powrócił poprzedni strach. Kiedykolwiek Royston Spode nie zechciałby tu przyjść, on sam pozostawał zupełnie bezbronny wobec tego, który chciał z niego uczynić ofiarę. Skontaktował się z bogami Rada, zawarł z nimi układ, lecz było wątpliwe, czy zechcą go dotrzymać, okrutni i zmienni jak on sam.

Zastanawiał się czy nie uciec raz jeszcze w swą astralną formę i nie pozostawić pustej powłoki cielesnej, by oprawcy mogli z nią robić, co im się podoba. Zyskałby w ten sposób możliwość prowadzenia wiecznej walki na bez-czasowej pustym, gdzie byłby najemnikiem, który mógłby przyłączyć się do sił Rada lub do bogów Rozkładu. Lecz ucieczka taka była niemożliwa, gdyż teraz, gdy umysł miał tak świeży, nie potrafiłby wejść w trans nieśmiertelności. Zapewne też zło, które wciąż trwało w tym piekielnym podziemiu, nie pozwoliłoby opuścić ciała, odmawiając mu snu.

Nagle przyszła mu do głowy inna myśl; wciąż miał przecież swój rewolwer, mógłby więc zastrzelić Spode'a i być może paru innych, zanim reszta rzuciłaby się na niego. Gdyby tylko mógł wstać, poruszać dłońmi, gdyby zdołał chociaż nacisnąć palcem spust. Jednak była to dla niego jedyna szansa. Musiał czekać i zaufać Damballa-chowi, władcy bogów Rada, którego dniem była środa. Jego moc trwała do północy.

Czas zatrzymał się w miejscu, nawet czarne świece płonęły wciąż tak samo. Było teraz dużo, dużo zimniej. Sabat stęzał w oczekiwaniu jakiegoś dźwięku, który nie nadchodził, odgłosu kroków, które mogły zwiastować mu śmierć lub coś gorszego. Zamiast tego usłyszał słabe zgrzytnięcie, jakby zardzewiałych zawiasów bramy. Dziwne skrzypienie odezwowało się tak blisko!

7 - Cmentarne hienv

161

Na czarnym tle spostrzegł coś białego, poruszającego się w migoczącym blasku świec. O Boże, noga szkieletu wyprostowała się... zgięła... i znowu wyprostowała!

Sabat próbował zamknąć oczy, chcąc oszczędzić sobie widoku bluźnierczego zmartwychwstania. Uświadomił sobie bardziej jeszcze beznadziejność swego położenia. Magia Spode'a, ofiara z ludzkiego ciała i krwi i zło, ciągle żywe w tej krypcie osiągnęły sukces, tworząc na nowo żywą istotę bardziej nieprawdopodobną i przerażającą niż fikcyjny Frankenstein. Mimo wszystko. Sabat nie mógł zmusić się, by nie patrzeć. Był skazany na ten widok, musiał słyszeć dochodzące go straszliwe dźwięki.

Chryste, czymkolwiek to było - oddychało, zebra poruszały się z każdym tchnieniem, wstało i poruszyło się niepewnie na klekoczących stopach. Istota znajdowała się gdzieś za nim, ukryta w cieniu, lecz tak blisko, że czuł na twarzy zimny oddech. Teraz szła w jego kierunku. Myśliwy, któremu tajemna wiedza śmierci pozwoliła złapać swą ofiarę!

Umysł Sabata pracował jasno, starając się przewidzieć, jakiego ataku ma się spodziewać. Czy wroga siła zamrozi jego mózg,

czy serce przestanie mu bić na sam widok nikczemnej istoty, czy po prostu zaciśnie ona swe kościste palce na jego szyi? Jakaś groteskowa postać wynurzyła się nagle z ciemności i przywaliła go całym swym ciężarem. Sabat stracił oddech, wszystko w nim krzychało z przerażenia. Czuł na twarzy dotyk zimnej skóry. Przygniatająca go istota zaczęła zsuwać się z jego ciała, uścisk martwych palców rozluźnił się. Były to zwłoki Andy'ego Drewa, które już drugi raz tej nocy wprawiły go w paniczny lęk. Sabat poczuł ulgę, chciał nawet roześmiać się, lecz głos

162

uwiązał mu w gardle. To właśnie to osuwające się ciało było przyczyną ruchów szkieletu Williama Gardinera. W chwilę później Sabata znów ogarnęło przerażenie, gdyż w zasięgu jego wzroku pojawiła się jakaś nowa postać.

Wpatrywał się w nią, próbując zrozumieć, kim jest, lecz nie mógł znaleźć żadnego wyjaśnienia. Nie był to umarty, nie była to też żadna z ciemnych mocy, niedosiężnych dla ludzkiego poznania. Ta istota, która zjawiła się tutaj za sprawą jakiejś niezemskiej siły, nie była szkieletem. Miała postać żywego człowieka z krwi i kości i wpatrywała się w Sabata z zimnym błyskiem w oku. To było najstraszniejsze z dotychczasowych przeżyć!

Przybyły miał wygląd włóczęgi, podarta odzież ledwie skrywała zniszczone ciało. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak ubrany w przegniły płaszcz szkielet Gardinera z wygniecionym starym kapeluszem nasadzonym na łysą czaszkę. Lecz nie. Spod strzępów materiału wystawało ciało, nie kości, a wysuszona jak pergamin twarz, do połowy ukryta w cieniu, zdawała się Sabatowi dziwnie znajoma.

Człowiek zrobił krok naprzód i teraz jego zmieniające się rysy były bardziej widoczne. Z początku rzeczywiście wyglądał jak William Gardiner ubrany w zbyt ciasną skórę: twarz zła, które nawet teraz nie było pewne własnej tożsamości. Później zdawało się, że spod tej maski próbuje wydobyć coś innego, jakby usiłował w poczerniałym lustrze dostrzec swe własne oblicze, a widział ciągle cudze, bezlitosne i złe - Quentina! Lecz zanim Sabat zdążył to pomyśleć, człowiek zamrugnął ciemnymi oczami, kąćki jego cienkich warg drgnęły, jakby chciał się uśmiechnąć, wprowadzając do tej twarzy coś bardziej pozytywnego, coś, co Sabat znał, gdyż widział już te rysy, ukryte w połowie pod obszernym kapturem. Był to towarzysz jego as-

163

tralnej wędrowki, który przedtem stał jako wysoki, drewniany krzyż, ubrany w strzępy odzieży teraz, w tych samych rzeczach, był tu obok niego, przybrawszy ludzką postać.

- Mistrz de Carrefour! - Sabat wykrzyknął to imię i nagle zołentował się, że może mówić, może też poruszać głową, by lepiej widzieć stojącą przed nim istotę. - Władca Krzyżujących się Dróg!

- W samej rzeczy - odparł głos z niewielkim nosowym akcentem. Z pewnością nie pochodził od kóregokolwiek z mieszkańców współczesnego świata. - Przybywam, wysłany przez Damballacha, władcę bogów Rada.

- Czy Dambalach nie przybędzie? - w głosie Saba-ta zabrzmiała nuta niezadowolenia. Próbuując usiąść, zepchnął na podłogę ciało Andy'ego. Zwłoki upadły z głuchym łoskotem.

- Nie, władca bogów zbyt często jest wzywany przez śmiertelnych. Moja obecność wystarczy. Najpierw muszę przypomnieć ci o twojej przysiędze.

- Nie zapomniałem o niej.

Sabat z łatwością rozprostował kości. Czuł jedynie, że zdrętwiały mu nogi, przywalone ciężarem martwego ciała. Odwróciwszy się stwierdził, że spryskany krwią szkielet wciąż leży na swoim miejscu.

- Ta... rzecz... Gardiner... on się poruszył.

- Może tak, może nie - uśmiechnął się Mistrz de Carrefour. - W tych kościach mieszka zło, lecz nie są one w stanie się w tej chwili poruszać. Twoim zadaniem jest sprawić, by nie poruszyły się nigdy.

- Czy zostałeś przysłany, aby mi pomóc?

- Nie, mam tylko uwolnić cię od paraliżu. Dambalach dotrzymał słowa, lecz nawet bogowie Rada nie mogą

164

zrobić nic więcej, gdyż to miejsce jest terenem działania bogów Rozkładu. Moc zarządzającego tym miejscem jest tym większa, że znajdują się tu kości Williama Gardinera. Miejsce to spłynęło już krwią i zostało naznaczone śmiercią. Nie możemy ingerować w to, co się tu dzieje, tak jak niewiele możemy ci pomóc w twojej walce. Ty, Sabat, jesteś najemnikiem bogów i kiedy będziesz w potrzebie, staną oni po twojej stronie. Widzieliśmy, że jesteś zdolny do zdrady, zatem jedyną rzeczą, jaką możemy dla ciebie zrobić, jest uwolnienie cię z rąk tego, który cię pojmał i przypomnieć ci o twym ślubowaniu. Lecz dopóki człowiek zwany Spode nie zostanie zgładzony, dopóki nie zniszczysz w nim zła, nie wolno ci opuścić tego miejsca. Dambalach ofiarował ci życie do czasu, gdy dopełnisz przysięgi. Jedynie wtedy będziesz mógł wydostać się z tego podziemia śmierci! Sabat wiedział, że Władca Skrzyżowanych Dróg mówił prawdę, Dambalach wysłał go tu, by przypomniat najemnikowi jego obowiązki. Bogowie Rada obawiali się, że Sabat, otrzymawszy od nich moc i upewniwszy się, że skierowali niszczące siły przeciw swym odwiecznym wrogom, skorzysta z zawartego układu tylko po to, by się uratować.

- Nie mogę tu dłużej pozostać - tamten znów cofnął się w cień. - Teraz nadszedł twój czas. Sabat. Bogowie Rada życzą ci szczęścia.

Sabat pozostał sam, rozglądając się po złowroziej krypcie. Jedynymi jego towarzyszami byli dwaj martwi ludzie: zakrwawione ciało i stary szkielet. Było mu tak zimno! Słyszał jakieś szepty, lecz być może powstały one tylko w jego wyobraźni. Zadrzał i spojrział w to miejsce, gdzie kamienne ściany pozostawiały przejście, prowadzące

165

na świat. Wiedział już, że odebrano mu możliwość ucieczki. Jakakolwiek próba wydostania się stąd teraz byłaby tylko stratą czasu. Musiał pozostać nie tylko po to, by stoczyć walkę, lecz by załatwić porachunki ze złem. Znowu rozgorzała w nim zimna wściekłość, pragnienie zabijania, które poznał pracując w SAS, niezaspokojona żądza krwi i śmierci.

- Nie wygrasz tym razem, Mark. Zbliży się twój koniec! - Z ciemności dotarł do niego szyderczy głos Ouen-tina.

Lecz Sabat tylko zaśmiał się ze smutkiem. Odrzucił rozpacz i począł przygotowywać się do walki. Nie miał czasu do stracenia. Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Wiedział dobrze, co musi zrobić, działał szybko i pewnie. Otaczające go szepty stały się ledwie słyszalne. Nie zwracał na nie uwagi wiedząc, że dopóki Royston nie dopełni swej bluźnierczej ofiary, nie mają dość siły, by go zaatakować. Sabat ukląkł i zaczął ściągać z ciała Andy'ego podarte, przesiąknięte krwią ubranie. Odsłonił

zmasakrowane ciało. Boże, bestialstwo Spode'a nie znało granic!

Żołądek chłopca wysuwał się z rozciętego brzucha i Sabat musiał palcami wypychać go z powrotem w bezkształtną miążgę wciąż jeszcze ciepłych ludzkich wnętrzności. Odrzucało go, lecz to ciało miało odegrać ważną rolę w jego planach. Musiał się przemieć i dokończyć.

Następnie zdjął własne ubranie, starannie wyjął rewolwer z kieszeni marynarki i zaczął ubierać nagie ciało chłopca. Rzeczy Sabata były zbyt obszerne na szczupłego młodzieńca, lecz ukrył to, wypychając zwisające fałdy materiału pod jego plecy. Potem podniósł go delikatnie, przeniósł kawałek i ostrożnie ułożył na tym samym miej-

166

scu, gdzie jeszcze niedawno spoczywało jego własne ciało. W ten sposób martwy Andy Drew przejął jego rolę w za-inscenizowanym przez Roystona widowisku.

Cofnął się i spojrzał krytycznie na rezultaty swoich wysiłków. Zastygła krew skrywała rysy twarzy tak, że były nie do poznania, chyba że ktoś chciałby się bardzo dokładnie przyjrzeć. Lecz Spode i członkowie jego Zgromadzenia z pewnością tego nie uczynią, tak będą się spieszyć, by rozpocząć ofiarę.

Sabat, nagi, drżał z zimna. Wziął rewolwer i niemal z czułością patrzył, jak połyskuje w blasku świec. Był jakby częścią jego ciała, przypominając mu o czekającym go zadaniu.

Sabat czuł się jak przyczajony za rogiem opuszczonej farmy terrorysta, czekający, by zabić mającego się pojawić wroga. Mógł go ująć żywego czy martwego, lecz postanowił nie stosować taryfy ulgowej. Pierwszym strzałem chciał obezwładnić rękę nieprzyjaciela i pozbawić go możliwości rewanzu. Chciał, by Royston krzyczał o litość, by błagał na kolanach o darowanie mu życia, by poczuł lufę pistoletu na swoim brzuchu i by w końcu, poniżony, widział, jak palec Sabata powoli naciska spust.

Royston umierałby powoli, krzyki jego agonii brzmiałyby w uszach mordercy jak najłodsza muzyka, jak symfonia dokonanej sprawiedliwości. Sabat wyobrażał sobie, że wikary do ostatniego jęku błagałby o zmiłowanie!

Rozejrzał się wokół, szukając miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Odnalazł w ścianie niszę, z której mógł dokładnie widzieć ołtarz, i wsunął się w nią. Oparł się plecami o zimne, ostre kamienie. Jego ciało, całe w zastygniętej krwi, było niemal niewidoczne w cieniu.

Pozostało mu tylko czekać, lecz dla człowieka czynu

167

była to najgorsza część zadania. Ścisnął w dłoni pistolet, czując przyjemny chłód stali. Zastanawiał się, czy wszystko to wydarzyło się naprawdę, czy też znowu jest w swej astralnej postaci i z góry patrzy na swe okrwawione, nagie ciało, ukryte w cieniach wypełniających tę świątynię Szatana.

Otoczające go głosy znów się nasiliły. Ouentin wył jak dzika bestia, uwięziona w klatce czarna dusza, która rozpacziała, gdyż nie mogła się wydostać. Słyszał też inne dźwięki: gdzieś w oddali kapała woda, coś szurało i chrobotowało obok niego. Patrzyły na niego pary małych, czerwonych oczu, nawet szczury w tym miejscu spotkawszy intruza, nie kryły swej niechęci i złej woli.

Szatańskie stworzenia czekały najwyraźniej na świeże ludzkie mięso. Sabat usłyszał, że niektóre coś gryzą - przypomniał sobie o leżącym w kącie ciełe Mirandy i niemalże wybiegł jej na pomoc. Powstrzymał się jednak, w końcu umarły był tylko umarłym, jego ciało nie czuło już nic. Musiał myśleć o żywym, o tym, który jeszcze tej nocy zostanie zabity.

Stężał nagle, usłyszawszy inny niż dotychczasowe odgłos, gdzieś daleko, coś, co nie było tworem wyobraźni ani szeptami ciemnych mocy czyhających w cieniu. Był to jakiś bezdźwięczny chór, jakby intonujący modlitwy, potężniejszy z każdą chwilą. Echo powtarzało głosy. Było to coś przypominającego wycie zwierzęcia, lecz gdy Sabat wsłuchał się uważniej, rozpoznał ludzką mowę.

Niemal wstrzymał oddech i mocniej ujął rewolwer, wycelowany w ołtarz.

Nadchodzili!

Rozdział XIII

Gdy Spode wyprowadził swych uczniów z kościoła, było całkiem ciemno. Nie byli to już ci sami, milczący, pełni obaw ludzie, którym udzielał bluźnierczej komunii. Szli teraz za nim - przeklinające ordynarnie, żądne krwi potwory o twarzach pełnych diabelskiej lubieżności.

Royston Spode uśmiechnął się do idącej obok niego dziewczyny. Tylko Alison zdawała się zachować swój zwykły stoicyzm, reszta była teraz tak dzika i tak prymitywna, jak owe plemiona zamieszkujące samo serce najczarniejszej Afryki - miejsce, gdzie narodził się kult śmierci. To Spode pchnął ich na tę drogę, napiętnował ich duszę, gdy po zakończonej wieczerzy dał im się napić z kielicha Szatana. Kielich ten - antyteza świętego Graala - napełniony był Akwitańskim trunkiem, który otumaniał ich mózgi, a ciała rozpalił pożądaniem. Może nie powinien był zabierać ze sobą Indianki, ale złą rzeczą byłoby odmówić jej udziału w tych najwyższych obrzędach. Gdy ta noc dobiegnie końca, nie będzie już powrotu dla żadnego z nich. Nawet on. kapłan obdarzony mocą większą niż magowie, nawet on był zdenerwowany i -'zdragał się przed perspektywą wywoływania samego Mistrza. Lecz tylko Wielki władny był przenieść .noc ze szczątków Williama Gardinera na Roystona Spode. Ten ostatni nie życzył sobie, by ktokolwiek inny podjął próbę zyskania najwyższej mocy. Mógłby to uczynić Quenin Sabat, lecz jeśli Sabat zostanie ofiarowany

- zniknie także jego czarna dusza. Nie wolno uwalniać Quentina i pozwolić mu stać się rywalem Spode'a, może silniejszym od niego. Im prędzej umrze Sabat, tym lepiej będzie się czuł pastor. Przyspieszył kroku, niektórzy z idących za nim zaczęli biec. Schodząc pod ziemię, Spode powtórnie doświadczył tamtego przeczucia. Jego zmysły odebrały jakieś wrogie vibracje... Obejrzał się za siebie, zaniepokoiło go puste spojrzenie Alison. Ale to była tylko służąca, zupełnie nieszkodliwa. Może byłoby lepiej, gdyby została z tyłu.

Niemal dał się ponieść uczuciu paniki. Ale nie było żadnego powodu do niepokoju. Świece wciąż się paliły, Sabat leżał w smudze bladego światła, poplamiony krwią, nie do rozpoznania. Spode nie spojrzał nawet na miejsce, gdzie powinien spoczywać Andy Drew. On już się nie liczył, podobnie jak Miranda zapłacił za swoją zdradę. Zgromadzenie potrzebowało teraz

tylko krwi Sabata.

Zgromadzeni ustawili się w półkole, rozebrani do naga, paleni pożądaniem. Spode musiał ich powstrzymać - najpierw złożył ofiarę, potem mogą robić co im się podoba. Wielu z nich spoglądało i dotykało się już nawzajem, jak gdyby zapomnieli, jaki jest prawdziwy cel ich przybycia tu tej nocy.

- Dość - echo wzmocniło potęgę głosu Spode'a - wprawdzie musimy złożyć w ofierze Sabata i wyblagać u Starożytnego spełnienie naszej prośby.

Zgromadzeni uspokoiли się i spoglądali na niego pustym wzrokiem.

- Zakryjcie oczy. Żaden z was nie jest godzien oglądać Mistrza. Wielki zgładzi każdego, którego spojrzenie zatrzyma się na jego świętym obliczu.

170

Rzucili się na ziemię, ze strachem w oczach, ich otępiełe umysły zdawały się już coś pojmować. Jedyne Ali-son stała nieporuszona, patrząc prosto przed siebie.

- Ty też - syknął Spode. - Ośmielasz się mi sprzeciwiać?

Skinęła głową i uklękła powoli, nie opuszczając jednak wzroku tak, jakby coś kazało jej patrzeć na ołtarz, ofiarę i szkielet. W pewnym momencie jej oczy poruszyły się. Spojrzała w cień, który zdawał się przybliżać w migoczącym i coraz słabszym blasku świece. Nawet jeśli zauważyła brak zmasakrowanego ciała na ołtarzu, nic o tym nie powiedziała.

Spode odwrócił się od niej ze złością. Jeśli zobaczy i Mistrz ją zgładzi, to będzie to tylko jej wina. Nie mógł tracić na nią czasu. Nagle jego ręka, sięgająca po ozdobny ofiarny nóż zdrząła. W ciągu sekundy wzmogło się w nim uczucie straszliwego zagrożenia.

Choć Royston tego nie widział. Sabat miał go na muszce. Błąd był wykluczony. Mark trzymając oburącz rewolwer, wymierzył pewnie między oczy Spode'a. Za chwilę padnie strzał i pocisk rozniesie czaszkę trafionego.

Sabat wahał się jeszcze, ale nie dlatego, że miał opory przed strzelaniem z ukrycia, robił to w przeszłości wiele razy i nie cierpiał z tego powodu na bezsenność. Rzeczywiste przyczyny tej zwłoki były dwie. Po pierwsze, ciekawy był, jak będzie wyglądał ceremoniał złożenia jego ciała w ofierze. Przewidywał też swoją chwilę triumfu, gdy Spode odkryje niebezpieczeństwo. Po drugie, dokładnie za Roystonem stała Alison i istniało ryzyko, że kula dosięgnie także jej. Nie czuł nic do tej dziewczyny, ale... jej ciało było tak zmysłowe, tak zapraszające. Swoje z nią pora-

171

chunki załatwi później i w inny sposób. Martwa Alison byłaby do tego celu, bezużyteczna.

Zaledwie zdążyła zaschnąć krew poprzedniej ofiary, a straszny nóż znalazł się w ręku Roystona Spode. Pastor śpiewał po kreolsku i po łacinie słowa przekazane niegdyś z czarnego ładu kilku wybranym czarownikom, posiadającym największą moc. Ludzie leżący na podłodze jęczeli w rosnącym przerażeniu, które opanowywało ich zatrute umysły. Wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, co może się zdarzyć. Alison była biała i drżała w widoczny sposób. Od strony wejścia powiał mroźny wiatr. Spode wrzasnął, starając się przekrzyknąć hałas. Opuścił nóż i zatoczył pełen wściekłości łuk, pierwszym uderzeniem odcinając głowę znajdującego się obok ciała. I w tym momencie wszystkie świece zgasty, pogrążając kryptę w całkowitej ciemności.

Sabat zaklął, odkrywając swą pomyłkę, już chciał strzelić, lecz powstrzymał się. Nie należał do ludzi, którzy w takiej chwili postępują nierozważnie. Strzał byłby niepewny w sytuacji, gdy nie widział wroga. Zatem czekał, z wyschniętymi z emocji ustami i palcem na spuście.

Czy wszyscy krzyczeli, czy też były to jęki niewidzialnych zła, zrodzonych przez wiatr? Słyszał jakąś szamotaninę, być może członkowie Zgromadzenia w panice usiłowali dostać się do wyjścia. Przekleństwa, upadające ciała.

Sabat zastanawiał się, co dalej robić, gdy do uszu jego dobiegł stuk kopyt, parskanie jakiejś ogromnej bestii, i poczuł jej ohydny smród. O Boże, działa zbyt wolno, pozwolił Spode'owi wezwać Złego Ducha, gdy przecież jeden strzał mógł go powstrzymać!

Sabat skrył się ponownie w niszy. Instykt pchał go do obrony, nakazywał strzelać na oślep w tę istotę, lecz

172

rozum mówił mu, że byłaby to niepotrzebna strata amunicji, która mogłaby jeszcze zwrócić wściekłość Bestii przeciw niemu. Coś upadło i potoczyło się po podłodze, być może jedna z przewróconych świece. Kopyta szalały po krypcie, gniołąc na miazgę ludzkie ciała i kości. Słychać było dzikie wycie i ludzkie krzyki przerażenia. Sabat czuł podmuchy powietrza i wiedział, że tuż obok niego rozgrywa się coś, o czym nawet on nie ma pojęcia. W jego duszy zabrzmiał znów głos Quentina, lecz tym razem nie było w nim szyderstwa, raczej dziki strach:

- Uciekaj stąd, jeśli nie jest jeszcze za późno!

- Nie mogę, gdyż przysłał mnie tu Damballah i pozostanę, aby przeprowadzić do końca swoje zadanie!

I wtedy straszliwy huragan skończył się tak samo nagle, jak nadszedł. Krypta rozjaśniła się. Ludzie jęczeli, ktoś roześmiał się nerwowo. Szczur, jakby nagle przyłapany na środku podłogi, szybko uciekł do swej nory.

Sabat czekał, oślepiiony nagłym światłem. Świeca na ołtarzu płonęła nierówno zapalona nieznaną ręką. Ze-szywniał i zamknął oczy, obawiając się widoku tego, co zostało w krypcie. Lecz zaraz otworzył je znowu, musiał przecież zorientować się w sytuacji. Pozostał przy życiu, cały, nieporaniony, jak rozbił na falach oceanu, smakujący każdą sekundę, jaka mu pozostała. Podłogę zaścierały ciała umarłych i umierających. Szczury czekały, by dopaść padliny, wiedziały, że poranieni ludzie umrą wkrótce. Zmiazdżone twarze były krwawymi, anonimowymi maskami, nagie, poszarpane ciała nosiły ślady kopyt. Z każdą sekundą z tej masy ludzkich pozostałości uchodziło życie.

Jedyne Alison zdawała się być cała bez żadnych obra-

173

żeń. Klęczała w swej długiej, barwnej sukni, w jej oczach nie było lęku. Nie zdziwiła się, widząc Sabata, choć rozpoznała go od razu. Chciał podejść do niej, zrobił krok do przodu i w tym momencie jakiś cień przesłonił stojącą na ołtarzu świecę.

W pierwszym odruchu chciał znowu skryć się w niszy. Przez moment wydawało mu się, że paraliżujący środek znowu zaczął działać, unieruchamiając mu ręce, lecz udało mu się błyskawicznie podnieść rewolwer i wycelować w tę zbliżającą się ku niemu postać.

Miała ona ludzki kształt, sylwetkę przypominającą Roystona Spode, lecz rysy twarzy mogły pochodzić tylko z głębin Hadesu. Skóra naciągnięta na czaszkę była pomarszczona, jakby ciemnym siłom nie do końca udało się bluźnierczą próbą stworzenia człowieka. Oczy zbyt duże, nie pasujące do oczodołów, rozplaszczony nos, usta zabarwione na czerwono, jakby było to widmo - pożeracz ludzkich ciał, który właśnie zakończył krwawą ucztę. Kule trafiły w głowę, żłobiąc głębokie rany na policzkach, zanim odbijały się rykoszetem. Postać z furją rzuciła się na Sabata.

Sekundy, które mogły być wiecznością minęły zanim Sabat rozpoznał napastnika i pojął co naprawdę stało się podczas długich minut trwającej w ciemności rzezi. Było to ciało Spode'a, w którym zaszła jakaś przerażająca zmiana. Wskrzeszone rysy Williama Gardinera przeniesione zostały na jego twarz, przedziwne pomieszanie ciał i dusz, które musiało być skutkiem jakiegoś błędu w obrzędzie składania ofiary. Spode zdawał sobie sprawę, że ten częściowy sukces był w rzeczywistości żalosną porażką, i że Sabat zapłaci mu za to co się stało!

Spode przygotował się do śmiertelnego ataku. Sabat

174

pomyślał, że powinien był już wcześniej zniszczyć jeszcze martwy szkielet, gdyż teraz zwykły śmiertelnik nie mógł go już pokonać. Powolne odmierzone kroki, spojrzenie utkwione w przeciwniku, z pełną świadomością tego, że może w każdej chwili zmiażdżyć jego życie, lecz chce przedtem smakować ostatnie chwile życia ofiary. Wszystko to wyrażała zbliżająca się postać Roystona.

Sabat zamknął oczy, próbował modlić się... ledwie przypominał sobie właściwe słowa. Pamiętał tylko, o co ma prosić:

- O Panie, przybądź i zniszcz Szatana.

Spode zatrzymał się, lecz tylko na chwilę, jak gdyby musnęła go następna kula, z lekkim zdziwieniem, lecz bez prawdziwego lęku. Sabat zrobił jeszcze krok do tyłu i poczuł, że jego plecy oparty się o chropowatą ścianę. Więc tak miało się to skończyć. Ostatnie chwile, poczuł jak opuszczają go zmysły, jakby znowu wrócił poprzedni paraliż, męczące odrętwienie, będące przygotowaniem do śmierci. Początkowo nie zdawał sobie sprawy, że umrze, świadomość ta przyszła później i przeraziła go. Nawet Ouentin nie odzywał się, zachowywał milczenie w obecności przerażającego zła.

Sabat czuł zapach tego, który był Spode'em. Śmierdzący oddech, którego lodowate poddmuchy owiewały jego ciało. Coś dotknęło jego ramienia, sprawiając że wzdrygnął się i odwrócił głowę. Usłyszał głos:

- Skończ już z tym. Zabij mnie!

Chociaż czekał już na śmierć pogrążony w jakiejś przerażającej przed-agonii, z rezygnacji wyrwał go głuchy odgłos. Spode pastwił się bezlitośnie nad ciałem, które jak sądził należało do Sabata wbijając w nie nóż, aż po rękojeść. Z jego ust wyrwał się krzyk jakiegoś żaden człowiek

175

nie zdołałby powtórzyć. Przekleństwa i wrzaski w jakimś obcym, nie znanym Sabatowi języku.

Mark patrzył szeroko otwartymi oczami. Miał nadzieję, że ta przerażająca chwila, ten wydawałoby się twór okrutnej wyobraźni, zostanie w końcu pochłonięty przez otchłań zapomnienia.

Spode chwiał się i cofał, jak człowiek ogarnięty paniką. Rysy zniekształcił mu niewiarygodny ból, wargi poruszały się w bezdźwięcznych przekleństwach. Upadł na podłogę, dyszał jakby walczył o każdy oddech, niczym groteskowa ryba wyrzucona z wody. Walczył ze śmiercią, lecz jego siły słabły z każdą sekundą. Leżał wpatrując się w Sabata z nienawiścią, a potem przeniósł wzrok na... Alison!

Indiańska dziewczyna stała obok, oczy miała zamknięte, jakby nie mogła znieść widoku tej kreatury, która kiedyś była jej panem. Okrwawiony nóż ofiarny wysuwał się powoli z jej palców, aż upadł na kamienie. Jej wargi poruszały się, Sabat wyteżył słuch i zdołał uchwycić kilka słów po kreolsku.

- Umieraj, diable złego boga, gdyż trwa jeszcze ciągle dzień Damballacha, a ja należę do jego uczniów!

Spode, czy też cokolwiek było to przerażające ciało, leżał martwy, lub raczej - jak pomyślał Sabat - siły, które dotąd pchały go do działania nagle odeszły. Powróciły tam. skąd przyszły. Sztuczna istota znalazła się na powrót wśród bogów Rozkładu.

- J**... Ty... - Sabat nie umiał znaleźć słów, by podziękować Alison, podobnie jak parę minut wcześniej nie potrafił sobie przypomnieć słów egzorcyzmu.

- ^c^tem uczniem Damballacha. - Patrzyła na niego i zauważył głęboki smutek w jej oczach. - Pięć lat

176

temu ten diabeł uczynił mnie swą niewolnicą, kazał mi oddawać cześć bogom Rozkładu, lecz zachowałam swą wiarę, gdyż wiedziałam, że pewnego dnia bogowie Rada wyzwolą mnie. Kiedy przybyłeś na plebanię, wiedziałam, że zostałeś wysłany właśnie w tym celu, nawet jeśli sam nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Nie miałam jednak wyboru, musiałam podać ci zatrutą kawę. Gdybym odmówiła, lub próbowała oszukać Roystona, czekałby mnie los Mirandy.

Sabat rozejrzał się wokół. Znikąd nie dochodził nawet jęk, zmasakrowane ciała leżały nieruchome. Tylko dwoje ludzi pozostało przy życiu - Alison i on sam. Zakończyła się kolejna bitwa wiecznej wojny, wygrana dziś, przegrana jutro. Tak, będzie zawsze, lecz Sabat musi żyć dla teraźniejszości.

Nie było już połamanego, jakby zmiażdżonego nogą jakiejś prehistorycznej bestii, szkieletu Gardinera. Po przybyciu i odejściu Złego, bogowie Rada zniszczyli niebezpieczną siłę.

- Nie możesz tu zostać - powiedziała Alison - dzień Damballacha zbliża się do końca i także ja będę bezsilna. Być może władzę nad tym miejscem obejmie władca Cieni. Odejdź teraz, póki możesz.

- Nie pójdę bez ciebie.

- Ja nie mogę odejść, nie zmuszaj mnie, proszę. Sabat smutno kiwnął głową. Mówiła prawdę. Dam-ballach także niekiedy potrzebuje ofiary i bezcelowe byłoby odwołanie Alison od pomysłu zostania tutaj. Gdyby próbował zabrać ją siłą, byłoby to nawet niebezpieczne dla nich obojga. Z pewnością bogowie Rada zemścili by się wtedy na nim tak, jak zniszczyli Roystona Spode.

- Proszę odejść. Sabat.

177

Przytaknął, choć widział w jej oczach żal.

- W porządku.

Wciąż wahał się, stał wpatrzony w Ahson, lecz nie czuł podniecenia, tylko podziw dla istoty tak odważnej i tak pięknej. Była jedną z tych, które dla uratowania innych gotowe były oddać własne życie.

- Nie zostało ci wiele czasu. Sabat. Wkrótce będzie północ i środa skończy się. Nie mogę przewidzieć, co zdarzy się potem, lecz oboje możemy zginąć.

Znowu skinął głową, nie mogąc wydusić słowa. Zresztą nie było tu już nic do dodania. Oboje wiedzieli, że rozpocznie się następna faza tej niekończącej się bitwy. Odwrócił się wolno, ruszył w kierunku wyjścia.

Przeszedł już ponad pięćdziesiąt metrów, pozostawiając za sobą dzikie cmentarzysko, kiedy poczuł, że ziemia pod nim zadrżała. Byłby upadł, lecz w ostatniej chwili zdołał chwycić się młodego drzewka obok. Grunt wznosił się i opadał, korzenie wątlej rośliny poruszały się w górę i w dół. Sabat przywarł do jej pnia, wciąż nagi, trzymając w dłoni pusty rewolwer. Za chwilę, myślał, ziemia otworzy się i pochłonie go, porwie w czarną pustkę poza wiecznością, do piekła bogów Rozkładu, gdzie Ouentin będzie mógł bez końca dręczyć go swoją nienawiścią.

Usłyszał łoskot spadającej lawiny, kaskady kamieni, żywioł, który niszczył wszystko na swojej drodze. Usłyszał krzyki, może prawdziwe, a może brzmiące tylko w jego wyobraźni. Poczuł zapach kurzu i pyłu, który przypomniał mu pole kończącej się bitwy, ostatnich umierających żołnierzy, nieprzeniknioną czerń nocy, skrywającej sępy, które czekały na rozpoczęcie uczty, krajobraz

178

śmierci, nieruchomy, lecz wraz z pierwszymi promieniami słońca na nowo ożywiany walką.

Nastuchiwał, lecz nawet liście na drzewach trwały nieruchome. Na wschodzie niebo zaczęło szarzeć w pierwszym blasku nadchodzącego dnia.

Drżąc na całym ciele, odchodził z tego straszego miejsca. Pomyślał przez chwilę, by wrócić tam i zobaczyć, czy kamienie przywały prowadzący w dół korytarz, na zawsze odcinając drogę do piekielnej krypty. Nie zrobił tego jednak, wiedział, że zobaczy tylko gruzy i nic więcej, gdyż umarli grzebią swoich umarłych. Dla wyznawczyni Dam-ballacha ciągle już trwać będzie chwila jej największego triumfu, podczas gdy on. Sabat, będzie żył, by walczyć dalej. Dotrzymał wprawdzie umowy, lecz bogowie Rozkładu nie zapomną nocy, kiedy zniszczył ich czarną religię i sprawią, że odrodzi się znów.

Dzień nastawał szybko, jakby chcąc zatrzeć w pamięci ślady nocnych godzin. Sabat ujrzał zarys plebani!, masywny budynek, który w szarym świetle brzasku zdawał się patrzeć na niego z nienawiścią, matowymi szybami zamkniętych okien.

Nagle zauważył swego daimiera. Patrzył na niego z niedowierzaniem, jakby sądził, że może być przywidzeniem i zaraz zniknąć. Podkrał się do niego, jak kot, obawiając się pułapki. Ostrożnie obszedł go dookoła, otworzył drzwi i zobaczył na siedzeniu strzęp materiału, wyrwany z wielobarwnej sukni.

Znalazł sweter i zapasową parę spodni i ubrał się. Westchnął głęboko, gdy usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk i usłyszał warkot motoru. Uczucie niespełnienia i smutku powoli zaczęło przeradzać się we wściekłość. Zawsze to samo, myślał jadąc w dół. Zły, którego raz wez-

179

wano nie powraca nigdy z pustymi rękami. Tym razem to on mógł stać się jego ofiarą, lecz los dosięgnął! Alison, gdyż w pewien sposób chciała tego, bo tak nakazywał jej Damballah, życie za życie, dusza za duszę.

Gdzieś w jego wnętrzu Quentin wykrzykiwał bluźniercze przekleństwa, przypominając, że zrobił dopiero pierwszy krok na drodze do pełnego zwycięstwa. Z pewnością istniały inne miejsca, inne siły, z którymi przyjdzie mu stoczyć bezlitosną walkę. Kilometry mijały, a wraz z upływem czasu zmieniał się nastrój Sabata. Nie myślał już o Alison, lecz o pewnej pięknej blondynce w wysokich czarnych butach i koronkowej bieliźnie. Lecz ją także utracił. Pomyślał o innej jeszcze kobiecie, brunetce o niebieskich, niezwykle lśniących oczach, której ciało, tak często brane przez mężczyzn, było klasycznie piękne. Mocniej przycisnął gaz. Było to kolejne wyzwanie, którego nie mógł pominąć. Uczucie odwiecznego pożądania starszego niż czarna magia.